

**JERRY AHERN**

**OSTATNI DESZCZ**

**CYKL: KRUCJATA TOM 19**

**PRZEŁOŻYL: MAREK GNIEWKOWSKI**

Tytuł oryginału: The Survivalist. Final Rain

Data wydania polskiego: 1992

Data wydania oryginału: 1989

**JERRY AHERN**

**OSTATNI DESZCZ**

**CYKL: KRUCJATA TOM 19**

**PRZEŁOŻYŁ: MAREK GNIEWKOWSKI**

Tytuł oryginału: The Survivalist. Final Rain

Data wydania polskiego: 1992

Data wydania oryginału: 1989

Ethanowi - wiernemu druhowi i sojusznikowi w walce o przetrwanie - wszystkiego  
najlepszego...

## ROZDZIAŁ I

Padał zimny deszcz. Krople były tak duże, że można je było zobaczyć gołym okiem nawet w absolutnej ciemności. W miejscach, do których nie sięgały wycieraczki, woda natychmiast zamarzała.

Uszkodzony śmigłowiec, pilotowany przez Rourke'a, zataczał się w powietrzu pod naporem niezwykle silnego wiatru. John z zawziętością stawiał czoło pogodzie, próbując wyrwać się z objęć wichru i bezpiecznie wylądować na omywanej falami plaży atolu. Wreszcie, niemal po omacku, sprowadził maszynę na ziemię.

- Mayday, Mayday! Helikopter wzywa "Archangielsk"! Czy mnie słyszysz? Odbiór!

Od momentu, kiedy urządzenie kontrolujące skok śmigła zaczęło się psuć, Paul nadawał tę samą wiadomość. Była to jedyna informacja, którą można było wysłać. Problem polegał na tym, że dłuższa transmisja radiowa mogłaby zostać przechwycona przez sowiecką marynarkę lub przez sowiecki samolot obserwacyjny, krążący na dużej wysokości. Przy takiej pogodzie helikopter był właściwie bezbronny, więc dostrzeżenie ich przez uzbrojonego wroga było czymś, czego w teraz Rourke najmniej sobie życzył.

- Daj spokój, Paul. Jeśli dotychczas nie odebrali naszej wiadomości, to już tego nie zrobią. Najprawdopodobniej będziemy musieli lądować przy tej pogodzie, biorąc nawet pod uwagę, że o nas wiedzą. Zachowajmy tylko zdrowy rozsądek. Łódź podwodna Darkwooda nie będzie na tyle blisko powierzchni, aby odebrać nasz sygnał, nadawany z taką siłą jak teraz. A już na pewno nie przy tym wietrze. W czasie tak burzliwej pogody okręty podwodne są na powierzchni bardzo niestabilne. Darkwood i tak musiałby zejść pod wodę. W końcu nie jest głupcem. Zresztą dotyczy to również tych sowieckich gigantów. Przypuszczalnie "Reagan" schodzi teraz w dół i osiadzie na dnie, próbując przeczekać sztorm, aby później ponownie nawiązać z nami łączność. On zna naszą pozycję, a my znamy jego kurs.

Rubenstein zdjął z głowy hełmofon i odłożył go na bok, mrużąc coś pod nosem. Światło padające z sufitu kabiny kontrastowało z czarnym jak sadza niebem. W migotliwym blasku lampy sylwetki przyjaciół wyglądały jak otoczone dziwną, jasnoblękitną poświatą.

Rourke przeszedł wzdłuż kadłuba do tyłu, po drodze uderzając głową o krawędź lampy. Za sobą usłyszał głos Paula:

- Pójdę z tobą.

- Wolałbym, abyś poszedł za mnie. - Rourke uśmiechnął się do Rubensteina. - Ale lepiej zostań w środku. Kiedy zawołam, postaraj się ustawić skok wirnika. Nie schrzań tego. Nie chciałbym wychodzić na zewnątrz po raz drugi.

Zdjął starą lotniczą kurtkę. Z wiszącego po lewej stronie wieszaka ściągnął czarny, długi niemiecki płaszcz, który podobno wyjątkowo dobrze chronił przed mrozem i deszczem. Teraz nadszedł czas, by go wypróbować. Nałożył gruby, polarny sweter. Podwójnymi pasami Alessi przypiął nierdzewne Detoniki. Nałożył płaszcz, zapiął go pod szyją i postawił kołnierz. Czarne, wojskowe spodnie typu "Mid-Wake", które doktor miał na sobie, prawdopodobnie także były

wodoodporne. Na głowę John włożył kominiarkę ściągając ją tak, że zakrywała całą twarz oprócz oczu, nosa i ust. Nałożył rękawiczki, wziął pudło z narzędziami. Był już gotów.

- Cały czas musisz prowadzić nasłuch na wypadek, gdyby Darkwood chciał nawiązać z nami łączność. Nadal nie wiadomo, skąd i z jaką siłą nadejdzie jego sygnał.

Doktor wziął M-16. Byli już na terytorium wroga. Od momentu nawiązania łączności z Jasonem Darkwoodem dowódcą amerykańskiej atomowej łodzi podwodnej "Ronald Wilson Reagan", zgromadzili sporo danych na temat wielu małych baz sowieckich, znajdujących się na tych wyspach. Stanowiły one poważne zagrożenie dla Mid-Wake.

Od pięciu wieków toczyła się wojna między Karamazowem a Rourke'em i jego sojusznikami. W tym czasie pod wodą trwały walki między Amerykanami z Mid-Wake a podwodną kolonią sowiecką. Najdziwniejszy był fakt, że ani ludzie na lądzie, ani ludzie pod wodą nie wiedzieli o sobie nawzajem. Ludzie pod wodą nie wiedzieli nawet, że na lądach istnieje jeszcze życie.

Pomimo ryzyka dostrzeżenia Johna i Paula przez wysunięte sowieckie jednostki morskie nie pozostawało im nic innego, jak wylądować i naprawić urządzenie zmiany skoku śmigła.

Deszcz ze śniegiem wciąż padał. Przesuwający się często front ciepłego powietrza napotyka na swej drodze na silny wiatr, co często powoduje powstawanie stref ciszy. Często wytwarza się wówczas wysoki potencjał elektryczny, co może spowodować uderzenie pioruna. W takim przypadku w obwodzie elektrycznym mogłoby nastąpić zwarcie, a wówczas naprawa helikoptera stałaby się niemożliwa. Jeśli wirnik byłby tylko częściowo oblodzony, Rourke mógłby zmontować prowizoryczny podgrzewacz konwekcyjny, niepozwalający na zamarzanie mechanizmu w czasie pracy.

Skoro tylko John uniósł zwój lin kotwicznych, zdał sobie sprawę, jak ciężkie zadanie go czeka. Moment był krytyczny. Dał znak Paulowi i silnym pchnięciem otworzył drzwi. Prawie natychmiast silny podmuch wiatru wcisnął Rourke'a na powrót do wnętrza. Ponownie zebrał siły i wyskoczył na zewnątrz, zapadając się w zaskorupiałym śniegu. Gdy tylko puścił próg drzwi, Paul pociągnął je, zamykając wejście. Temperatura wahała się w granicach zera stopni Celsjusza. Mimo specjalnego ubioru John zaczął marznąć. Próbował odepchnąć się od kadłuba maszyny, ale wiatr nie pozwalał mu na to. Rourke skulił się, prawą ręką przytrzymując kaptur. Pas od pistoletu maszynowego i wierzchnia strona rękawiczek pokryta cienką warstwą lodu. W końcu dotarł do dziobu helikoptera. Odwrócił się pod wiatr, mrużąc oczy. Ustawił reflektor, zamontowany obok pierwszej liny kotwicznej. Sztywna od mrozu lina trzeszczała w dłoniach doktora. Z trudem ruszył przed siebie. W odległości około pięćdziesięciu stóp od helikoptera zatrzymał się, przydeptując linę, aby nie porwał jej podmuch wiatru. Następnie ukląkł na niej, otwierając niezdarnie przymarzniałe wieko skrzynki z narzędziami. W skrzynce leżały lekkie kołki kotwiczne, długie na dziesięć cali, podobne w swej konstrukcji do tłka połączonego z gwoździem kolejowym.

Rourke wyjął jeden kołek oraz młotek, zamykając na powrót skrzynię. Z całej siły zaczął go wbijać w piasek plaży, pokryty lodem twardym jak skała. W pewnej chwili zwątpił już nawet, czy uda mu się umocnić kołki, ale w końcu udało się wreszcie wbić pierwszy z nich. Kiedy spróbował podnieść skrzynkę z narzędziami, okazało się, że metalowa kaseta przymarzła już do podłoża. Musiał kilkakrotnie mocno szarpnąć, aby ją oderwać.

Paul poprzez lekko uchylone drzwi obserwował przyjaciela. Chciał pójść razem z nim, ale, jak zawsze, John miał rację. Ktoś musiał zostać w kabinie. Nagle coś mu się przypomniało.

- Nakrętki! - powiedział do siebie Rubenstein. Zrzucił lotniczą kurtkę, nałożył swoją kurtkę

arktyczną i wyskoczył na zewnątrz.

Drugi kołek był już wbity, gdy John z przerażeniem zauważył przed sobą jakiś ruch. Sięgnął po swój pokryty już lodem M-16. Na szczęście był to tylko Paul.

- Tutaj! Pozwól mi to zrobić! - krzyknął Rubenstein, przekrzykując świst wiatru.

John odrzucił młotek i próbował rozetrzeć sobie zdrętwiałe mięśnie.

Wbili ostatni kołek. Niemiecki helikopter był teraz na tyle zabezpieczony, że huraganowy wiatr, nie mógł przewrócić maszyny. John wskazał ręką w kierunku śmigłowca. Jego przyjaciel pokazał wpiersz ręką za siebie, a następnie wykonał gest w kierunku głównego śmigła. Rourke zaprzeczył ruchem głowy.

Po krótkiej chwili Paul skinął głową i, uchwyciwszy się jednej z mocujących lin, zaczął posuwać się w kierunku wejścia do helikoptera.

Rourke stał, przez moment zastanawiając się, czy ściągnąć z głowy kaptur wraz z goglami. Jednakże obawiał się, że długo bez nich nie wytrzyma. Czuł bowiem, jak czoło, jedyna odkryta część jego twarzy, drętwieje mu z zimna. Sama myśl o bliższym zetknięciu z lodowatym deszczem, który niósł z sobą wiatr, przerażała Johna. A jednak, ruszając z powrotem, zdecydował się unieść gogle do góry.

Z całej siły zaciskając powieki, zaczął po drabinie wspinać się na górę maszyny. Szczelbę pokryła warstwa zamrożonego śniegu, który jednak kruszył się pod rękawiczkami. Doktor powoli zbliżał się do głównego wirnika.

Paul, skostniały z zimna, pod skórą twarzy czuł mrowienie. Wszedł do środka. Usiadł za jednym z dwóch pulpity kontrolnych, słysząc, jak deszcz ze śniegiem bębni po dachu śmigłowca. Włączył radio i nastawił je na pasmo o wysokiej częstotliwości. W odbiorniku rozległ się jakiś sygnał. Brzmiało to jak skowyt, wydawany przez konającego człowieka.

Paul roztarł ręce, wpatrując się w noc. Nie mógł dostrzec przyjaciela. Dźwięk dochodzący z radia, był najprawdopodobniej elektronowym widmem. Początkowo Rubenstein zaniepokoił się, wytłumaczył sobie jednak, że biorąc pod uwagę anomalia występujące w atmosferze wywołane elektrycznym sztormem w stratosferze, było to całkiem zrozumiałe. Nadal nie widział Johna, ale teraz mógł słyszeć, jak pracuje on na zewnątrz nad jego głową.

Czekał, siedząc bez ruchu. Radio bezbłędnie wychwytywało każdy sygnał transmisji, który znalazł się w jego zasięgu, bez względu na to, czy był on nadawany przez sojusznika, czy przez wroga. John jeszcze nie dał Paulowi znaku, by ten włączył urządzenie kontrolujące skok wirnika. Rubenstein wstał i skierował się w stronę ogona maszyny, gdzie przechowywał kilka osobistych drobiazgów, które zabrał z sobą na ekspedycję, po czym wrócił do kabiny. Na jego kurtce wciąż jeszcze widniały białe igielki lodu. Kiedy powiesił ją na haku, zaczęły szybko tajać, tworząc na podłodze kałużę.

Deszcz i grad nadal uderzały o zewnętrzną powłokę helikoptera. Nagle silny podmuch wiatru przechylił maszynę na lewy bok. John był nadal na górze śmigłowca. Paul zadrżał. Czyżby zbyt słabo zakotwiczyli maszynę? Ale jak mogli zrobić to lepiej?

Na moment zamknął oczy. Najważniejsze, że Annie, Natalia i Otto wciąż żyli. Otworzył oczy. Ze swojego tobołka wyciągnął wodoszczelną torbę, w której znajdowała się jeszcze jedna mniejsza. Tę również otworzył. Wewnątrz znajdował się jego dziennik. Rubenstein wrócił do kabiny pilota i, przewróciwszy kilka kartek, zaczął pisać. Opisywanie zdarzeń w dzienniku, czy raczej pamiętniku, rozpoczął podczas podróży samolotem, na pokładzie którego po raz pierwszy spotkał Johna. Było to

podczas Nocy Wojny.

Paul przeczytał pierwsze zapiski, które poczynił na temat Rourke'a:

*Wysoki, o wysokim czole i gęstym zaroście. Twierdzi, że jest doktorem medycyny, ale gdzie doktor medycyny mógł się nauczyć pilotażu? Czy piloci zginęli od wybuchu bomby? Czy my wszyscy umrzemy? Ten człowiek jest lekarzem. Jest coś w jego twarzy, w jego spojrzeniu. Widziałem to w kościele, gdy patrzył w głąb nawy. Czyżbym mu zazdrościł? Chyba tak, ponieważ jego twarz w jakiś sposób wzbudza zaufanie...*

Johna poznał bliżej w Albuquerque, gdzie Rourke chodził samotnie do pobliskiego kościoła, w którym spalono wiele ofiar, księdza oraz malutką dziewczynkę, której John nie mógł już uratować. Paul dobrze pamiętał spojrzenie Johna, w którym była zarówno złość, jak i smutek; drogę powrotną do straconego odrzutowca, jazdę samochodem Chevy przy płynącej z magnetofonu muzyce zespołu Beach Boys, wreszcie masakrę w odrzutowcu. Bandyci! John Rourke był jak bohater z włoskiego westernu - mało słów, szybkie spluwy... I to jego dziwne spojrzenie. Sandy Benson, stewardesa o blond włosach, powiedziała Rourke'owi, że wierzyła w jego powrót. Umarła w jego ramionach. Paul wraz z Johnem znieśli ciała pasażerów załogi na jedno miejsce i spalili je. Odjechali razem na motocyklach, zdobytych na bandytach.

Rubenstein zamknął oczy i uśmiechnął się. Jeszcze wówczas nie wiedział, że tamte wydarzenia zadecydują o dalszych jego losach. Doktor John Rourke i redaktor Paul Rubenstein - razem.

Znaleźli obozowisko bandytów. John jechał na Harleyu, należącym do jednego z nich.

Na górze jednej ze stron dziennika Paula widniały słowa: "cyngiel, cyngiel". Schlebiało mu, że potrafił obsługiwać Schemeissera - pistolet maszynowy MP-40, który miał przy sobie po dziś dzień. Również wtedy nauczył się prowadzić motocykl jak mało kto. Częste wywrotki były dobrą szkołą.

Razem poprzez kraj, razem poprzez czas. Od Nocy Wojny poprzez Wielką Pożogę, kiedy to na niebie pojawiły się płomienie, aż po sen narkotyczny. Po pięciu wiekach rodzaj ludzki, lub raczej to, co z niego zostało, znów stoczył się na krawędź totalnej wojny. Wystarczył tylko pojedynczy wybuch atomowy, aby zniszczyć delikatną powłokę atmosfery, która częściowo sama zdołała się odtworzyć w ciągu minionych pięciuset lat. Ale ten czas John i jego żona Sarah, Michael i Anna, Natalia oraz sam Paul przespali w kapsułach narkotycznych.

Rubenstein odwracał kolejne strony.

Projekt "Eden". Wtedy Paul o mało nie zginął. Gwardia KGB pod dowództwem Władimira Karamazowa zaatakowały ich podczas niebezpiecznego lądowania promów kosmicznych. Po trwającym pięć wieków wahadłowym locie do granic układu słonecznego, astronauci dzięki hibernacji powrócili żywi. Również dzięki hibernacji, wysoko w górach północno-wschodniej Georgii, w Schronie, przetrwała rodzina Rourke'ów. Karamazow zamierzał zgładzić wszystkich tych, którzy przeżyli. Chciał zestrzelić bezbronny prom kosmiczny w czasie lądowania.

Rubenstein spojrzął na urządzenia kontrolne śmigłowca.

Potrafił pilotować taką maszynę. Niezbyt dobrze, ale potrafił. John mówił, że uczy się szybko. Nagle Paul zadrżał, nie z zimna, lecz z powodu pewnego wspomnienia, które nagle przyszło mu na myśl. Usiadł za sterami tamtego helikoptera. Udało mu się wystartować i ostrzelać Sowieców, ale maszyna została trafiona. Nieprzyjacielska kula raniła Rubensteina, a wieżyczka strzelnicza śmigłowca była unieruchomiona. Nie wiedział, jak wylądować. Wówczas John ocalił mu życie.

Na początku znajomość z Rourke'em była stosunkowo luźna, jednak z upływem czasu więzy między nimi zaczęły zacieśniać się coraz bardziej. Nikt, nawet dorastający syn Johna, Michael, nie

był taki jak on. Nigdy już nie urodzi się ktoś taki jak John Thomas Rourke.

Wreszcie Paul doszedł do ostatniego zapisku: *Annie żyje! Tak! Dzisiaj, z pomocą amerykańskiego Korpusu Morskiego i marynarki Mid-Wake, zdobyliśmy sowiecką łódź podwodną klasy Island, o nazwie "Archangielsk". Jason Darkwood w pewnym sensie przypomina mi Johna, gdyż zawsze miał rację. Okrucieństwa popełnione przez sowiecką załogę z podmorskiego miasta-bazy na Pacyfiku są czymś, czego nie sposób zapomnieć. Zbrodnie na jeńcach, jasne: Wojna! Nasza koalicja przesłała im swoją notę. Gdyby siły wroga pod dowództwem Antonowicza połączyły się z podwodną flotą sowieckiej bazy, to czy bylibyśmy w stanie ich powstrzymać? Czy zjednoczone wojska Nowych Niemiec, ludzie z Hekli i nieliczni astronauty z Projektu "Eden", którzy przetrwali, i Chińczycy z Pierwszego Miasta daliby im radę? A co ja i Annie zrobiliśmy w obliczu przegranej naszych sprzymierzeńców? Czy szukalibyśmy mitycznego Trzeciego Miasta, gdziekolwiek by się ono znajdowało? A może ukrylibyśmy się na kolejne pięć wieków? I co wtedy? Wojna toczy się nadal. Czy skończy się kiedyś? Nawet John jest nią coraz bardziej zmęczony. Wiem o tym. Myślę, że załamanie na tle nerwowym (jeśli jest to właściwy termin) u Natalii jest w rzeczywistości jedyną rzeczą, którą martwi się Rourke. Ale tak już jest i on nic na to nie poradzi. Nie umie określić powodu załamania i wyprowadzić Rosjanki z depresji. Jej stan jest taki, jaki jest, i wyleczenie jej nie leży w jego możliwościach. Boże, błogosław ich oboje!*

Wziął pióro i pisał dalej:

*Kierujemy się w stronę Mid-Wake, pilotując łódź podwodną "Archangielsk", obsadzoną przez naszą załogę pod dowództwem kapitana Jasona Darkwooda. Zaskoczyły nas warunki atmosferyczne. Śnieg, który sypał nieustannie, nagle przestał padać. Pojawiające się nie wiadomo skąd refleksy świetlne, prawdę mówiąc, przstraszyły mnie najbardziej. Leje straszliwie i dziękuję Bogu, że nie jesteśmy teraz w powietrzu. Głęboko wierzę, że to tylko oblodzenie spowodowało awarię głównego śmigła. John jest właśnie na zewnątrz, próbuje je naprawić. Nalegałem, by pozwolił mi to zrobić, ale nie zgodził się. W końcu wie, co robi. Jeśli okaże się, że to sprawa instalacji elektrycznej, wtedy utknęliśmy tu na dobre. Jestem ciekawy, czy w ogóle będziemy mogli wystartować przy tej pogodzie. Możemy po prostu zostać tutaj i przeczekać ten sztorm. Jeśli tylko wiatr ucichnie na tyle, aby można było oderwać się od ziemi, będziemy musieli to zrobić. W tej chwili nasza maszyna jest narażona na ogień dział pokładowych sowieckich łodzi podwodnych, mają nas jak na talerzu. Zastanawialiśmy się, co zrobić z helikopterem, gdy dolecimy już do Mid-Wake. Jedynym rozsądnym wyjściem wydaje się ukrycie śmigłowca na jakiejś pobliskiej wyspie, jeśli byłoby to w ogóle możliwe, gdyż w przeciwnym razie możemy zostać uznani przez naszych za wroga i zestrzeleni. W wypadku, gdybyśmy przeżyli, dalszą drogę musielibyśmy odbyć na pokładzie "Archangielska", a może już na pokładzie jednostki USS "Ronald Wilson Reagan". Zastępcą dowódcy FTJ jest Sebastian, niezbędny na tej łajbie.*

Rubenstein zamknął dziennik, wpatrując się w ciemność. Zdziwił się, że z taką łatwością używa marynarskiego żargonu. Pomyślał, że brzmi to jak nieudane naśladownictwo stylu Roberta Stevensona lub Jacka Londona.

Nagle, Paul drgnął i wyteżył słuch. Z radiowego głośnika dobiegł jakiś niesamowity ryk. Stawał się coraz głośniejszy. Paul wyciągnął z kabury swojego Browninga.

Ale to musiał być John. Najprawdopodobniej Rourke kończył drutowanie, konieczne dla prawidłowego działania podgrzewacza konwekcyjnego. Jeśli tak było, oznaczało to, że na szczęście obwód elektryczny nie został uszkodzony.



Czy wypróbować już skok śmigła? Nie. Nie, dopóki John nie znajdzie się w zasięgu jego wzroku. Paul zaczął sprawdzać instrumenty pokładowe.

Co będzie, jeśli mechanizm skoku głównego wirnika nadal nie będzie działał?

## ROZDZIAŁ II

Na widełkach ponad specjalnie podświetlonym stołem, wisiał mikrofon, na którym leżała mapa.

- Tu kapitan. Gotowość bojowa! - Powtarzam: gotowość bojowa! To nie są ćwiczenia. Utrzymujcie ze mną stały kontakt.

Kapitan padał mikrofon Aldridge'owi, wszedł po stopniach na podwyższenie, gdzie stał jego fotel.

Okrażały ich dwa sowieckie okręty podwodne klasy Island. Jeden z nich próbował nawiązać z nimi łączność na częstotliwości używanej w nagłych wypadkach. Sowieci używali specjalnego szyfru, którego obecna załoga "Archangielska" nie mogła odczytać.

Jason Darkwood zacisnął palce na miękkich poręczach fotela dowódcy.

- Zdaje się, że wpadliśmy, sir - powiedział kapral Lannigan, spoglądając znad pulpitu radarowego.

- Chcę, żebyś wiedział, iż jestem zadowolony z twojej asysty, Lannigan. Bądź cały czas w gotowości.

Lannigan nie był specjalistą od hydrolokacji, ale Darkwood darzył tego młodzieńca zaufaniem. Wiedział, że może mu ze spokojem powierzyć stanowisko na mostku kapitańskim, przeznaczone tylko dla oficerów Korpusu Dowódczego lub nielicznych członków załogi.

Kapitan Aldridge, pełniący na okręcie Darkwooda obowiązki oficera wykonawczego, dotknął rany na lewym ramieniu i odwrócił się od pulpitu, pytając:

- Tak więc capnęli nas?

- Co z Rourke'em? - Darkwood wstał, ignorując pytanie, które uznał za retoryczne.

Jednakże pytanie Aldridge'a nie było retoryczne. Pomimo sztormu na powierzchni morza i okrążenia przez dwie wrogie jednostki można było jakoś wyjść z opresji.

- Sam, idź na stanowisko odpalania torped!

- Tak jest! - Aldridge skinął głową i odszedł od stołu z mapą.

Darkwood stał w miejscu, zastanawiając się nad reakcją podwładnego.

- Marynarzu Eubanks - zwrócił się wreszcie do mechanika. - Czy poradzisz sobie z tym, synu? Będziemy musieli płynąć tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Myślę, że tak, sir! Wszystko przygotowałem już wcześniej.

- Bardzo dobrze! - Kapitan pokiwał głową.

Wskaźniki diodowe pokazywały krzyżujące się trajektorie ruchu dwóch wrogich łodzi podwodnych. Czas upływał. "Archangielsk" płynął wciąż w takiej samej odległości od nieprzyjaciół. Sytuacja mogłaby się zmienić, gdyby któryś z okrętów nagle zwiększył szybkość.

- Siłownia! Stan reaktorów?

- Oba reaktory gotowe. Jedynie po stronie sterburty występują małe wahania ciśnienia.

- Zajmij się tym. Będę potrzebował pełnej mocy. Uzbrojenie!

- Tak jest! - odburknął Aldridge.

- Biegnij i sprawdź wyrzutnie torpedowe na rufie oraz na dziobie. Upewnij się, czy wszystkie są załadowane i gotowe do odpalenia. Zameldujesz mi stan ładunków.

- Tak jest!

Darkwood zmrużył oczy, obserwując ekran na pulpicie nawigacyjnym. Mógł na nim wyodrębnić zbliżające się, niezgrabne sylwetki dwóch łodzi podwodnych. Celowo unikał jakichkolwiek podejrzanych manewrów, aby nie przyspieszać tego, co było nieuniknione.

- Lannigan! Zorientuj się w łączności między nimi.

- Tak jest, sir.

Lannigan był ambitnym, młodym człowiekiem, marzącym o szlifach oficera i, jeśliby postępował jak dotychczas, miał spore szansę na promocję. Zważywszy stałą fluktuację kadr na Mid-Wake oraz nieustające walki, zawsze było zapotrzebowanie na dobrych oficerów, zdolnych i ambitnych. Jeśli wojna rozprzestrzeni się na ląd, będzie ich potrzeba jeszcze więcej. Była to dość ponura perspektywa.

- Utrzymują między sobą ciszę radiową, ale w tej chwili odbieramy osobiste wezwanie dla komandora Stakanowa, aby dał im odpowiedź, sir.

- Zawsze możemy powiedzieć im, że obecnie komandor prowadzi odprawę oficerów. Tak przypuszczam - powiedział półszepem Darkwood.

Jego wzrok przykuły dwie, zbliżające się do siebie linie, biegnące przez ekran. Dwie łodzie podwodne klasy "Island", z którymi zapewne przyjdzie mu stoczyć bitwę. A gdzieś tam, na powierzchni, w sztormie, doktor Rourke wraz ze swym przyjacielem Rubensteinem najprawdopodobniej nie mogli nic zrobić. O ile w ogóle jeszcze żyli. Z pokładowego komputera okrętu "Reagan" kapitan uzyskał wszelkie dane dotyczące śmigłowców. Z tego, co w nich znalazł, wynikało, że w takich warunkach śmigłowiec miał raczej nikłą szansę na utrzymanie się w powietrzu.

Dwie linie zbiegły się coraz bardziej.

- Daj mi na komputer obraz dziobu i rufy - rozkazał Darkwood.

Na monitorze widać było niezbyt silne, lecz dość wyraźne rozbłyski światła pozycyjnych rufy i dziobu.

- Pełna gotowość bojowa - poinformował Sam.

- Utrzymywać ją aż do odwołania - polecił.

Za ich kilwaterem było otwarte morze. Wszystko wskazywało na to, że dwa okręty podwodne planowały zablokować ewentualny odwrót "Archangielska". Pomimo to miał on jeszcze możliwość manewru.

- Lannigan! Spróbuj przebić się poprzez ich częstotliwość i sprawdź, czy poza normalnym zasięgiem jest jakaś transmisja ponad nami.

Darkwood czuł, że w pobliżu przyczała się jeszcze jedna łódź sowiecka. Obserwując na ekranie radarowym manewry dwóch okrętów, zorientował się, że chcą one skierować "Archangielsk" wprost na trzecią jednostkę. Z tej sytuacji musiało być jakieś wyjście! Nie miał zamiaru dać się okrążyć i zatopić. Taką ewentualność stanowczo wykluczał.

T.J. Sebastian pochylił się w kapitańskim fotelu.

- Łączność, czy macie coś z "Archangielska"? Porucznik Mott odwrócił się od pulpitu.

- Absolutnie nic, panie Sebastian. Ciągłe te same sygnały z łodzi do łodzi. Połączenie charakterystyczne dla okrętów klasy "Island", ale jest ono bardzo nieregularne i nadawane kodem

bojowym. Powtarzają się prośby o osobistą rozmowę z komandorem Stakanowem z "Archangielska".

- Bardzo dobrze, poruczniku. Informujcie mnie o każdym nowym sygnale.

Sebastian zwrócił się do stanowiska bojowego:

- Porucznik Walenski! Stan wyrzutni torpedowej.

- Stan wyrzutni dziobowych: pierwsza, druga, trzecia i czwarta, uzbrojone w samonaprowadzające silne ładunki wybuchowe, sir. Rufowe wyrzutnie torpedowe: pierwsza, druga, trzecia i czwarta, również tak samo uzbrojone, sir.

- Bardzo dobrze, pani porucznik.

Wstał i zszedł z podwyższenia, na którym stał kapitański fotel. Przeszedł na główny pokład stanowiska dowodzenia. Było tam pełno migocących lampek kontrolnych. Przez moment analizował jarzące się diodami kursy dwóch wrogich okrętów podwodnych i kurs trzeciego, na którego spotkanie najwyraźniej zmierzały dwa poprzednie, a którym był właśnie "Archangielsk" dowodzony przez Jasona Darkwooda.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym podniósł mikrofon wewnętrznego węzła łączności i powiedział:

- Tu kapitan Sebastian! Uwaga, uwaga! Alarm bojowy! Powtarzam: alarm bojowy! To nie są ćwiczenia!

Zawyła syrena. Sebastian odłożył mikrofon na miejsce.

- Łączność, czy jest coś nowego?

- Nie, sir. Same zakłócenia.

- Sonar! Ciągle wyłapujesz widmo? Podporucznik Kelly, nie podnosząc wzroku znad urządzenia, odpowiedziała:

- Cały czas, sir. Tak jak pan mówi, to może być tylko widmo.

- A jednak wydaje mi się to mało prawdopodobne - powiedział Sebastian, obserwując na ekranie krzyżujące się linie. Pułapka zamykała się. Było to widoczne jak na dłoni. Jednakże "Reagan", chcąc przyjść "Archangielskowi" z pomocą, musiał zachować ostrożność, gdyż zbyt łatwo mógłby sam wpaść w potrzask.

## ROZDZIAŁ III

John pociągnął łyk kawy z kubka trzymanego w drżących z zimna rękach. Helikopter wciąż stał na ziemi. Paul pochylony nad rozrusznikiem, próbował włączyć główny wirnik. Kiedy silnik zaskoczył, śmigłowiec zawibrował. Silne podmuchy wiatru spowodowały, że liny kotwiczne napięły się gwałtownie. Kawa z kubka wylała się na rękę doktora, nie parząc go jednak. Rourke zdał sobie nagle sprawę, że palce ma prawie odmrożone.

- Och, załapał. John! Spisałeś się na piątkę.

- Utrzymuj główny wirnik na wolnych obrotach, Paul. To przyspieszy rozmrożenie i nie wyląduję tak szybko akumulatora - wycedził Rourke, szcękając zębami.

Z wysiłkiem starał się balansować kubkiem tak, by przy gwałtownych przechyłach maszyny jak najmniejsza ilość kawy przelewała się przez brzeg naczynia. Musiał sprawdzić swój M-16, jednak przede wszystkim trzeba było się rozgrzać. Oprócz niego John miał z sobą jeszcze inną broń.

Przez chwilę szperał w kieszeniach lotniczej kurtki, wyjmując w końcu z jednej z nich niemieckie cygaro. Jego końcówka była już obcięta. Z kieszeni spodni wojskowych wyciągnął starą, zużytą zapalniczkę Zippo, przesunął osłonkę i przekręcił zębatkę. Uśmiechnął się. Zapaliła za pierwszym razem. Koniec cygara objął żółto-niebieski płomień. Wypuścił chmurkę szarego dymu.

Z rozruchem silnika nie musieli się spieszyć. Przy takim wietrze tylko mistrz pilotażu lub kompletny idiota, podjąłby próbę oderwania się od ziemi. Byłaby to śmierć na własne życzenie.

Annie przeszła odprawę tak szybko, jak to było możliwe. "Reagan" już odpłynął. Niektóre informacje, które dotarły do Sebastiana i reszty załogi, nie wyłączając Maggie Barrow, mocno ich zmartwiły.

Ubranie, które miała na sobie, dostała od pokładowego lekarza "Reagana". Czowała się trochę nieswojo, paradując w mundurze bez dystynkcji, przez co zwracała powszechną uwagę.

Letni, błękitny mundur był jednym z trzech, które jej zostawili wraz z kartką o tej treści: "Przepraszamy, ale musieliśmy cię zostawić. Zobaczymy się po powrocie. Zaufaj doktorowi Rothsteinowi. On jest najlepszy". Może i był, lecz Annie bała się śmiertelnie. Dlaczego więc poprosiła o możliwie szybkie skontaktowanie się z nim?

Pokręciła głową. Zdjęła z siebie uniform i, ubrana w halkę, usiadła na krawędzi łóżka.

Zauważyła, że mieszkanki Mid-Wake ubierały się tak, jak kobiety na filmach wideo, które oglądała. Nosiły buty na wysokim obcasie, były czyste i zadbane. Wszystko tam wyglądało tak, jakby nagle zastygło na pięć wieków i teraz, ni stąd ni zowąd, ożyło. Jakby kilku naukowców, poszukiwaczy i wojskowych zostało odciętych od reszty świata.

Annie Rourke-Rubenstein uśmiechnęła się. Kobiety tutaj zapewne oglądały te same filmy, co ona. Wstała z łóżka. Nie włożyła uniformu. Mimo iż było jasno jak w dzień wiedziała, że jest noc. Zmieniła pończochy ze zwykłych na czarne, ściśle przylegające do ud. Takie same widziała u Natalii. Następnie wdziała bluzkę z długimi rękawami, o miękkim, łukowatym kołnierzyku i z sześcioma

guzikami na każdym mankiecie. Włożyła krótką obcisłą spódnicę, sięgającą połowy łydek, buty na wysokim obcasie, również czarne. W tym ubraniu czuła się bardzo swobodnie, choć okazje do nałożenia go zdarzały się niezwykle rzadko.

Natalia.

Annie spieszyła się. Zrezygnowała z biżuterii, mówiąc sobie, że to nie umniejsza jej elegancji. Włosy spadające na ramiona ściągnęła do tyłu i spięła w fantazyjny kok.

- Musisz zrobić na nich wrażenie! - uśmiechając się powiedziała do siebie. Spojrzała w lustro ostatni raz.

Wyszła z pokoju. Dwie kobiety z Ochrony czekały na nią, by towarzyszyć dziewczynie do miejsca spotkania. Na samą myśl o rozmowie z Rothsteinem poczuła skurcz w żołądku.

- Tagachi, atak peryskopowy! - rozkazał Sebastian podchodząc do peryskopu.

- Tak jest, kapitanie Sebastian! - odkrzyknął starszy marynarz Morris Tagachi, który stał pochylony nad tablicą rozdzielczą.

Odpowiednie dźwignie poszły w dół. Sebastian spojrzał na ekran.

- Zwiększyć moc!

- Tak jest, sir!

Był pewny, że w ciemnościach morza zauważył jakiś ruch. Nagle ławica dużych ryb zmieniła kierunek, płynąc ku górze. Mógł przysiąc, że spostrzegł czarny cień kadłuba oraz kilwater.

- Peryskop w górę, Tagachi!

Szybko przeszedł w poprzek pokładu w stronę kapitańskiego fotela. Usiadł. Włączył odpowiedni przycisk umieszczony w oparciu.

- Komputer! Tu kapitan Sebastian.

Po chwili odezwał się znajomy, trochę irytujący, sztuczny głos:

- Identyfikacja głosu potwierdzona. Proszę kontynuować, koman... kapitanie.

“Ciekawe - pomyślał Sebastian. - Awans wręczono mi po dziesięciominutowej rozmowie z admirałem Ranem. Jakim cudem komputer dowiedział się o tym? Interesujące! Ale nie czas na wyjaśnienia.”

- Analiza ruchu sowieckiej łodzi podwodnej przy próbie jej całkowitego zamaskowania, z użyciem sonaru.

- Przyjąłem.

Marynarz wpatrzył się w ekran komputera. A jednak była tam czwarta łódź podwodna kasy “Island”! Jedną dowodził Darkwood, dwie kolejne były zidentyfikowane. No i ta ostatnia... Wreszcie, w głośniku obok tablicy rozdzielczej, dał się słyszeć głos:

- Program maskujący sowieckiej łodzi podwodnej, przy pomocy sonaru, nie może być dokładnie zidentyfikowany. Osiemnastego września dwa tysiące dwudziestego szóstego roku w pobliżu Rowu Aleuckiego odkrycie sowieckiego wraku z hydrolokatorom typu pasywnego. Zawierał on komponenty nieznane w porównaniu ze sprzętem poprzednio stosowanym na okrętach sowieckich. Dwudziestego szóstego grudnia dwa tysiące trzydziestego pierwszego roku, sprawa “Żelaznodorożnej Cyfry”, przechwycenie połączenia między kwaterą Główną sowieckiej Marynarki Wojennej a sowiecką łodzią podwodną “Torpeda” klasy “Island”, zatopioną w starciu z okrętami podwodnymi USS “Ronald Wilson Reagan” i USS “John Wayne” jedenastego listopada dwa tysiące trzydziestego dziewiątego roku, dotyczącej udanej próby projektu “Potiomkin”, przeprowadzonej przez sowiecką

łódź podwodną "Michajłow" klasy "Island" w pobliżu rowu Yap. W czasie patrolu, niedaleko atolu Eauripik, w pobliżu wyspy Karoliny, USS "George Herbert Walker Bush" nie wykrył żadnej obcej łodzi podwodnej pomimo licznych sygnałów o aktywności okrętów podwodnych wroga w pobliżu "Busha". Czternastego lutego dwa tysiące czterdziestego pierwszego roku, personel Instytutu badań Naukowych Marynarki wojennej Mid-Wake przedstawił raport, którego streszczenie brzmi: Sowiecka Marynarka Wojenna jest w trakcie zaawansowanych badań wdrożeniowych, dotyczących produkcji niemożliwej do zlokalizowania przez sonar jednostki podwodnej, która byłaby niewidzialna dla konwencjonalnych urządzeń hydrolokacyjnych, powszechnie stosowanych przez okręty Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych". Koniec streszczenia.

- Dziękuję. To wystarczy - powiedział wyraźnie Sebastian. - Nawigator!

- Tak, sir! - odezwał się podporucznik Lureen Bowman, odwracając się w stronę kapitana.

- Zmieniamy dotychczasowy kurs. Omijamy miejsce akcji, aby wejść w kontakt z trzecią, jednostką wroga. W przybliżeniu sześćset jardów w dół od lewej burty. Wchodzimy na kurs "Archangielska".

- Trzeci okręt, panie kapitanie.

- Twój wyostrzony słuch mnie nie zawiódł. My widzimy dwa okręty, ale w rzeczywistości są trzy.

Sebastian, choć nie robił tego zazwyczaj, teraz szedł *va banque*. Takie ryzyko z jego strony było czymś niespotykanym.

- Porucznik Walenski. - Oficer do spraw uzbrojenia odwróciła się, aby dać odpowiedź, ale Sebastian nie czekał. - Potwierdzić stan uzbrojenia wszystkich wyrzutni torpedowych oraz wyrzutni sterowanych pocisków głębinowych, zarówno na lewej, jak i na prawej burcie! - przerwał, a po krótkiej chwili zawołał:

- Mechanik Harnett!

- Tak, kapitanie.

- Nastawcie reaktory z lewej i prawej burty na pełną moc.

- Tak jest, kapitanie Sebastian. - Harnett skinął głową i przeczesał dłonią tłuste, ciemne włosy.

Darkwood mógł rzeczywiście spróbować wykonać manewr, którym jego ojciec prawie czterdzieści lat temu zakończył legendarną bitwę o Rafę Minerów. Ten sam manewr całkiem niedawno powtórzył Jason, podczas udanej próby odbicia kapitana Aldrige'a i pozostałych więźniów, wśród których był doktor Rourke, z sowieckiego kompleksu podwodnego, lecz to, co okazało się skuteczne podczas walki z admirałem Suworowem, mogło okazać się nieprzydatne na tak doskonale zastawionej pułapce. I jeśli Jason Darkwood na pokładzie "Archangielska" był nieświadomy faktu, że trzecia wroga łódź podwodna czekała na niego, to mógł albo popłynąć prosto na jej torpedy, albo, co gorsza, zderzyć się z nią w momencie, gdy silniki "Archangielska" pracowałyby na pełnych obrotach.

Jason jeszcze nigdy nie próbował swojej sztuczki z okrętem tak wielkim i powolnym w manewrowaniu. Wiadomo było, że sowieckie jednostki klasy "Island" nie reagowały tak szybko na zmianę steru, jak ich amerykańskie odpowiedniki.

Sebastian potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że nie zna przecież dobrze nawigacyjnych umiejętności Darkwooda. Na jakiej podstawie uważał, że bez jego pomocy Jason sobie nie poradzi? Miał dobre intencje, ale pomimo to nagle zaczął się wstydzić, że posądził Jasona o brak przezorności.

- Kapitanie, torpedy dziobowe i rufowe - uzbrojone. Niezależne, samonaprowadzające silne ładunki wybuchowe - gotowe.

- Dziękuję, pani porucznik.

Nie było potrzeby przypominać Louise Walenski, żeby pilnie pełniła swe obowiązki. Czasami Sebastian myślał, że Louise urodziła się na oficera. On z kolei nie. Bitwy były niefortunną konsekwencją jego profesji. Te ludzkie istoty nie miały wyboru. Musieli polować na siebie niby dzikie, porwane jakimś obłędem, bezlitosne, morskie stworzenia. Jednakże aby przeżyć, trzeba było wziąć udział w tym szaleństwie.

Kapitan spojrzął się na ekran echosondy. Mógł już zobaczyć "Archangielsk". Nadchodził moment, w którym okręt nie będzie miał możliwości ucieczki. Sebastian zacisnął pięści. Żałował, że teraz na tym fotelu nie siedział Jason Darkwood.

- Łączność! Nadaj do "Archangielska" w ostatnio używanym kodzie, żeby był spokojny. Nasi przeciwnicy nie mają żadnych szans. Okręt podwodny USS "Ronald Wilson Reagan" idzie mu na pomoc na wypadek, gdyby doszło do oczekiwanej potyczki z dwoma wrogimi okrętami.

- Dwoma, sir? Myślałem...

- Nadajcie, jak mówię, poruczniku Mott. Kontynuujcie nadawania tej informacji tak długo, aż otrzymamy odpowiedź lub nawiążemy bezpośredni kontakt bojowy z wrogiem.

- Tak jest, sir.

Kolejny ruch należał do Darkwooda. Chyba, że wróg go uprzedzi. Sebastian nie musiał mówić porucznikowi Mottowi, że "Archangielsk" powinien dać odpowiedź. Darkwood był starym, sprytnym lisem. W każdym razie komputer skopiuje i dokładnie, z jaką otrzyma ją Mott, będzie bez zarzutu.

- Marynarz Tagachi!

- Tak, sir.

- Peryskop w górę, jak podczas ataku. Jesteśmy obserwowani.

- Sir?

- Wykonać!

Sebastian zszedł kilka stopni w dół i zatrzymał się przed tablicą rozdzielczą.

- Komputer!

Nie mówił teraz do bezcielesnego członka załogi, ukrytego wewnątrz obwodów elektrycznych okrętu. Zwrócił się do szefa stanowiska komputerowego, podporucznika Rodrigeza.

- Tak, sir?

- Skonsultujcie mnie z bankiem danych w komputerze i spróbujcie określić tak dokładnie, jak tylko jest to możliwe, czynnik maksymalnego przyspieszenia dla łodzi podwodnej klasy "Island", płynącej jedną trzecią szybkości bocznej i zmieniającej prędkość na wsteczną manewrową. Weźcie pod uwagę takie czynniki, jak czas na reakcję niedoświadczonej jeszcze załogi, a także rozważcie nie mniej istotny fakt, że człowiekiem stojącym za kołem sterowym okrętu klasy "Island", jest Jason Darkwood.

- Tak jest, sir.

Spoglądał na zbiegające się linie. Prawie stykały się z sobą. Za parę chwil Darkwood będzie zmuszony do działania.

- Kapitanie!

- Tak, Mott? - Sebastian odwrócił się w kierunku stanowiska łączności.

- Sir, właśnie odebrałem wiadomość od komandora Darkwooda z pokładu "Archangielska"!



- Czytaj!

- Tak jest, sir - Mott odchrząknął i zaczął czytać: - Pozdrowienia dla admirała Rahna, dowódcy USS "Ronald Reagan". Radzę za wszelką cenę chronić okręt flagowy. Projekt "Damokles" wszedł w fazę realizacji. Dwa wrogie okręty są bliskie zniszczenia. Podpisano: Darkwood, kapitan USN, dowódca USS "Roy Rogers", byłego sowieckiego okrętu podwodnego "Archangielsk".

T.J. Sebastian uśmiechnął się.

- Sir, co to jest Projekt "Damokles"?

Sebastian ciągle się uśmiechał. Przypomniał mu się stary film, oglądany na wideo, o człowieku zwanym "Królem Kowbojów". Lewa brew Sebastiana uniosła się, gdy mówił:

- Sądzę, Mott, że kapitan Darkwood życzy nam "miłego polowania". Niedługo się okaże, czy jego życzenie się spełni.

Sebastian zerknął na ekran sonaru. W następnej chwili Jason powinien wykonać swój ruch.

- Łączność! Przesyłam pozdrowienia od admirała Rahna dla USS "Roy Rogers". - Nadawał i tym samym kodem. - Informuję kapitana Darkwooda, że flotylla czeka w pogotowiu bojowym!

Jason wiedział o trzeciej łodzi podwodnej.

Jason Darkwood stał nad nieznanym mu pulpitem rozdzielczym.

- Marynarzu Eubanks! Potwierdzić pełną sprawność i gotowość reaktorów.

- Tak jest, sir.

- Sam! Bądź gotów z wyrzutniami sterowanych pocisków głębinowych po lewej i prawej burcie. Uważaj na mój sygnał!

- Tak jest, sir.

- Kapral Lannigan! Zawiadomić "Reagana", że USS "Roy Rogers" jest gotów oddać się pod rozkazy admirała Rahna!

- Tak jest, sir!

Darkwood przeszedł na stanowisko nawigacyjne i powiedział do stojącego tam bosmana:

- Bądźcie gotowi.

- Tak jest, sir!

Położył ręce na instrumentach pulpitu. Okręty klasy "Island" były nieokiełznanymi bestiami, ale ten musiał teraz być mu posłuszny.

- Silniki gotowe?

- Tak jest, sir!

- Doskonale. Na mój znak - cała wstecz. Nie dbam o to, czy przegrzejemy te cholerne reaktory. Jeśli nie uzyskamy całej mocy, to i tak zginiemy. Prawda?

- Tak jest, sir!

- Bardzo dobrze. Eubanks.

Darkwood nie przestawał obserwować instrumentów. Chciał przekręcić rączkę telegrafu maszynowego.

- Sam! Zerknij szybko na sondę. Gdzie oni są? Przez chwilę panowała cisza.

- Może o sto jardów za naszą rufą, Jason.

- Stań na swoim stanowisku, Sam. Przygotuj wyrzutnie sterowanych pocisków głębinowych. Na mój znak odpalisz je. Następnie bądź gotów na wykorzystanie pierwszej i trzeciej dziobowej wyrzutni. Upewnij się, czy dobrze wycelowałeś. Nie chciałbym trafić "Reagana" lub jakiegoś innego

okrętu flotylli admirała Rahna - Darkwood wyszczerzył zęby. - Rozumiesz?

- Tak jest!

Jason uśmiechnął się.

- Jeszcze będzie z ciebie marynarz, Sam.

- Za pozwoleniem, kapitanie, też mam taką nadzieję.

Darkwood zacisnął dłoń na rączce telegrafu. Liczył, w myśli oceniając prędkość i czas.

Po pięćdziesiąt jardów z każdej strony. Jeśli wyrzutnie pocisków odpalą zbyt szybko, "Roy Rogers" zostanie zgnieciony jak kartka papieru. Jediną pocieszającą rzeczą w tej sytuacji była możliwość tak nagłej śmierci, że nawet nie będą mieli czasu, by sobie uświadomić.

Skinął głową i przymknął oczy.

- Czterdzieści jardów - szeptał do siebie. - Trzydzieści jardów. Dwadzieścia jardów! Teraz, panowie! Maszynownia i uzbrojenie w pełnej gotowości!

Gwałtownie przesunął dźwignię telegrafu w tył, zmieniając komendę z jednej trzeciej naprzód na całą wstecz. Jeśli coś tam nie trzaśnie, to może im się uda.

- Odpal te cholerne torpedy. Sam!

- Poszły, Jason!

- Więcej mocy w silnikach! Najwyżej spalą się reaktory! Pokład okrętu wibrował. Przez moment, dosłownie przez ułamek sekundy, Darkwood miał wrażenie utraty grawitacji. Nagle łodzią szarpnęło. Czujniki pokładowe jarzyły się czerwono, wskazując kierunek wsteczny.

Wtedy eksplodowały torpedy. Nieco za wcześnie. Była to zresztą cecha sowieckich pocisków. Niespodziewanie fala eksplozji szarpnęła "Archangielskim", który stracił trym.

Darkwood krzyknął w stronę Eubanksa:

- Maszynownia! Więcej mocy albo zginiemy! Powiedz obsłudze reaktora, że potrzebuję wskaźniki maksimum mocy, i to już teraz! Ruszaj się!

Pociągnął gwałtownie za dźwignię przyspieszenia. Głuche odgłosy wybuchów sterowanych pocisków głębinowych powodowały narastający wokół nich warkot i brzęczenie luzujących się śrub.

- Sam! Sprawdź odczyty na tablicy rozdzielczej! Szybko!

- Nie wyjdziemy z tego, Jason!

- Bądź gotów z torpedami! Nie odpalaj ich, dopóki ci nie powiem!

Jeśli poradzi sobie z tymi dwoma łodziami klasy "Island", zanim one rozerwą go niczym pustą blaszankę, wówczas wystrzeli dwie dziobowe torpedy i zejdzie z dotychczasowego kursu. Jeśli...

Rozkazał opróżnić zbiorniki z balastem po stronie sterburty dla odzyskania prawidłowego trymu.

- Jeśli... - powiedział do siebie.

Sebastian przestał analizować tablicę rozdzielczą. Usiadł w kapitańskim fotelu.

- Nawigator! Nanieście korektę kursu, którą podam wam za chwilę! Cała naprzód! Sześćdziesiąt stóp w górę!

- Tak jest, sir!

Odwrócił się w fotelu, wydając rozkaz porucznik Walenski:

- Uzbrojenie! Przygotować się do odpalania torped jeden i trzy!

- Jaki cel, sir?

- Zaraz podam cel. Sonar! Czy coś dzieje się przed nami?

- Eksplozje torped z "Archangielska", sir - odrzekła podporucznik Julie Kelly. - Nie mogę...

Chwileczkę, sir! Złapałem dwie torpedy naprowadzone wprost na nas, ale żadna z nich nie pochodzi z tych dwóch obcych okrętów!

- W jakiej odległości od nas są torpedy?

- O siedemnaście sekund.

- Bardzo dobrze. Nawigacja! Wyłączyć aktywny hydrolokator i wyznaczyć kurs na dwa zlokalizowane okręty wroga. Schodzimy z kursu tych torped. Maszynownia, przygotować się do manewru wymijającego i zawiadomcie obsługę reaktorów, aby byli gotowi na duże przyspieszenie!

- Piętnaście sekund i wciąż się zbliżają, sir - niemal automatycznie wyrecytowała Kelly.

- Dziękuję. Uzbrojenie! Ustalić azymut do wystrzelenia dwóch torped w kierunku wroga. Odpalić wyrzutnie jeden i trzy dokładnie w sam środek między ich kursami! Dostosować się do prędkości okrętu klasy "Island", płynącego do nas bokiem, w kierunku dwóch okrętów wroga!

- Tak jest, sir. Jest obliczanie.

- Nawigator! Czas nam ucieka!

- Wziąłem to pod uwagę, sir.

- Dwadzieścia sekund i wciąż się zbliżają - rzekła Kelly.

- Maszynownia! Gotowi do przyspieszenia?

- Nawigator! Gotowe?

- Tak jest, sir!

- Uzbrojenie! Gotów?

- Tak jest, sir!

- Dziesięć sekund, sir - rzuciła Kelly.

- Uzbrojenie! Odpalać we właściwym momencie!

- Tak jest, sir. Rozpoczynamy odpalanie... teraz! Sebastianowi wydawało się, że w momencie odpalania torped poczuł lekkie wibracje kadłuba. Kątem oka spojrzał na Motta.

- Łączność! Przypomnieć załozie śródokręcia, aby pamiętali o możliwości kolizji!

- Tak jest, sir!

W czasie, gdy Mott wypełniał jego polecenia, Sebastian wydał kolejny rozkaz:

- Maszynownia! Włączyć przyspieszenie!

- Tak jest! Przyspieszenie włączone!

- Torpedy jeden i trzy odpalone, sir. - powiedziała Walenski.

Sebastian utkwiał wzrok w tablicy rozdzielczej. Widział pozycję "Archangielska" i szyk okrętów wroga, zakleszczający się wokół łodzi Darkwooda.

- Sonar! Podaj pozycje tych cholernych torped!

- Jedenaście sekund. Dwanaście. Teraz trzynaście...

- Powiadomcie mnie, gdyby ponownie osiągnęły dziesięć sekund.

- Tak jest, sir.

- Maszynownia! Przygotować się do wyłączenia przyspieszenia.

- Gotowi do wyłączenia, sir!

- Skopiowałem to, sir - odezwał się Saul Harnett.

- Wyłączyć przyspieszenie!

- Jest, wyłączone - zawołał Harnett, a Lureen Bowman powtórzył tę odpowiedź.

- Cała wstecz! Wynieście nas sto stóp w górę tak szybko, jak to tylko możliwe, poruczniku.

- Jest cała wstecz. Ładujemy powietrze do głównych zbiorników lewej i prawej burty. Idziemy w

górze!

- Sonar, co z torpedami wroga?

- Jedenaście. Dziesięć. Dziewięć...

- Nawigacja! Pół naprzód, ster pięć stopni w lewo i pięćdziesiąt stóp w górę! Uzbrojenie, przygotować wyrzutnie sterowanych pocisków głębinowych i nastawić je na dwa widoczne okręty wroga!

- Mam odczyt z odpalonych torped, sir.

- Trafiliśmy, poruczniku?

- Pierwsza potwierdzona. Trzecia... Trzecia także weszła, sir!

Rozległy się głośnie okrzyki triumfu.

- Pierwszy egzamin zdany - powiedział Sebastian i zaraz zawołał: - Sonar, pozycja sowieckich torped?

- Dokładnie pod nami, sir. Właśnie przeszły.

- Nawigator! Cała wstecz, ster silnie w prawo, sprowadź tę łajbę na około sto osiemdziesiąt stopni i wtedy daj całą naprzód!

- Jest cała wstecz, sir, ster na prawo, sprowadzić na kurs i cała naprzód.

- Bardzo dobrze. Sonar, co się dzieje?

- "Archangielsk" odpalił torpedy. Uszkodził jedną z sowieckich łodzi.

- Nawigator! Wyznaczyć najkorzystniejszy kurs na drugi okręt klasy "Island". Powiadomić uzbrojenie, kiedy będziemy go mieli na linii strzału. Łączność, przekazać załodze, aby pozostała na stanowiskach bojowych.

- Tak jest, sir! - odkrzyknął Mott.

- Uzbrojenie! - krzyknęła Bowman. - Zbliżamy się do celu. Natychmiast przygotować się do odpalenia następnych torped!

- Zrozumiano! - odkrzyknęła Walenski. - Pozostałe torpedy dziobowe gotowe do odpalenia!

- Przeliczyć optymalny czas odpalania torped i wystrzelić je w momencie, który uznacie za najbardziej odpowiedni. Łączność, przesłać na pokład "Archangielska" gratulacje od admirała Rahna.

- Tak jest, sir.

- Odpalamy druga i czwarta, sir - zawołała Walenski.

- Przyjąłem. Wstrzymać się z odpalaniem!

- Jest, wstrzymać się z odpalaniem!

- Nawigator! Skoro tylko torpedy zostaną wystrzelone, zmienić kurs o pięć stopni w prawo. Podprowadzić nas na odległość pięciuset jardów od "Archangielska" i o sto stóp powyżej niego.

- Tak jest, kapitanie. Przepraszam, sir. Sebastian nie chciał, by nazywano go kapitanem.

- Znacze swoje zadania, Bowman?

- Tak jest, sir.

- Wykonać!

- Torpedy z drugiej i czwartej wyrzutni odpalone, sir!

- Bardzo dobrze!

- Sir! - zawołał Mott. - Odbieram sygnał alarmowy z drugiej sowieckiej łodzi! Ona...

- Możecie wyrazić im nasze ubolewanie. T.J. Sebastian, odwracając się, wyszeptał:

- Idiotyzm!

## ROZDZIAŁ IV

Na pokładowym radarze pojawił się świetlisty punkt. Zaskoczony tym Paul Rubenstein zawołał:

- John!

- Jestem za tobą - odpowiedział Rourke.

Obaj z uwagą obserwowali ekran. Sygnał ostrzegał o obecności nieznanych obiektów. Prawdopodobnie byli to ludzie, niosący sporą ilość metalowych przedmiotów. Szli z północy w kierunku wschodnim. Doktor spojrział na odczyt anemometru. Prędkość wiatru w porywach wahała się od dwudziestu sześciu do czterdziestu ośmiu, a nawet pięćdziesięciu mil na godzinę. Próba startu przy tej pogodzie byłaby samobójstwem.

- Ubieraj się, Paul - powiedział do swego towarzysza.

Siedziała z rękoma na kolanach. Patrzyła na obraz wiszący nad biurkiem doktora Rothsteina. Była to kopia płótna Van Gogha pod tytułem "Jedzący kartofle". Matka przekonywała ją kiedyś do tego malarza, ale Annie miała raczej gusta zbliżone do ojca.

Wolała Remingtona, Russella i Delacroix. W Schronie była nawet teczka z komiksami i żartami rysunkowymi. Jak przez mgłę pamiętała historyjki obrazkowe w gazetach, które tak lubiła oglądać w dzieciństwie, jeszcze przed Nocą Wojny.

Ktoś otworzył drzwi, znajdujące się za jej plecami. Ostrożnie przesunęła się na krawędź krzesła, po czym lekko odwróciła głowę, aby spojrzeć przez ramię w tamtym kierunku. Do pokoju wszedł wysoki, chudy, lekko łysiejący mężczyzna. Miał na sobie sportową koszulę, szerokie marynarskie spodnie i białe buty. Wąskie usta i mała, kozia bródka lekarza, przywiodły jej na myśl psychiatrę z pewnego filmu, oglądanego na wideo.

- Pani Rubenstein?

- Tak, sir - skinęła głową. - Doktor Rothstein?

- Tak. Czuję, że pod względem etnicznym mamy wiele wspólnego.

- Mój mąż, Paul jest...

- Wyobrażam sobie, jaki był szczęśliwy, gdy dowiedział się, że nie jest jedynym Żydem, jaki został na świecie - powiedział z uśmiechem Rothstein.

- Tak, rzeczywiście - dziewczyna roześmiała się.

- Oczywiście, przy tak małej populacji Mid-Wake nie ma nas tutaj wielu. Ale... No, cóż. Zapoznałem się z danymi na temat pani i major Tiemierowny. Czy prawidłowo wymówiłem jej nazwisko? Mój rosyjski zawsze był okropny.

- Całkiem znośnie, doktorze. Czy myśli pan...

- Mogę spróbować - psychiatra usiadł w wygodnym fotelu. - Zrobić to może każdy, pani Rubenstein. I, jak należy wnioskować z notatek doktor Barrow, byłaby pani skłonna nam pomóc. A propos, muszę przyznać, że pani doktor postawiła doskonałą diagnozę. Z braku lepszego wytłumaczenia uznała, że major Tiemierowna zdradza klasyczne symptomy depresji, ale podświadomie czuje, że jest coś jeszcze. To, co sugerowała doktor Barrow, zostało potwierdzone, ale zastanawia mnie niezwykle duże rozproszenie świadomości chorej. Oczywiście, będę musiał przetestować pani zdolności ESP.

- Są dość wysokie - powiedziała Anna.

Spojrzała w dół, na swoje dłonie. Dostrzegła leżący na spódnicy skrawek białego bandaża.

Zastanawiała się, czy nagle strzepnięcie go na podłogę nie będzie odebrane, jako objaw zbytnej impulsywności.

- Tak, rozumiem. Czy kiedykolwiek poddano panią hipnozie?

- Nie całkiem. Ale mogłabym spróbować.

- Musi pani coś zrozumieć, pani Rubenstein. Proszę odpowiadać tylko na te pytania, na które będzie pani rzeczywiście mogła udzielić odpowiedzi bez skrepowania - powiedział. - Widzi pani, gdybym mógł panią skutecznie zahipnotyzować, a pani z kolei mogłaby odczytać myśli Tiemierowny, to jedynym pożytkiem dla mnie byłaby w pierwszym rzędzie próba zarejestrowania jej myśli w pani umyśle. To oznacza, że pani własne myśli będą musiały być całkowicie wyeliminowane. Jednak zawsze istnieje niebezpieczeństwo...

- Natalia jest moją przyjaciółką, doktorze.

- Istnieje realne niebezpieczeństwo, że szok wywołany tą operacją, będzie tak duży, że jej myśli zawładną pani świadomością. Zapewniam: będzie pani żyła bez względu na to, co ona ma w swojej głowie. Miałem okazję przebywania z major Tiemierowną tylko przez kilka chwil, lecz opierając się na moich wrażeniach, sądzę, że jej depresja jest bardzo głęboka. Tak głęboka, iż wszelkie doznania powodują cierpienie. Istnieje ryzyko, że cokolwiek spowodowało u niej taki stan, cokolwiek, jak to się mówi, pchnęło ją na krawędź, może pchnąć panią również. Tak więc zamiast wyleczyć major Tiemierownę, może pani skazać samą siebie na to samo.

- Skazać? - Annie zaniepokoiła się. Strzepnęła ze spódnicy skrawek bandaża, po czym spytała: - Co pan ma na myśli, mówiąc o "skazaniu"?

- Biorąc pod uwagę cały dorobek naukowy naszej medycyny i psychiatrii, zadziwiająco mało wiemy o głębokich recesjach ludzkiej podświadomości. Jeśli pani zdolności są rzeczywiście tak duże, to tym samym stanowi pani wspaniały obiekt doświadczalny do studiów psychiatrycznych. To niepowtarzalna możliwość wejrzenia w umysł osoby dotkniętej depresją. Muszę również pani powiedzieć, że jeszcze nigdy nie przeprowadzono eksperymentu o takim znaczeniu, przynajmniej tutaj, ponieważ oczywiście, nie mamy pojęcia, co w tej dziedzinie robią Sowieci. I jestem zobowiązany powiadomić panią, że nie jesteśmy w stanie ocenić stopnia ryzyka, które może pociągnąć za sobą to przedsięwzięcie.

- Jestem gotowa podjąć to ryzyko.

- Co na to powiedziałaby pani mąż, pani Rubenstein?

- Czy kobiety w Mid-Wake są traktowane jako istoty drugorzędne, doktorze?

Rothstein uśmiechnął się.

- Nigdy tego nie powiedziałem. Ale może byłoby mądrzej, żeby...

- Zapewniam pana, że jestem zdolna do samodzielnego podjęcia tej decyzji. Jestem wolnym człowiekiem i sama o sobie decyduję. W czym więc problem?

- No cóż, młoda damo, na przykład testy...

- Możemy zacząć je w tej chwili.

Doktor wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

- Nonsens. Będzie pani potrzebowała... Annie rozbolała głowa.

- ... kilku dni odpoczynku i rehabilitacji? Znow się uśmiechnął.

- Całkiem udany trik, pani Rubenstein.

- Proszę intensywnie o coś pomyśleć.

- Nie mam zamiaru zabawiać się z panią, pani Rubenstein.

- Niech pan to zrobi!

Wstała, opierając palce na blacie biurka.

- Ja...

- Już pan to zrobił. Był pan ciekawy, jak by to było, gdyby pan przespał się ze mną.

- Ależ pani Rubenstein!

- Pomyślał pan o pierwszej dziewczynie, z którą się pan kochał. Na imię miała Mary, Marta czy Martha i zrobiliście to w pokoju jej rodziców, a obok, w drugim pomieszczeniu, spała wtedy jej młodsza siostra...

- Do diabła, pani Rubenstein!

Nigdy przedtem tego nie robiła. Opadła ciężko na krzesło. Ból rozsadzał jej czaszkę...

John przemarzył do szpiku kości. Od północy nadchodziło ośmiu mężczyzn. Rękoma w ciepłych rękawicach przyciskał do siebie M-16. Klęczał w mokrym śniegu między skałami.

Ciekawe, jakiego rodzaju sprzęt elektroniczny dźwigali z sobą ci Sowieci? Czy mogliby się spodziewać, że jeden człowiek z karabinem czeka na nich, ukryty między skałami, chcąc za wszelką cenę ich zatrzymać, a drugi oczekuje ich niedaleko śmigłowca? Czy zdawali sobie sprawę z tego, jaką wartość przedstawia taki szturmowy helikopter?

Rourke wiedział, że patrol znajduje się poza zasięgiem skutecznego strzału. Potwierdzały to także wskazania noktowizyjnego celownika wbudowanego w okulary Johna.

Ośmiu mężczyzn. Skąd się tu wzięli? Ilu ludzi znajdowało się za nimi? Nie znał nawet wyspy, na której wylądowali. Zbyt wiele niewiadomych. Szybkie rozwiązanie tych zagadek było teraz niemożliwe. Ani on, ani Paul nie mieli na to czasu.

Kiedy wreszcie skończy się ta noc?

## ROZDZIAŁ V

Sarah zaparzyła kawę, rezygnując z dostosowania rytmu swego organizmu do czasu, który wydawał się tu obowiązywać.

Gdyby choć przez chwilę mogła zostać sama, lub tylko ze swoimi bliskimi, zapewne poczułaby się bardziej odprężona. Wszystko, czego teraz pragnęła, to zdjąć z siebie spodnie, wskoczyć w szlafrok i podrapać się po brzuchu. Zrobienie tego tutaj, w Schronie, w obecności Wolfganga Manna, rannego Akiro i dwóch żołnierzy Manna, byłoby nie na miejscu.

Gdy przechodziła obok barku, który na moment ją zakrył, ukradkiem potarła swędzące miejsce.

- Sarah?

Stał tam pułkownik Mann. Odwróciła się w jego kierunku. Właśnie obserwował z uwagą ekrany elektronicznego systemu alarmowego Schronu. Jej mąż, John Rourke, przy pomocy niemieckiego sprzętu poprawił nieco jakość odbioru, ale monitory wyglądały wciąż tak samo jak pół wieku temu.

Pięćset lat temu Sarah obserwowała na nich gigantyczne eksplozje, ogniste kule toczące się po ziemi i elitarne jednostki KGB.

O mało nie upuściła filiżanki z kawą.

- O co chodzi, Wolfgang? - spytała.

Ciągle czuła się niezręcznie, zwracając się do pułkownika po imieniu, ale Mann nalegał, by tak robiła.

- Im więcej wiem o twoim mężu, tym bardziej nabieram do niego szacunku. Ten elektroniczny system ochrony jest wręcz zdumiewający. Nie chodzi o same urządzenia, ale o sposób ich użycia, ich sprawność, nowoczesność...

- Zawsze był bez zarzutu. Tak jak John - zgodziła się Sarah.

- Tak. John jest więcej niż sprytny. Powinien móc działać dla dobra ludzi, ratować im życie, a nie być zmuszonym do walki z nimi, by przeżyć - odrzekł oficer.

- No cóż. Wydaje mi się, że zawsze pochłaniało go to zadanie przetrwania. Myślę nawet czasami, że jest to jedyna przyczyna, dla której on w ogóle istnieje, pułkowniku. Ale dzięki Johnowi Michael, Annie i ja wciąż jeszcze żyjemy.

- Przypuszczani, że masz rację.

- Może napijesz się kawy? Zrobiłem jej dosyć dla ciebie i twoich ludzi.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Rourke... Sarah. Za chwilę powinna zająć się Kurinami. Przypomniał jej o tym zegarek, ale postanowiła jeszcze poczekać.

- To miejsce, jego ogólne znaczenie, zdumiewa mnie! - z entuzjazmem powiedział Mann, siadając na stołku, naprzeciwko kuchennych szafek.

Sarah popatrzyła w dal, za niego, poprzez Wielki Pokój, znajdujące się tam książki, taśmy magnetofonowe, wideotekę i arsenał.

- Byłam przeciwna budowie tego miejsca. Każdego zaoszczędzonego centa, cały wolny czas poświęciliśmy na jego budowę. I wówczas, kiedy nadeszła Noc Wojny, John odszedł. Choć tak



naprawdę, to ja go wysłałam. Chcieliśmy zacząć wszystko od początku. Nie wierzyłam, że może nam się udać, ale on zawsze bardzo kochał nas wszystkich. I Michaela, i Annie. Oni byli wtedy tacy mili!

Poczuła, jak coś ją ściska za gardło. To, że jej mąż okradł ją z ich dzieciństwa, było okropne. Tego nie zapomni mu nigdy, choć próbowała mu wybaczyć wielokrotnie. Ale była jeszcze jedna szansa: dziecko w jej łonie.

- I spędziła pani większość tego czasu, szukając doktora Rourke'a, aby się z nim połączyć? To brzmi prawie jak bajka. A najdziwniejsze jest to, że w końcu wam się udało.

- Po Nocy Wojny zdałam sobie sprawę - powiedziała powoli - że John nie czekał na katastrofę, jak mi się zdawało, ale po prostu przygotowywał się do niej. Właśnie wówczas uświadomiłem sobie, że miał rację. Nigdy nie myślałam, iż ludzkość może być tak szalona. Pomimo długotrwałego kryzysu gospodarczego doszło do wyścigu zbrojeń między Wschodem i Zachodem. Był to już szczyt szaleństwa. Nigdy nie dowiemy się, kto pierwszy nacisnął ten guzik. Ten cholerny guzik!

Wolfgang Mann mówił głosem tak łagodnym, że brzmiał on jak szept:

- Niezadowolenie po obu stronach rosło. Ci, którzy naprawdę chcieli trwałego pokoju, ocknęli się zbyt późno. Zobaczyli, że stało się coś nieodwracalnego. Takimi kategoriami myśleli ci, którzy nacisnęli ten cholerny przycisk, Sarah.

Zaśmiała się.

- Dlaczego pan...

Nagle urwała w pół zdania. Przyjrzała się Mannowi.

- Pułkowniku, przed Nocą Wojny większość populacji naszej planety stanowiły kobiety i dzieci, nie mężczyźni. Zawsze byłam ciekawa, dlaczego mniejszość zdecydowała o losie większości.

Oficer popatrzył na nią. Na moment odwrócił wzrok i, uśmiechając się, ponownie spojrzał w jej kierunku.

- To jest po prostu naturalny porządek rzeczy, Sarah. Przez moment całą swą uwagę skupiła na jego uśmiechu, po czym odrzekła:

- Być może, ale czy raczej ludzi nie determinuje na przykład to, w jakich warunkach się urodzili? Czy nie było tak z nazistami?

Wypowiedź ta wyraźnie Manna zraniła. On sam walczył o stworzenie na terenie Argentyny wolnego państwa, Nowych Niemiec. Walczył o to, ryzykował wszystko, co miał, dążył do wprowadzenia rządów demokratycznych.

- Nie mogę się zgodzić, pułkowniku - ciągnęła kobieta - z twierdzeniem, że wszystko to jest po prostu naturalną kolejną rzeczą. Czy tylko dlatego, że mężczyzna może podnieść cięższy kamień, a kobieta z powodu biologicznie uwarunkowanej potrzeby musi wychowywać dzieci? Proszę spojrzeć na to w prostszy sposób. Spójrzmy na tamtą garstkę ludzi. Powiedzmy, że nie wszyscy byli mężczyznami, że pewna ich część była kobietami. Chodzi mi o to, którzy z nich chcieli wojny. Nieważne już nawet, kto nacisnął guzik i obojętne jaką grupę reprezentował. Pytam, kto upoważnił go do tego. Nie mówię, że był to mężczyzna, ale kto dał temu człowiekowi prawo do igrania z Bogiem?

- Nikt, pani Rourke.

- Wolfgang... - Sarah odstawiła na bok filiżankę i ujęła jego dłonie. - Dzisiaj nic się nie zmieniło, ta wojna na nic się nie przydała. Ludzie dążą do całkowitej zagłady tylko w celu udowodnienia swoich racji. To dlatego Akiro jest ranny. To dlatego John i Paul gdzieś tam szukają Annie, Natalii i waszego kapitana Hammerschmidta. To dlatego Michael i Maria, Bjorn Rolvaag oraz twoi ochotnicy znajdują się w Islandii próbując zwyciężyć coś strasznego, co ma w swej mocy ludzi Hekli. Dzieje

się tak, ponieważ niektórzy ludzie nadal wystawiają Boga na próbę. Nikt nie ma takiego prawa!

Patrząc znów przed siebie nie powiedziała: "Nikt, nawet John Rourke!", ale właśnie tak pomyślała.

Paul w drżących dłoniach trzymał Schmeissera. Rubensteinowi dokuczało przenikliwe zimno. Jedną z głównych przyczyn tego przemarznięcia było to, że miał rozpiętą kurtkę. Otulił nią broń w obawie przed lodowatym deszczem. Na wierzch narzucił przeciwdeszczową pelerynę, która zeszywniała teraz jak tektura. Pod peleryną ukrył jeszcze M-16, ale Schmeissera wolał trzymać przy sobie, gotowego do strzału. Poza tym w kaburze na klatce piersiowej miał jeszcze Browninga.

M-16 był kolejnym z pistoletów maszynowych z niezliczonych, które przeszły przez ręce Paula od czasu Nocy Wojny. Jednakże Schmeisser, niemiecki MP-40, co było jego dokładniejszą nazwą, towarzyszył mu od pierwszej bitwy.

Wciąż pamiętał...

"Tutaj, użyj go teraz..."

John podszedł wówczas do sterty broni leżącej na ziemi obok rozbitego odrzutowca. Należała ona do bandytów, którzy wszyscy zginęli w starciu z Rourke'em. Ratując pasażerów, doktor zabił jedenastu mężczyzn i jedną kobietę. Walczył z wyjętymi spod prawa motocyklistami, którzy dopuszczali się mordów i rabunków.

"Ten ma dziewięć milimetrów i jest najlepszą spluwą, jaką tutaj można znaleźć".

Wskazał na leżący przed nimi niemiecki pistolet maszynowy MP-40.

Dziewięćmilimetrowej amunicji było pod dostatkiem. John spokojnie rozważał zalety poszczególnych karabinów. Dla Paula była to wówczas istna chińszczyzna, a nawet coś jeszcze bardziej niezrozumiałego, ponieważ w chińskiej restauracji potrafił jednak coś zamówić. Pomimo faktu, że jego ojciec był oficerem lotnictwa, Rubenstein nigdy nie miał do czynienia z jakąkolwiek bronią. Po prostu nie była mu potrzebna. Aż nagle jego życie zmieniło się w mgnieniu oka.

Teraz, podczas gdy sowiecki oddział kierował się prosto na nich, przykucnąwszy obok helikoptera w oczekiwaniu na nieuniknione, rozmyślał nad tym, jakie dziwne było jego życie. Przed wojną spacerował sobie po ulicach Nowego Jorku i mimo że niektóre dzielnice były już opanowane przez wielkie szczury, nigdy nie myślał o zabraniu ze sobą broni. Jednak od początku wojny pistolet i karabin stały się jego nieodłącznymi towarzyszami. Były z nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę z wyjątkiem momentów, gdy brał prysznic lub kochał się z Annie.

Ani wówczas, gdy był jeszcze chłopcem, ani nawet teraz nie widział siebie w roli westernowego bohatera. Był raczej zupełnym przeciwieństwem postaci z filmów. I to go bawiło. Czy koniecznie powinien założyć stary, zużyty kowbojski kapelusz, ubrać się w czerwoną kraciatą koszulę i siedzieć okrakiem na mule? A może powinien włożyć spodnie z koźlęcej skóry i jeździć na koniu w białobłękitne łaty, a do tego mówić unikalną mieszaniną wytwornego języka i najgorszego slangu?

Paul nigdy nie marzył o żołnierskich przygodach. Czytał te same książki, oglądał te same filmy i programy telewizyjne, co i jego koledzy ze szkoły, lecz nie widział siebie w żadnym mundurze, na żadnym polu bitwy. Przypuszczał, że był tym, którego rówieśnicy nazywali zwykle sztywniakiem. Podczas gdy inni chłopcy planowali wyuczyć się i zostać marynarzem lub kimś w tym rodzaju, on myślał, jak dostać się na dodatkowe kursy w czasie letnich wakacji.

Wszystko się zmieniło.

Z dawnego życia, za którym nadal tęsknił, została mu jedynie miłość do Annie i przyjaźń z

Michaelem, Sarah i Natalią, a przede wszystkim z Johnem Rourke'em. To on stworzył go na nowo. Bez niego nie przeżyłby ani jednego dnia. Miał świadomość, że nawet w najtrudniejszych momentach, kiedy śmierć mogła go zabrać w każdej chwili, jak na przykład teraz, życie było zbyt cenne, by je tracić.

John odkrył M-16. Odbezpieczył broń. Nagle poprzez zawodzący wiatr dało się słyszeć skrzypienie śniegu pod butami ośmiu sowieckich komandosów idących wyłomem między skałami.

Przełącznik automatu był nastawiony na ogień ciągły.

Doktor zastanowił się przez chwilę, dlaczego właściwie nienawidzi tych ludzi. Oczywiście, najprostszą przyczyną był fakt, że Rosjanie są jego przeciwnikami. Komandosi Specnazu byli tacy sami, jak gwardziści KGB. Służyli ideologii, która według Johna była złem. Oddali się jej całkowicie, a co więcej usprawiedliwiali nią wszelkie okrucieństwa, których się dopuszczali. Dlatego właśnie Rourke uważał, iż ma obowiązek z nimi walczyć. Nie zamierzał jednak ich zabić z powodu wyznawanej przez nich ideologii. Po prostu - jeśli on tego nie zrobi, oni jego zabiją.

Powiedział szeptem do mikrofonu:

- Paul, czy mnie słyszysz?

- Słyszę wyraźnie. Odbiór!

- Dobrze. Więc tak, jak się umówiliśmy. Wyłączam się. Postanowił otworzyć ogień, skoro tylko komandosi go miną.

Przy tym wietrze było mało prawdopodobne, aby odgłos strzałów z pistoletu maszynowego niósł się daleko. Nie było zresztą czasu, aby się nad tym zastanowić. Jeśli on i Paul będą działali dostatecznie szybko, żaden z Sowietów nie zdąży nadać przez radio wezwania o pomoc.

## ROZDZIAŁ VI

Kapitan Hammerschmidt obudził się. Annie postawiła obok jego łóżka lekkie plastikowe krzesło i usiadła na nim.

- Ocaliłaś mi życie - powiedział Niemiec.

- Zrobiłbyś dla mnie to samo, Otto. Jak się czujesz? Błękitne oczy Hammerschmidta były lekko zażawione.

- Czuję się całkiem dobrze. Lekarze mówią, że już niedługo będę mógł wstać. Cieszę się z tej perspektywy. Chciałbym dołączyć do moich ludzi.

Przyglądała mu się. Przez chwilę ciężko oddychał. W sali panowała kompletna cisza. Słysząc było nawet szelest pończoch, kiedy dziewczyna zakładała nogę na nogę.

- No, a co słysząc u pani major? - zapytał Hammerschmidt.

- Nie czuje się najlepiej, Otto. Ale wraz z doktorem Rothsteinem staramy się temu zaradzić.

- Jak?

- Istnieje pewna metoda psychoterapii, dająca niezłe rezultaty. Doktor uważa, że jestem w stanie jej pomóc, wykorzystując... no, wiesz... sztuczki, które mogę robić przy pomocy swego umysłu. - Uśmiechnęła się, kładąc ręce na kolanach.

Spojrzenie Ottona stało się jaśniejsze, gdy patrzył prosto w oczy Annie. Żółte światło stojącej obok łóżka lampy rzucało delikatny, ciepły blask na jego twarz.

- Nie rozumiem, frau Rubenstein. Jakiego rodzaju...

- Mamy zamiar zrobić to "na ucho" - odrzekła.

Od czasu, gdy udowodniła Rothsteinowi, że jej zdolności nie są urojeniem, wciąż bolała ją głowa. Miała kłopoty z żołądkiem. Cała ta sprawa ją przerażała. Ale co będzie z Natalią?

- "Na ucho"?

- To taki amerykański zwrot. W miarę posuwania się prac naprzód niektóre problemy będą się ujawniać, ale cóż innego można zrobić? - Wstała, poprawiła na sobie spódnicę. - Potrzebujesz teraz wypoczynku. Powiedzieli mi, że mogę z tobą rozmawiać najwyżej pięć minut.

Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Niemca w lewy policzek. Otto miał ostry zarost. Pomyślała o Paulu. Przymknęła oczy, ale zaraz znowu je otworzyła.

- Proszę, pani Rubenstein... Annie...

Dyskretnie pomachała mu dłonią i wyszła z pokoju. Zamknęła drzwi za sobą i ciężko oparła się o framugę. Opuściła ręce.

Z pewnością Paul byłby przeciwny temu, co zamierzała zrobić. Jej ojciec również nie zgodziłby się na to. Wiedziała jednak, że już się nie wycofa.

Ruszyła w kierunku stanowiska pielęgniarek, do czekających na nią dwóch oficerów ochrony. Idąc wsłuchiwała się w stukot obcasów o posadzkę.

Wniknięcie w umysł Natalii, jeżeli oczywiście potrafi tego dokonać, przerażało ją. Mogły tam skrywać się myśli, o których istnieniu ona, Annie, nie powinna była się dowiedzieć. Nie miała tego

prawa. Może myśli te dotyczyły jej ojca? Ale jeszcze bardziej obawiała się tajemnic tkwiących w jej własnym umyśle.

Szła, zmagając się z wątpliwościami.

## ROZDZIAŁ VII

Pułkownik komandosów Specnazu idący na samym końcu kolumny przystanął i pochylił się, poprawiając swój ekwipunek.

Rourke, pomimo zimna będącego dla niego istną torturą, szybko wyciągnął spod kurtki pistolet. Lodowate podmuchy smagały doktora ze wszystkich stron. Nierdzewny Detonik Scoremaster wsunął głęboko pod pachę, aby uchronić broń od zamarznięcia. W prawej ręce trzymał nóż, którego dwunastocalowe ostrze natychmiast pokryła cienka warstwa lodu.

Zaciskając zęby, doktor parł do przodu. Każdy jego ruch wywoływał głośny chrzęst lodu. Rozmiękła breja, w której nurzały się jego buty, niemal natychmiast zamarzała. Temperatura powietrza ponownie opadła, a wiatr wzmógł się jeszcze bardziej.

Sowiecki pułkownik próbował poluzować pasy mocujące plecak. Jego broń, karabin AKM-96, z którym Rourke miał już okazję się zapoznać, był zamarznięty i oblodzony, co uniemożliwiało jego użycie.

Mężczyzna poruszał się powoli, walcząc z wiatrem. Doktor stanął za jego plecami. Nie starał się zachować ciszy, wiedząc, że wycie wiatru skutecznie zagłuszy wszelkie odgłosy. Lewą dłoń zacisnął na ustach pułkownika, a prawą ręką wbił nóż w plecy Rosjanina, niczym kołek w serce wampira.

Widział, jak nadchodzą. John mówił, że jest ich ośmiu, a tymczasem naliczył tylko siedmiu. Dlaczego?

Paul Rubenstein powoli wysunął Schmeissera spod kurtki i pociągnął za rygiel magazynka, lewą ręką chroniąc zamek przed oblodzeniem.

Siedmiu.

Przez moment w świetle latarki mignęła twarz jednego z nich. Była szara, jak oblicze człowieka, który już nie żyje. Żołnierz idący na czele kolumny najwyraźniej dostrzegł helikopter. Ruszył, gestykulując w kierunku maszyny, ale tak powoli, jakby był już skrajnie wyczerpany. Następny Rosjanin podniósł karabin do strzału.

Paul wysunął broń przed siebie i wypalił.

Nagle pojawił się ósmy mężczyzna, krzycząc coś niezrozumiale poprzez wiatr. On jeden nie miał plecaka, a czerń jego ubioru odróżniała go od pozostałych siedmiu. Przedostatni żołnierz odwrócił się. Ten ostatni strzelił. Wówczas Paul rozpoznał odgłos M-16. Błyskawicznie wyskoczył zza skał, skręcił w lewo i znalazł się tuż obok doktora. Pociągnął za spust. Już trzech Sowieców martwych leżało na ziemi. Pozostali otworzyli ogień.

Paul wystrzelił ponownie. Jeden z przeciwników upadł. Zaraz potem zginął następny. Szósty zwinął się wpół i z pluskiem padł w bryję, powstałą z deszczu i śniegu. Siódmy strzelał bez przerwy, ale Paul i John wystrzelił do niego niemal równocześnie. Komandos z impetem uderzył o skały, znajdujące się za jego plecami.

Paul ruszył do przodu, przekładając do lewej ręki ciepły teraz pistolet maszynowy.

- John?

- Wszystko w porządku. A co z tobą?

- Myślę, że jest O.K.

Właśnie zabili trzech ludzi. Ósmego zlikwidował wcześniej John, a pozostali nawet tego nie zauważyli. Nóż Craina, raz jeszcze się przydał Johnowi. Rubenstein zatrzymał się w odległości kilkunastu jardów od Rourke'a.

- To poszło zbyt łatwo - zauważył doktor. - Ci ludzie byli na wpół nieżywi z zimna. Nie szukali nas. Uciekali skądś, a może gdzieś się spieszyli. Kto to wie? Trzeba ich przeszukać. Później wejdziemy na chwilę do śmigłowca i ogrzejemy się trochę. Przy tej pogodzie i tak nie sposób wystartować.

- Dobrze - przytaknął Paul.

Skąd mogli uciekać sowieccy komandosi? Przecież wyspa nie była większa niż dwanaście boisk piłkarskich? Dokąd mogli podążać?

O pochowaniu zabitych nie mogło być mowy. Śnieg i tak niedługo przykryje zwłoki. John zaczął przeszukiwać ubrania poległych. Paul podszedł, aby mu w tym pomóc.

## ROZDZIAŁ VIII

Siedzieli w ładowni śmigłowca i owinięci kocami sączyli z kubków kawę, ugotowaną na kuchence mikrofalowej. Lampa znajdująca się nad nimi oświetlała przedmioty znalezione przy poległych Rosjanach.

- Co według ciebie się stało, John? Rourke podniósł notes.

- To jakiś pamiętnik.

- Nie przepadam za nimi.

- Wiem, ja również.

Otworzył notes na ostatnim zapisie i zaczął czytać.

- I co tam jest?

- Głównie sprawy osobiste. Tęsknił za swoją dziewczyną.

Rubenstein wstał, niemalże uderzając głową w schowek na narzędzia.

- Czekał - prawie szeptem powiedział Rourke. - To nie wszystko. Pisze, że się bał... Jakiejś tajemnicy, otaczającej instalację. Nawet nie wiedział, dokąd zmierzali. Obawiał się, że jeśli coś nie wyjdzie, eksplozja mechanizmu destrukcyjnego mogłaby ich zabić. Jeśliby coś nie wyszło, kto mógłby to naprawić? O tym właśnie pisał.

Spojrzeni na siebie.

- Jakaś instalacja? Tutaj? Po co?

- Nadeszli z północy. No cóż... - John uśmiechnął się.

- Nie mam najmniejszej ochoty wychodzić na ten mróz.

- Nie! Ty zostaniesz w śmigłowcu.

- Zaraz, Zaraz - zaprotestował Paul. - Przecież mogę...

- Jeśli rzeczywiście znajduje się tutaj jakaś instalacja, to istnieje realne prawdopodobieństwo, że więcej sowieckich żołnierzy będzie usiłowało się stąd wydostać, a wówczas mogą nas znaleźć. Jeden z nas musi tu pozostać. Mam więcej doświadczenia niż ty, lepiej sobie radzę w warunkach arktycznych, a poza tym jestem lekarzem.

- Ale przecież możemy polecieć helikopterem - nalegał Rubenstein.

- Nie. Ty tu zostań i miej oko na wszystko. Muszę się ubrać jak najcieplej. Okryj mi karabin, żeby nie zamarzł. Nie można tracić czasu.

Doktor pociągnął jeszcze łyk gorącej kawy. Smakowała wyśmienicie.



## ROZDZIAŁ IX

John narzucił sobie umiarkowane tempo marszu. Nie chciał iść za szybko, aby się nie spocić, ani też nie za wolno, by nie dopuścić do przestudzenia mięśni. Marsz był trudny z powodu oblodzonej ziemi oraz padającego gęstego śniegu, któremu towarzyszył porywisty wiatr. Wiatromierz wskazywał prędkość wiatru przekraczającego czterdzieści mil na godzinę.

Doktor parł niestrudzenie do przodu. Pod arktyczną kurtką miał na sobie specjalną, termiczną odzież: bawełnianą koszulę, spodnie oraz standardową bieliznę z syntetycznej wełny, którą nosili Niemcy. Spodnie, kurtka i buty chroniły go dość skutecznie przed zimmem. Nie należał do tych, którzy przepadają za czapkami, więc pod kapturem miał tylko jedwabny, długi szalik, podobny do tych, które nosili lotnicy w czasie dwóch pierwszych wojen światowych. Owinął nim głowę i szyję. Był to dar od premiera Pierwszego Miasta.

Pod arktycznymi rękawicami miał jeszcze drugie, czarne, zrobione z tego samego materiału, co szalik, tak samo wygodne i przylegające ściśle do ciała. Mógł w nich rozwiązać mały supeł albo podnieść z ziemi dziesięciocentówkę, jeśli w ogóle coś takiego jeszcze istniało. Kiedyś Rourke wysłał notę z propozycją rozpatrzenia możliwości wprowadzenia pieniądza w Mid-Wake. Abstrahując od supełów i monet, rękawiczki były bardzo dobre i chroniły przed mrozem i wiatrem, jak każde inne. W trakcie marszu przekonywał się raz jeszcze o ich zaletach.

Idąc starał się skupić swoją uwagę na dwóch rzeczach: z jednej strony na możliwości spotkania kolejnych Sowietów, oddalających się od tajemniczej instalacji, a z drugiej - na myśleniu o czymkolwiek, byle tylko uniknąć otępienia wywołanego jednostajnym marszem i związanym z nim zmęczeniem.

Przypominał sobie różne rutynowe czynności chirurgiczne, o których nie myślał od skończenia szkoły medycznej. Myślał także o tym, że wymagano od niego prezentacji swoich umiejętności jedynie na trupach w prosektorium. Kiedy doszedł do wniosku, że myśli te ułatwiają mu koncentrację, zaczął przypominać sobie artykuły z niemieckich pism medycznych, wydanych w Mid-Wake, które dano mu do przeczytania. Okazało się, że poruszone w nich niektóre problemy zostały rozwiązane w zdumiewająco prosty i logiczny sposób. Zdziwił się, iż nie wpadł na to ani on, ani inni lekarze jego epoki. Od dłuższego czasu marzył o możliwości podjęcia praktyki lekarskiej. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. Obecnie medycyna stała na takim poziomie, jaki w świecie lekarskim za studenckich lat Johna graniczyłby z cudotwórstwem. Możliwości ratowania życia ludzkiego były większe niż kiedykolwiek przedtem. A on był zajęty czym innym, o wiele częściej odbierając komuś życie niż je ratując.

Niestrudzenie kontynuował marsz. W końcu z ciemności zaczęły wyłaniać się zarysy jakichś zabudowań. Kiedy zbliżył się do nich, schował karabin do niemieckiego futerału. Nie miał zamiaru wpadać w jakiegokolwiek tarapaty, dlatego też na wszelki wypadek trzymał w zasięgu ręki Detoniki. Zszedł ze ścieżki między skałami i zaczął gramolić się po nich w górę. Posuwał się wzdłuż ostrego brzegu skalnego, niknącego przed nim w ciemnościach. Chciał wiedzieć, co go czeka. Gdy spojrzał w

kierunku północnym, dostrzegł wyraźnie kontury jakichś budynków. Kontynuował wspinaczkę.

## ROZDZIAŁ X

Annie Rubenstein, trzymając ręce w kieszeniach spódnicy, stała naprzeciwko łóżka Natalii, przyglądając się Rosjance. Chora nie odzyskała przytomności. Annie pomyślała, że najchętniej zabrałaby ją stąd w jakieś ustronne miejsce i zaopiekowała się nią. Ale to było niemożliwe. Bliskiej jej osobie groziło niebezpieczeństwo, a ona, pomagając jej, musiała liczyć się z tym, że być może narazi ją i siebie na jeszcze większe ryzyko. Nie było na to rady.

Doskonale pamiętała, że kiedy zaginął Michael, obudziła ze snu narkotycznego ojca, matkę, Paula i Natalię. Ale Michael na szczęście się odnalazł. Teraz było podobnie. Tyle tylko, że poszukiwaczem nie był jej ojciec, lecz ona sama. Nikt bardziej niż ona nie nadawał się do wykonania tego zadania. Nikt tak jak ona nie znał Natalii. A przede wszystkim tylko ona potrafiła spenetrować przestrzeń, w której zagubiła się Natalia. Bez użycia noża, pistoletu, czy też kompasu. Chwilami wątpiła nawet, czy hipnoza jest konieczna, jednakże w wypadku jakiegoś zagrożenia tylko z jej pomocą ktoś mógłby pomóc Annie wrócić do siebie.

Stan Natalii stawał się coraz bardziej poważny. Doktor Rothstein, najwyraźniej zażenowany własnymi myślami, które Annie odczytywała z łatwością, wiedział dobrze, iż dalsza zwłoka może się dla młodej Rosjanki źle skończyć. Zgodził się na przeprowadzenie kilku wstępnych eksperymentów już następnego dnia.

Był jeszcze inny powód takiego pośpiechu. Gdyby ojciec lub mąż Annie powrócili do Mid-Wake jeszcze przed rozpoczęciem terapii, mogliby się jej sprzeciwić. Co by wówczas zrobiła? Wolą o tym nie myśleć.

Szeptem, zamykając oczy, odezwała się do leżącej nieruchomo dziewczyny:

- Nadchodzę. Nadchodzę, aby ci pomóc. Ale również i ja będę potrzebowała twojej pomocy, Natalio.

## ROZDZIAŁ XI

Stojąc na zboczu, Rourke mógł całkiem wyraźnie dostrzec pojedyncze elementy konstrukcji, której przeznaczenie nadal było dla niego nieznane. Przy ogrodzeniu z wysokiej siatki stały oparte na palach plastikowe płyty, stanowiące jak gdyby osłonę przeciwnieźną. Dalej widniał czarny budynek, lub raczej bunkier. Dookoła niego ustawiono gigantyczne baterie, które, jak sądził, były zamkniętymi silosami raketowymi.

Nie mylił się. Znajdowała się tam baza pocisków nuklearnych, z których dwanaście zostało już uzbrojonych.

Drzwi wejściowe do bunkra były otwarte. Padające ze środka żółte światło odbijało się od migocącego śniegu.

Przez chwilę obserwował z uwagą teren. W końcu ruszył wzdłuż zbocza, szukając jakiegoś w miarę wygodnego zejścia. Wreszcie znalazł je i ślizgając się zszedł na dół.

- Tu "Roger". Helikopter, czy mnie słyszycie? Odbiór! Był to głos Jasona Darkwooda.

Rubenstein odłożył swój dziennik i podniósł hełmofon.

- Tu helikopter. Słyszę cię dobrze. Odbiór!

- Helikopter? Czy wszystko w porządku? Odbiór!

- Ze sztormem jakoś sobie radzimy, ale nie możemy wystartować z powodu bardzo silnego wiatru. Musieliśmy przymusowo lądować; mieliśmy drobną awarię. Teraz już wszystko w porządku. Mieliśmy też małą wizytę, więc nie czujemy się aż tak bardzo osamotnieni. Ośmiu gości. Daliśmy sobie z nimi radę. "Roger", czy mnie słyszysz? Mów co u ciebie? Odbiór!

- Mieliśmy potyczkę z wrogiem, ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Jak możemy wam pomóc? Odbiór!

- Utrzymujcie z nami łączność. Nie mam innych informacji. Odbiór!

- Tu Roger. Bez odbioru.

Paul ściągnął z głowy hełmofon. Spojrzał na zegarek, który dostał kiedyś w prezencie od Hammerschmidta. Doktor wciąż nie wracał.

Rourke, trzymając w prawej ręce M-16, podbiegł zygżakiem do siatki. Brama była otwarta. Mógł teraz dokładnie zobaczyć wyrzutnie pocisków, skierowane ukośnie w niewidoczne teraz niebo. Ich szczyty pokrywała warstwa lodu. Na ziemi obok nich leżały otwarte cylindry, niczym kokony, stanowiące niegdyś osłony wyrzutni. Im dłużej John przyglądał się temu urządzeniu, tym bardziej nikły jego wątpliwości. Pomimo silnej wichury wokół słychać było przenikliwy ryk syreny. Wejścia do kompleksu bunkrów były otwarte. Doktor stanął przed jednym z nich. Zawahał się. Wiedział, że dokądś one prowadzą. Najwyraźniej sowieccy żołnierze musieli się czegoś poważnie obawiać, aby w taką pogodę zaryzykować ucieczkę. Poza tym byli przecież śmiertelnie zmęczeni; to też o czymś świadczyło. Przypomniawszy mu się fragment z pamiętnika komandosa Specnazu, mówiący coś o

mechanizmie destrukcyjnym i instalacji. Jakiej?

Wyrzutnie!

Puścił się biegiem w kierunku głównego wejścia do bunkru, wypełnionego żółtym światłem. Syrena wyła coraz głośniej. Tuż przed wejściem zahamował, wpadając w długi poślizg. M-16 przerzucił do lewej ręki, a prawą rozpiął zamek błyskawiczny kurtki, wyciągając z niej rewolwer Smith & Wesson. Z pistoletem maszynowym i magnum w rękach wpadł do środka.

Na podłodze leżały trupy trzech mężczyzn. Ich zszarzałe ciała pokrywały liczne rany. Zakrzepła krew, ściekając, tworzyła dziwaczne wzory na ich twarzach i dłoniach. Czwarta osoba siedziała na oświetlonym fotelu naprzeciwko pulpitu kontrolnego. Mężczyzna ten otrzymał postrzał w głowę. Nikogo poza nim nie było w pokoju. Rourke podszedł do pulpitu. Mechanizmy uruchamiające wyrzutnie zostały włączone. Nie było czasu na zamknięcie drzwi. Doktor oparł swój karabin o ścianę i ściągnął zwłoki komandosa z fotela. Na liczniku przed pulpitem kontrolnym położył magnum. Zsunął kaptur i rozluźnił szalik. Jego uszy i szyję ogarnął nagły chłód. Był zmęczony, czuł, że potrzebuje snu, lecz teraz musiał się spieszyć. W krótkim czasie zimno mogło spowodować znużenie i senność, ale pociski mogły zostać wystrzelone jeszcze szybciej. Wtedy byłoby po wszystkim.

Rourke zlustrował pulpit. Zdjął z dłoni arktyczne rękawice, pozostawiając jedwabne, w których mógł swobodnie operować instrumentami kontrolnymi.

“System destrukcyjny”. Co dokładnie oznaczały te słowa w sowieckim pamiętniku? Czyżby system ten miał odpalić rakiety? A może chodziło o to, że system ten zabije każdego, kto znajdzie się w pobliżu? John po prostu musiał to wiedzieć. Dokładnie studiował przyciski i pokrętła. Znajdował się tam również kwarcowy zegar. Czy służył on do odliczania przy samozniszczeniu bazy, czy przy odpalaniu rakiet? Pokazywał czas mierzony w minutach, sekundach oraz dziesiątych i setnych częściach.

Doktor starał się ogarnąć sytuację. Zamierzone odpalenie rakiet, czy też wypadek, wynikły z niedoświadczenia personelu? Jeśli to mechanizm samozniszczenia, to, być może, mógłby on zniszczyć również urządzenia odpalające, zapobiegając tym samym wystrzeleniu rakiet. Czyżby główna sowiecka baza podwodna chciała je teraz wystrzelić? Przeciwno Mid-Wake? Czyż uderzenie tych pocisków nie zniszczyłoby otworu wulkanu, z którego oba miasta czerpały energię geotermiczną? Czy Sowieci rzeczywiście tego chcą?

Schował rewolwer do kabury, uklęknął pod pulpitem kontrolnym i zaczął rozkręcać pokrywę, zasłaniającą dostęp do głównych przewodów. Przeżegnał się. Wsunął się do środka konsoli i zaczął sprawdzać poszczególne kable.

Wystarczył jeden wybuch jądrowy, żeby zniszczyć delikatną powłokę ziemskiej atmosfery, a tutaj stało dwanaście rakiet!

Czy zostaną wystrzelone?

## ROZDZIAŁ XII

Annie usiadła na łóżku. Położyła się niedawno, nękana silnym bólem głowy. Teraz głowa bolała ją jeszcze bardziej.

Miała sen. Tylko ona od momentu przebudzenia miewała sny na jawie. Widziała obrazy. Teraz ujrzała ojca.

Nocna koszula lepiała się do mokrego od potu ciała. Dziewczyna owinęła się kocem. Widziała ojca.

Ujrzała też wyrzutnię, silosy otwarte do góry, w ciemność. Ruch jego dłoni. Dźwięk. Przenikliwy dźwięk, zdolny doprowadzić do szału. Pogmatwana plątanina kabli, światełek i przycisków. Ujrzała ręce Johna, poruszające się pomiędzy przewodami. Myślał o niej, o Sarah, o jej dziecku, o Michaelu, o Paulu i o Natalii. Nie wiedział, co robić. Te wszystkie kable!

I dużo czerwonych światełek, które utworzyły rząd. Rząd cyfr, szybko się zmieniających. Dźwięk był coraz głośniejszy.

Wtedy skończył się jej sen.

Zaschło Annie w ustach, przeszedł ją dreszcz.

- Tatusiu!...

Przymknęła oczy, siedząc w ciemności.

Wiedziała już, co się stało.

## ROZDZIAŁ XIII

Sygnal radiowy był bardzo słaby, ale głos z pewnością należał do Johna.

- Paul! Spróbuj jakoś wystartować. Leć na północ. Po krótkim czasie natrafisz na plac. Na tym placu, otoczonym siatką, zobaczysz kompleks bunkrów. Z każdej strony kompleksu zobaczysz sześć silosów raketowych. Jeśli dojrzysz mnie na dole i będziesz mógł lądować - zrób to. Jeśli mnie tam nie będzie - po prostu odleć i... Po prostu odleć. Czy nawiązałeś łączność z "Archangielskim"? Odbiór!

- John! Co jest grane? Tak, jestem z nimi w kontakcie. Co się stało?

- Przekaż im, żeby natychmiast powiadomili Mid-Wake o konieczności ewakuacji. Tutaj znajduje się dwanaście uzbrojonych rakiet nuklearnych, Paul.

Paul upuścił mikrofon. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Poza tym - kontynuował John - włączono mechanizm samodestrukcyjny. Myślę, że sobie z nim poradzę. Gdyby to wybuchło, eksplozja paliwa w silnikach rakiet mogłaby rozwalić całą wyspę. To wszystko. Ale pociski mogą być odpalone jeszcze przed samozniszczeniem bazy. Ludzie, których załatwiliśmy, próbowali wydostać się z wyspy. Przypuszczali, że rakiety zostaną wystrzelone. Wygląda mi to na jakąś fatalną pomyłkę. Oni dokonali sabotażu, uruchamiając mechanizm samozniszczenia, gdyż wiedzieli, że wystrzelenie tylu rakiet mogłoby doprowadzić do zniszczenia wyspy. Zabili jednego podoficera i dwóch starszych oficerów. Nie mam już czasu. Spróbuj mnie znaleźć. Wyłączam się.

- John! Halo! John!

Paul oblizwał wysuszone wargi. Odłożył mikrofon. Nałożył hełmofon i włączył nadajnik. Jednocześnie rozpoczął nadawanie i włączył rozrusznik śmigłowca.

- Helikopter wzywa "Archangielsk"! Darkwood, zgłoś się! Odbiór!

- Helikopter! Czy coś nie w porządku? Odibór!

- Wszystko! Wszystko jest nie w porządku! - powiedział Rubenstein.

Zaschło w gardle.

Łopaty śmigła zaczęły poruszać się z coraz większą prędkością. Czas naglił. John powinien rozłączyć przewody mechanizmu szybciej, aniżeli Paulowi udałoby się wystartować.

Głośnik wbudowany w ścianę sypialni zatrzeszczał. Odezwał się bardzo spokojny, kobiecy głos:

- Uwaga! Mid-Wake zostało zaatakowane. Uwaga. To nie są ćwiczenia. Uwaga. Należy kierować się do wyznaczonych punktów zbornych. Ewakuować się spokojnie, lecz tak szybko, jak to możliwe. Mamy wystarczająco dużo czasu na ewakuację. Proszę pamiętać: zachowasz spokój - więcej osób zdąży się uratować. Uwaga. Mid-Wake zostało zaatakowane. Uwaga. To nie są ćwiczenia. Uwaga...

Annie wstała, próbując włączyć światło. Nadal działało. Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Pani Rubenstein! - Poznała głos jednej z osób ochrony osobistej. - Pani Rubenstein!

- Tak, tak!

Narzuciła na siebie włochaty szlafrok, wsunęła stopy w pantofle. Podbiegła do drzwi i otworzyła je. Kobieta z ochrony krzyknęła do niej, chwytając ją za ramię:

- Szybko!

Annie ruszyła biegiem.

Sen.

Jej ojciec nie zdążył.



## ROZDZIAŁ XIV

Pomimo jedwabnych rękawiczek dłonie Johna Rourke'a zaczęły sztywnieć z zimna.

Za płytą ochronną znajdowały się przewody, podłączone do obwodów komputera sterującego odpalaniem rakiet. Przy użyciu noża oraz obcęgow, które znalazł na podłodze, doktor zaczął przecinać kable. Jednakże po kilku sekundach zorientował się, że właściwie nie ma sposobu, aby zapobiec samemu odpaleniu pocisków; ich wygląd świadczył wyraźnie o ich przeznaczeniu. Z pewnością uzbrojono je w głowice nuklearne. W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem było przyspieszenie samozniszczenia bazy.

John uważnie przyglądał się przewodom. Gdyby udało się podłączyć obwód niszczący do obwodu odpalającego rakiety, zostałyby zapewne wystarczająco dużo czasu. Być może.

Tych ośmiu żołnierzy, których załatwili razem z Paulem, było zapewne nieświadomych aktualnego stanu rzeczy, bowiem włączenie systemu wystrzeliwującego rakiety automatycznie uruchamiało mechanizm samozniszczenia. Wprawdzie, zabijając swoich dowódców, przypadkowo przecięli bagnetem niektóre przewody, ale, jak się okazało, odłączyli tylko urządzenia kontrolne obwodu od mechanizmu samozniszczenia. Wszystko wskazywało na to, że któryś z nich musiał orientować się trochę w tym systemie, gdyż widać tam było ślady nieudanej próby odpowiedniego połączenia kabli systemu kontrolnego. Z pewnością obawiali się rozłączenia mechanizmu destrukcyjnego i musieli uświadomić sobie, że odpalenie rakiet było nieuniknione. Uciekali, nie wiedząc dokąd i nie wiedząc, co może się stać. Zdawali sobie jedynie sprawę z tego, do czego sami doprowadzili.

Najprawdopodobniej ktoś wydał rozkaz odpalenia rakiet. W zasadzie nie mogło to być dziełem przypadku.

W obwodzie mechanizmu odpalającego rakiety znalazł usterkę. Okazało się bowiem, że system ten wielokrotnie rozpoczynał i kończył odliczanie. Usterka tkwiła w pamięci komputera, poprzez który przebiegał obwód. John nie wiedział, jak ją usunąć. Zresztą nie było na to czasu. Mechanizm samozniszczenia został wyraźnie włączony, by zapobiegać odpaleniu rakiet, lecz mimo to przynajmniej niektóre mogły zostać wystrzelone.

John wciąż usiłował zorientować się w systemie połączeń. Obwód był tak skomplikowany, że jakakolwiek próba rozmontowania go trwałaby zbyt długo. Rourke nie miał już czasu do stracenia. Nagłe rozłączenie przewodów zapewne spowodowałoby natychmiastowe uruchomienie mechanizmu odpalającego. Doktor wiedział, że musi zapewnić zrównoważenie ilości prądu, potrzebnego dla zachowania podstawowej pamięci obwodu. Nie było sposobu zlikwidowania ładunków głowic, a co za tym idzie, odłączenia dopływu prądu i uszkodzenia systemu odpalającego. Wiedział, że jeśli źle połączy przewody, natychmiast nastąpi wystrzelenie i samozniszczenie.

Tablice obwodu stanowiącego centrum całego systemu były już w połowie naprawione. Sporo wysiłku kosztowało go dokonanie ostatecznych połączeń. Ostrożnie zaczął się wycofywać.

Pod błękitną kopułą jednego z dwóch kompleksów mieszkalnych panował ogromny ruch. Annie znajdowała się w najbezpieczniejszym sektorze Mid-Wake. Tak przynajmniej poinformowały ją kobiety z ochrony, które przyprowadziły ją tutaj. Wyżsi oficerowie floty używali tych apartamentów podczas postoju ich okrętów w bazie lub przenoszenia ich na inne jednostki. Tutaj również znajdowały się rezydencje najznakomitszych rodzin Mid-Wake.

Idąc szybko przed kobietami z ochrony, dziewczyna rozglądała się dookoła. Wszędzie pełno było kobiet w nocnej bieliźnie oraz mężczyzn w pospiesznie naciągniętych na siebie spodniach i koszulach. Większość była boso lub w kapciach. Niektórzy nieśli w rękach buty, ciągnęli za sobą dzieci, dźwigali pękate torby i tobołki. Dookoła uwijali się marynarze oraz oficerowie Korpusu Morskiego. Wskazywali oni drogę ewakuowanym, pomagali osobom starszym i słabszym.

Szpital. Natalia.

Starając się przekroczyć otaczający ją rozgardiasz i płynący wciąż z głośników łagodny kobiecy głos ogłaszający ewakuację, Annie zawołała:

- Muszę dostać się do szpitala, do mojej przyjaciółki!
- Proszę się nie martwić. Szpital został ewakuowany.
- Pani mnie nie rozumie! Natalia jest poważnie chora! Kobieta zacisnęła dłoń na ramieniu Annie.
- Teraz my się ewakuujemy, proszę pani.

Wszyscy kierowali się w stronę stacji. W żółtej strefie znajdowały się punkty medyczne i opieki nad rodzinami.

Natalia.

Na stacji były już rozmieszczone specjalne linie wytyczające kierunek ruchu, jednakże strażnicy mogli je przekraczać, nie zważając na pasy i zabezpieczenia. Córka Johna zobaczyła kobietę, ciągnącą za sobą dwoje dzieci. Jedno z nich zostało z tyłu.

- Proszę mi pozwolić - powiedziała Annie i wzięła małego chłopca na ręce.

Znaleźli się wewnątrz wagonu. Drzwi zasunęły się i pociąg ruszył, stukając głośno na podkładach. Kobiety z ochrony stały po prawej stronie dziewczyny, matka z dziećmi - po lewej. W wagonie panowało zamieszanie; ludzie szukali się nawzajem.

Wszystkie kwatery mieszkalne były już opuszczone. Funkcjonowały tylko punkty komunikacyjne, administracyjne i stacje energetyczne, w których pracujący w systemie ciągłym, przez całą dobę pracownicy wypatrywali teraz osób, które mogły im pomóc w ewakuacji.

Pociąg stanął. Drzwi zaczęły się otwierać. Annie zrobiła krok w ich kierunku.

- Proszę się nie martwić - powiedziała jedna ze strażniczek. - Nie musimy się przesiadać.

Drzwi otworzyły się całkowicie. Liczni pasażerowie wsiadali i wysiadali.

- Dlaczego niektóre pociągi jadą w przeciwnym kierunku? - zapytała Annie, wskazując ruchem głowy kolejkę, która wjechała na peron z drugiej strony. - Dlaczego są puste?

- Wracają do stref podwodnych, aby zabrać następne grupy ludzi.

- Rozumiem.

Drzwi zaczęły się zamykać. Annie rzuciła małego chłopca wprost w ramiona stojącej najbliższej strażniczki i wyskoczyła z wagonu. Kawałek jej nocnej koszuli zakleszczył się w drzwiach. Urwała go i pobiegła na drugą stronę peronu.

Paul był przemoczony do suchej nitki. Deszcz ze śniegiem wciąż padał. Na płaskowyżu wśród skał stał ich helikopter. Liny kotwiczne były już zwolnione.

Co chwila silne podmuchy wiatru szarpały maszyną raz w jedną, raz w drugą stronę. Kiedy kierunek wiatru zmienił się nieco, Rubenstein mokry i zziębnięty usiadł za pulpitem sterowniczym. Sprawdził ciśnienie oleju i poziom mieszanki paliwowej. Starał się przypomnieć sobie dokładnie wszystkie czynności startowe, których uczył go John.

Włączył rozrusznik. Silnik zakasłał, a dobiegający z niego szum stawał się coraz głośniejszy.

Nagle gwałtowny podmuch wiatru przesunął helikopter po lodzie w prawą stronę. Dał się słyszeć zgrzyt płóz na lodzie.

“Główny starter!” - pomyślał.

Zacisnął dłonie na drążku sterowniczym. Śmigłowiec zaczął powoli wznosić się do góry.

Rourke otworzył oczy. Syrena wyła nadal. Czuł mrowienie w plecach.

Odruchowo spojrział na zegarek. Cały czas pracował, dopiero teraz usiadł na chwilę, by odpocząć.

- Niech to diabli! - wycedził przez zaciśnięte zęby. Elektryczny wstrząs odrzucił go poza pokrywę ochronną, aż na środek pokoju. Ponownie wczołgał się do środka, znalazł obcegi i taśmę izolacyjną.

- Odciąć przewody!

Niektóre z uprzednio rozłączonych przewodów połączył ponownie z innymi. Odliczanie nie zostało przerwane. A doktor nie miał już czasu na to, aby sprawdzić, ile go jeszcze zostało.

Annie Rubenstein była sama w pociągu. Również tutaj rozlegał się komunikat alarmowy.

Jadąc tunelem w kierunku żółtej strefy, skupiła swą uwagę na mijanych przez kolejkę, opustoszałych fabrykach. Niektórzy mieszkańcy Mid-Wake nazywali miasto “ośmiornicą”, chociaż znajdowało się tam tylko sześć “macek”. Każda z nich stanowiła tunel, na końcu którego, zamiast przyssawki, znajdowała się kolejna strefa. Miejsce, z którego uciekła swojej ochronie, stanowiło centrum całej konstrukcji.

Pociąg zbliżał się do żółtej strefy.

Natalia.

Nagła zmiana kierunku wiatru. Helikopter na chwilę wymknął się spod kontroli Paula. Maszyna przechyliła się gwałtownie na prawy bok, dziób opadł w dół. Przy ryku pracującego na pełnych obrotach silnika, śmigłowiec wibrując zaczął spadać. Rubenstein starał przypomnieć sobie wskazówki doktora. Nie był pewny, czy wszystko przypomina sobie dokładnie, czy tylko zgaduje. Zresztą i tak nie było czasu, aby się nad tym zastanowić.

Włączył pełną moc silnika i z całej siły przyciągnął do siebie drążek sterowy, próbując poderwać maszynę w górę.

Syrena przestała wyć.

Rourke wciąż manipulował przy przewodach. Nagle z głośników odezwał się kobiecy głos, mówiący po rosyjsku:

- Czas odpalania. Czas odpalania. Natychmiastowa ewakuacja ze strefy odpalania. Opuścić bunkier. Czas odpalania.

- Cholera!

System samozniszczenia został już prawie połączony z obwodami odpalania. Prawie...

Długi, niebieski przewód biegł z urządzeń kontrolnych samodestrukcji do mechanizmu kontrolującego start rakiet. To połączenie, uruchamiając mechanizm destrukcyjny, musiało wprowadzić zakłócenia czasomierza.

Nogi i plecy bolały Johna nieznośnie od długiego przebywania w niewygodnej pozycji.

Doktor spojrział na ekran zegara. Do odpalenia zostały tylko dziewięćdziesiąt trzy sekundy.

Nie było czasu na odśrubowanie pokrywy zegara. John wyciągnął nóż Craina, który miał w pochwie na biodrze i użył końcówki jego rękojeści jako młotka. Udało mu się rozbić obudowę i roztrzaskać zegar. Teraz Rourke odliczał czas już tylko w myśli. Uklęknął i wyczołgał się na zewnątrz, aby sięgnąć po niebieski przewód. Ujął go ostrożnie w palce i odłączył.

- Osiemdziesiąt siedem sekund - powiedział półszepem.

Kobięcy głos wciąż powtarzał ostrzeżenie.

Podciągnął niebieski kabelek w górę, w kierunku obudowy zegara. Nagłe spięcie. Doktor upadł na podłogę, uderzając o kant pulpitu. W oczach zawirowały mu gwiazdy. Potrząsnął głową. Wczołgał się pod pulpit ponownie. Znow złapał ten sam przewód i usiłował podciągnąć go w górę...

Patrząc w dół, Paul dojrzał poświatę żółtego świtała i dymy, wydostające się spod ogonów rakiet.

Gdzie jest John Rourke?

Ostrożnie zaczął podchodzić do lądowania. Oby tylko nie stracił panowania nad maszyną...

Annie biegła przez trawiasty teren przed szpitalem. Wokół mężczyźni i kobiety w mundurach wojskowych i ubiorach szpitalnych wynosili chorych na noszach. Zapinka od jej szlafroka odpięła się, ale dziewczyna nie miała czasu, aby ją poprawić. Biegła.

Wpadła do środka budynku. Na szczycie schodów stała kobieta w białym kitlu, która kierowała ruchem. Annie krzyknęła do niej:

- Gdzie jest major Tiemierowna?

Kobieta odwróciła się, przyglądając się jej ze zdumieniem. Annie rozpoznała w niej pielęgniarkę odpowiedzialną za oddział, na którym przebywała Natalia.

- Gdzie jest Natalia Tiemierowna? Czy już ją wyprowadzone?

Pielęgniarka zbiegła w dół po schodach ku Annie.

- Dzięki Bogu, że pani przyszła! Ten niemiecki oficer próbuje wydostać ją z pokoju. Kiedy alarm się włączył, Natalia przebudziła się ze śpiączki. Nie wiem jak to mogło się stać. Zaaplikowano jej tyle środków uspokajających...

- Co się z nią dzieje? - przerwała jej Annie.

- Sanitariusz chciał jej zrobić zastrzyk. Ona złapała go i w jakiś sposób wysunęła mu pasek ze spodni. Szybko owinęła go wokół jego szyi i powiedziała, że albo wszyscy się od niej odsuną, albo ona go zabije. Ten Niemiec...

Annie pobiegła za pielęgniarką na górę.

- Ten niemiecki oficer próbuje z nią rozmawiać, ale ona nie chce go słuchać. Musimy kończyć ewakuację, a ona...

Annie nie mogła dosłyszeć nic więcej z powodu panującego tu hałasu.

John podłączył niebieski przewód do zegara, po czym posunął chronometr o dziesięć sekund do

przodu. Do odpalenia rakiet pozostało jeszcze dwadzieścia sześć sekund, a do detonacji mechanizmu destrukcyjnego zaledwie szesnaście. Doktor miał nadzieję, że się nie pomylił.

Zostawił karabin, rękawice i większość rzeczy, które miał ze sobą. Jeśli nie zdąży dopaść do śmigłowca, nigdy już nie będzie ich potrzebował. Podbiegł do drzwi. Nagle stanął i odwrócił się. Na pulpicie kontrolnym leżał jego nóż.

- Niech to diabli! - warknął.

Podbiegł do pulpitu, chwycił nóż i, nie wkładając go do pochwy, wybiegł na zewnątrz. Na dworze, ślizgając się po oblodzonej ziemi, cały czas liczył umykające sekundy:

- ... dziewięć, osiem...

Nad głową, pośród ryku wichury, usłyszał śmigłowiec. Spojrzał w górę. Paul. Helikopter.

- ... sześć, pięć...

Śmigłowiec zbliżał się od strony ogrodzenia. Rourke schował nóż do pochwy.

- ... cztery, trzy...

Uniósł ramiona w górę. Podbiegł do maszyny od strony dziobu i, odpychając kadłub śmigłowca, zaczął krzyczeć do Paula:

- Unieś go w górę! Nie siadaj na ziemi! Unieś się w górę! Helikopter zakołysał się i gwałtownie wzniósł się w powietrze.

- ...jeden...

To było jak błysk i grzmot pioruna. Gigantyczne dymy, wydobywające się z silników, które miały pchnąć rakiety ku przestworzom, uformowały wokół nich olbrzymią chmurę, która wirując z zawrotną prędkością, sięgała już dolnej części śmigłowca. Syrena alarmowa wyła przeraźliwie. I nagle ziemia zadrżała. Ryk syreny zginął w ogłuszającej eksplozji bunkra. Języki ognia sięgały nieba. John odwrócił twarz. Helikopterem mocno zakołysało. Płomienie odbijały się w szybach maszyny.

Impet wybuchu odrzucił Johna. Wysoka temperatura uniemożliwiła oddychanie. Wstrzymał więc oddech i przycisnął twarz do śniegu. Ziemia znowu zadrżała; zdawało się, że lada chwila małą wysepkę pochłonie morze.

Jedna z rakiet zaczęła powoli unosić się w górę. Za nią ruszyła druga. Doktor patrzył na nie bezsilny. Jednakże oba pociski opadły zaraz w dół, wprost w chmurę dymu i ognia. Przewracały się jedna po drugiej.

Języki ognia nadał muskały helikopter. Skostniałymi rękoma Rourke uchwycił się śmigłowca, który dziwnym trafem przez chwilę znalazł się tuż nad nim.

## ROZDZIAŁ XV

Annie mocniej owinęła się szlafrokiem i wpadła do pokoju. Siedzący na plastikowym taborecie obok łóżka Otto Hammerschmidt robił wrażenie bezradnego.

Na łóżku, plecami do ściany, stała Natalia. Przed nią klęczał jakiś mężczyzna; w jego oczach malowało się przerażenie. Wyciągnął ręce przed siebie, jak gdyby o coś prosił. Na jego szyi zaciśnięty był pasek, którego koniec Rosjanka trzymała w lewej dłoni. Prawą ręką złapała go za podbródek, jakby była zdecydowana w każdej chwili skrócić mu kark. Jej szpitalna koszula zsunęła się, obnażając lewe ramię. W spojrzeniu Rosjanki Annie dostrzegła coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie widziała. Był to paniczny strach.

- Natalia - powiedziała szeptem. Hammerschmidt odwrócił się.

- Pani Rubenstein!

- Otto! Wszystko będzie w porządku. Jak się czujesz?

- Dobrze... Czuję się dobrze - odrzekł, ale ton jego głosu przeczył tym zapewnieniom.

Annie skupiła uwagę na stojącej pod ścianą dziewczynie.

- Natalio! To ja, Annie. A tu jest Otto. Nie chcemy cię skrzywdzić, próbujemy tylko ci pomóc.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła Rosjanka.

Naciągnęła mocniej pasek. Mięśnie na szyi pielęgniarsza napięły się, oczy niemalże wychodziły z orbit. Annie oblizwała zeschnięte wargi.

- Poczekaj chwileczkę, Natalia. Pamiętasz mnie, prawda? Jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Natalia nie odezwała się. Jej włosy były w nieładzie. Mimo wszystko nadal wyglądała przepięknie. Annie mówiła do niej, co tylko przychodziło jej do głowy. Dopiero teraz zorientowała się, że gdzieś po drodze zgubiła prawy pantofel, bowiem stopa zaczęła jej marznąć.

Głos z głośnika monotonnie powtarzał informację o niebezpieczeństwie.

- Zrobisz błąd, zabijając tego człowieka. - Zrobiła krok do przodu. - On jest po naszej stronie. Jesteśmy tutaj, w Mid-Wake. Razem. Byłaś bardzo chora. Kiedy odezwałeś się do mnie - kolejny krok - nie mogłam w to uwierzyć. To były twoje pierwsze słowa od bardzo długiego czasu. Ojciec będzie bardzo zadowolony, jeśli...

Żrenice Natalii rozszerzyły się nieco, Rosjanka rozluźniła uchwyt. W tym momencie Annie skoczyła w jej kierunku, łapiąc ją wpół i przyciskając do ściany. Zaciśnęła rękę na prawej dłoni dziewczyny, trzymającej do tej pory głowę pielęgniarsza. Wszyscy troje upadli na łóżko. Annie zorientowała się, że koszula podciągnęła się jej do wysokości bioder ale nie było czasu, żeby się tym przejmować. Natalia uderzyła ją w twarz.

Nagle między nimi znalazł się Otto Hammerschmidt. Jednym ciosem pięści znokautował Natalię.

- Gott in Himmel! - wyszeptał Niemiec, klęcząc na łóżku.

Sanitariusz zaczął kaszleć. Annie przeczołgała się ponad Rosjanką i szybko rozplatała pasek na jego gardle.

- Oddychaj głęboko! Wszystko będzie dobrze.

W tej właśnie chwili do pokoju wpadły kobiety z ochrony Annie, trzymając w dłoniach pistolety.

- Nie ruszać się!

Annie przetoczyła się na drugą stronę łóżka i powiedziała:

- Dziewczyny, bądźcie poważne!

I dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że w trakcie szamotaniny na łóżku z głośników przestał płynąć beznamiętny, kobiecy głos, ostrzegający o niebezpieczeństwie. Teraz dochodził z nich głos mężczyzny:

- Wszystko wraca do normy. Stan absolutnego bezpieczeństwa. Kryzys minął. Wszystko wraca do normy. Stan absolutnego...

## ROZDZIAŁ XVI

W środku było ciepło. Mimo to esesman wciąż czuł się przemarznięty.

On znał tajemnicę. Żeby mógł ją poznać, zginęło ośmiu jego ludzi. Nie ma ich. Pozostaną na wieki pośród bohaterów Rzeszy.

Damien Rausch wyciągnął z plecaka koc termiczny. Musiał zostać tam, gdzie był. Sowiecki śmigłowiec przeprowadzał okresowe patrole. Siły niemieckie pod dowództwem Wolfganga Manna grasowały w okolicach Schronu Johna Rourke'a. Na nocnym niebie mogło być ich jeszcze więcej.

Był tutaj sam. Jeśli Kurinami zginie, przynajmniej jego misja się powiedzie. Zresztą, czy ten wścibski Japończyk zginie, czy nie, i tak tajemnica wejścia do Schronu należy tylko do Rauscha. Faktem jest, że jak dotychczas nie ma sposobu na sforsowanie masywnych drzwi, broniących dostępu do bunkra, jednakże odpowiednia ilość ładunku wybuchowego powinna sobie z nimi poradzić.

Najważniejsze było to, że wiedział, gdzie i jak znaleźć lukę w granitowych drzwiach, stanowiących wyjście z zewnątrz. Po prostu należy skruszyć skałę. Czytał o starożytnych grobowcach, do których dostawano się właśnie w ten sposób.

Rausch uśmiechnął się. Kryjówka doktora Johna Thomasa Rourke'a stanie się jego grobowcem.

Wiedział, że miał pod kontrolą Christophera Dodda, dowódcę projektu "Eden". Dodd z pomocą swoich stronników pragnął zbrojnie sięgnąć po władzę. Jeśli Kurinami sprzeciwił się temu, to Rourke zrobiłby to tym bardziej. Ale jeśli zlikwiduje się doktora, atakując go w momencie, w którym nie będzie się niczego spodziewał, i jeśli wyeliminuje się z tej gry również całą tę jego rodzinę, Dodd stanie się marionetką w rękach Rauscha.

John Rourke powinien ponieść karę śmierci za współudział w rewolcie, która obaliła jedyne wodza narodu i oddała władzę w ręce Dietera Berna, który sprzeciwia się historycznemu posłannictwu narodowych socjalistów. Z chwilą zwycięstwa jedynej słusznej idei powstałby świat, jakiego jeszcze nigdy rodzaj ludzki nie widział. Myśl o tym dodawała mu otuchy.



## ROZDZIAŁ XVII

Sarah zaciągnęła pod szyję suwak niemieckiej ocieplanej kurtki. Chłód przenikał kobietę aż do kości, ale na to nie było rady.

Dwóch komandosów pułkownika Manna niosło na noszach Kurinamiego. Czego obawiał się porucznik? Rany postrzałowej, wyczerpania, zimna, złamanego zębra? Jego płuco mogło być naruszone, ale to można będzie stwierdzić dopiero po prześwietleniu.

Przez moment Sarah uśmiechała się. John miał u siebie wszystko, co potrzebne do badań, z wyjątkiem aparatu rentgenowskiego.

Dojście do Schronu było dla Kurinamiego ciężką próbą. We własnej obronie musiał zabić ośmiu ludzi. Ciekawe, dlaczego powiedział po niemiecku “nie”? Ciągłe powtarzał, aż do momentu, gdy środek uspokajający uspił go na dobre.

Tajemnica Schronu była w dobrych rękach. Lokalizację bunkra znali teraz Kurinami, Halwerson, pułkownik Mann oraz kilku jego komandosów. A w dobre intencje Manna Sarah wierzyła bardziej niż w swoje.

- Sarah?

Odwróciła wzrok od Japończyka. Na trzecim stopniu schodów prowadzących do głównego pomieszczenia Schronu stał Mann.

- Chwileczkę, Wolf - powiedziała i weszła na schody wiodące do piwnicy. Znajdowały się tam urządzenia kontrolne ciepłowni i wiele innych mechanizmów, istotnych dla funkcjonowania Schronu.

Wyłączyła główny przełącznik ciepłej wody, a pozostałe przekręciła do minimum tak, jak to czynili zawsze, gdy opuszczali Schron na dłuższy czas. Wyłączyła również główne oświetlenie. Pozostały tylko czerwone świecące lampy w korytarzu oddzielonym specjalnymi drzwiami. Świeciły również cyfry na ekranach elektronicznych zegarów.

Z zadowoleniem zauważyła, że dzięki pomocy Niemców ilość zapasów w Schronie znacznie wzrosła. Wszystko, począwszy od amunicji, o której zapasy doktor dbał najbardziej, a skończywszy na środkach czyszczących, butach, odzieży, papierze toaletowym, benzynie syntetycznej i cygarach, znajdowało się tutaj teraz w ilościach, jakich jeszcze nigdy nie było.

- Jak ty to robisz, John? - szepnęła do siebie Sarah. Wyszła na zewnątrz, dołączając do Wolfganga Manna, stojącego za wewnętrznymi drzwiami.

## ROZDZIAŁ XVIII

Wyglądało na to, że w ciężarówce nie ma nikogo. Może był to podstęp Antonowicza, a może po prostu zwykły przypadek.

Wasył Prokopiew usiadł za kierownicą i ruszył, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Ciężarówkę wyposażono w klimatyzację, bak był pełen syntetycznego paliwa. Można nią było dotrzeć bez konieczności tankowania na drugi kraniec kontynentu i z powrotem. Prokopiew samotnie przemierzał dzikie okolice.

Mimo wszystko czuł wyrzuty sumienia. Wiedział, że nie postąpił honorowo. Pozwolił przeżyć rodzinie Rourke nie dlatego, że Michael Rourke nie zostawił go na pewną i okrutną śmierć, ani też nie dlatego, że doktor wraz z Paulem Rubensteinem ocalili mu życie. Robił to po prostu z własnego wyboru. Czy w tej chwili gubił swoich ludzi, czy też właśnie ich ratował? Tego Prokopiew nie wiedział.

Zmagał się ze swymi myślami, nie mogąc dojść do żadnego wniosku. Na razie przez te parę minut, czy też godzin, aż do momentu wykrycia jego ucieczki, nadal był dowódcą gwardii KGB, mianowanym przez towarzysza marszałka Antonowicza. Antonowicz odziedziczył stanowisko marszałka po śmierci Karamazowa, zamordowanego przez jego żonę, major Tiemierowną.

A może ten czyn Tiemierowny był słusznym? Kto miał rację? Czy towarzysz marszałek Antonowicz znał żonę Karamazowa?

A teraz Prokopiew wiózł ściśle tajne szczegóły technologii dotyczącej nowej broni, aby przekazać je Rourke'owi i jego sojusznikom.

Ta część sprawy była dla niego jasna. Wykorzystując nową broń. Niemcy wraz ze swymi sprzymierzeńcami mogliby jej użyć i stworzyć system obronny, zdolny przeciwstawić się zjednoczonym siłom Związku Radzieckiego, zawładnąć Ziemią i zniszczyć zasoby broni nuklearnej.

Wiadomo było, naukowcy tego dowiedli, że wystarczy pojedynczy wybuch termonuklearny, aby zniszczyć atmosferę ziemską. I wówczas ci wszyscy ludzie, żyjący w podziemnych miastach jak w grobowcach, już nigdy nie byłiby w stanie wyjść na powierzchnię jak normalne ludzkie istoty. Od tej pory ich życie byłoby jedynie nędzną wegetacją.

Prokopiew kierował się na zachód, w kierunku niemieckich linii. Całą nadzieję pokładał w doktorze Rourke'u. On będzie wiedział, jak mądrze wykorzystać nową broń.

## ROZDZIAŁ XIX

Michael szedł w poprzek trawnika między żywopłotami, aż wreszcie dotarł do zagajnika drzew owocowych. Gdzie jest Rolvaag? W parku między drzewami stały sowieckie śmigłowce. Czy pani Jokli wciąż żyje?

Potężny Islandczyk, przypominający teraz olbrzymiego trolla odzianego w zieloną pelerynę, oraz jego pies zmierzali teraz w stronę domu, gdzie mieszkała Annie, gdy Michael i jego ojciec po raz pierwszy zjawili się w Hekli.

Dlaczego tam? Dlaczego nie szedł do pałacu prezydenckiego, skąd, według planu, miała być przeprowadzona akcja ratownicza? Czy pani Jokli była rzeczywiście siostrą Rolvaaga? Bjorn wspomniał o tym, zanim prześliznął się przez otwór tunelu. Później Michael pozostawił Marię samą i zaryzykował pójście za Bjornem.

Olbrzym słabo znał angielski i nie można było wykluczyć, że nie wyraził dokładnie tego, co miał na myśli. Czy rzeczywiście pani prezydent wyspy Lydveldid była jego siostrą? Dlaczego nie udał się do pałacu prezydenckiego? Może zamierzał odszukać innych policjantów. A może Sowietci zlikwidowali ich, obawiając się oporu lub sabotażu.

Michael trzymał się brzegu ścieżki. W rękach ścisnął karabin. Na schodach rezydencji powoli spacerowało dwóch sowieckich wartowników. Obserwował ich uważnie. Jeśli Rolvaag dostał się do środka, on też mógłby to zrobić.

Bjorn ścisnął w dłoniach pałkę. Gdyby Sowietci wcześniej odkryli ten tunel, ktoś stałby już przy wejściu. Hrothgar, pochyliwszy łeb do samej ziemi, zawzięcie węszył, jakby znalazł trop. Rolvaag poklepał psa po pysku, starając się uspokoić wilczura. Przeszli przez piwnicę, mijając skrzynie, stare materace i nie używane łóżka. Zatrzymali się przed ścianą.

- Tam musi być wiele fajnych zapaszków – powiedział szeptem do psa. Ukłęknął za Hrothgarem i pogłaskał go między uszami.

Żeby tylko znaleźć to miejsce.

Michael spojrzął na zegarek. Patrol potrzebował czterech minut, aby obejść pałac dookoła. Przez około siedemdziesiąt sekund, nie krócej jednak niż przez sześćdziesiąt sekund, wejście frontowe nie było w zasięgu wzroku żadnego ze strażników. W środku Rosjanie mogli rozmieścić więcej posterunków, ale jeśli nawet tak zrobili, Michael musiał sobie z nimi poradzić.

Rolvaag zapalił zapałkę. Płomień utrzymywał się dopóty, dopóki Bjorn nie przyłożył zapałki do szczeliny między betonowymi blokami. Delikatny podmuch powietrza zgasił zapałkę. Policjant pchnął mocno bloki i w ścianie pojawiła się szpara szerokości jego ramienia. Hrothgar warknął cicho. Przyglądając się z bliska szczelinie, Islandczyk szukał właściwego znaku. Była to jedna z nielicznych rzeczy, którą pamiętał z młodości. Wówczas to, będąc jeszcze rekrutem, od starego,

emerytowanego oficera dowiedział się o istnieniu tego miejsca.

- To jest właśnie pomieszczenie, o którym ktoś powinien wiedzieć - powiedział do siebie. - Ale to musiałby być ktoś wyjątkowy. I nigdy nie powinniśmy rościć sobie pretensji do tego, co jest w tym pomieszczeniu. Chyba, że zostaniemy sami na świecie. Lecz dopóki nie jesteśmy...

Nigdy nie miał się dowiedzieć, dlaczego właśnie jemu powierzono tajemnicę sekretnego pokoju. Wszedł do środka.

Michaelowi spocily się dłonie; zbyt mocno ścisnął rękojeści pistoletów. Nie mógł sobie pozwolić na użycie M-16 wewnątrz budynku. Tak więc dwa po dziewięć milimetrów pistolety magnum, schowane w kaburze, oraz nóż, wykonany przez starego płatnerza Jona, stanowiły całe jego uzbrojenie. Przeszukiwanie budynków z jakimkolwiek ręcznym pistoletem, zwłaszcza ze Smith & Wessonem o czterocalowej lufie nie było praktyczne.

Korytarz był pusty. Nic nie wskazywało na to, aby ten budynek ktoś zamieszkiwał, lecz Michael nie chciał zdawać się na domysły. Nieobecność lokatorów była jakimś wyjaśnieniem niezbyt uważnego, beztroskiego, zachowania się wartowników strzegących rezydencji. Schody na końcu korytarza prowadziły w górę i w dół. Instykt podpowiadał Michaelowi, że Rolvaag jest na dole. Ruszył w stronę schodów. Zaczął schodzić na dół. Było ciemno, ale nie zaryzykował włączenia latarki. Poruszał się ostrożnie, po omacku wyczuwając stopnie schodów, biegnących wzdłuż ściany z betonowych bloków.

Hrothgar pobiegł do drzwi i z powrotem, wciskając się między nogami mężczyzny w szczelinę, z której sforsowaniem jego pan miał kłopoty. Rolvaag spojrzął na psa, biegnącego już w stronę drzwi dzielących magazyn od głównej części sutereny, w której przechowywano sprzęt rekreacyjny - stoły pingpongowe oraz podobne przedmioty.

Bjorn wskoczył do wnętrza magazynu.

Michael zamarł na moment w miejscu. Z dalekiego końca sutereny dobiegał dźwięk, którego pochodzenia nie był pewny. Wydawało mu się, że słyszał jakby czyjś głośny oddech.

Pistolety. Jeszcze mocniej zacisnął dłonie na kolbach pistoletów. Trzymał się blisko ściany. Schody były za nim. Smugi światła, dobiegające z góry, tworzyły wszędzie cienie, co powodowało, że wszystko wokół niego wydawało się ciemnoszare.

Nagle dał się słyszeć chroboczący, coraz wyraźniejszy dźwięk. Szelest stawał się coraz bardziej głośny. Kiedy młody Rourke odwrócił się z bronią gotową do strzału, na ścianie zamajaczył jakiś cień.

- Hrothgar! - szepnął Michael, opuszczając pistolet w dół. Pies stanął na tylnych łapach. Polizał Michaela po twarzy.

W tym momencie usłyszał, że ktoś wymawia jego imię:

- Michael...

To był Bjorn Rolvaag. Młody Rourke przyspieszył kroku, zdejmując palce ze spustów.

## ROZDZIAŁ XX

Rourke stał na pokładzie "Archangielska". Helikopter odlatywał na wschód, niknąc w blasku wstającego właśnie słońca.

- Proszę się nie martwić, doktorze. Ta wyspa nigdy nie będzie wykorzystana ani przez nas, ani przez nich. To wyspa bardzo wulkaniczna, niestabilna geologicznie. I dlatego jest idealna. - Darkwood uśmiechnął się i klepnął Johna po ramieniu.

Ten spojrzał jeszcze raz za oddalającym się śmigłowcem, ale nie odpowiedział. Wiedział, że było to jedyne rozsądne wyjście - aby helikopterem poleciał Paul. Miał nadzieję, że Rubenstein poradzi sobie z pilotażem i nawigacją, wierzył w niego, jednakże nie dawała mu spokoju myśl, że zachodzi istotna różnica między umiejętnościami technicznymi, które Paul niewątpliwie posiadał, a doświadczeniem nabytym podczas wielu godzin spędzonych za sterami.

Darkwood mówił dalej:

- Komandosi, których posłałem razem z panem, poradzą sobie doskonale. Nie musi się pan obawiać o niego. Już za kilka godzin pan Rubenstein znajdzie się w Mid-Wake i spotka się z pańską córką. Było to jedyne wyjście. Jedyne rozsądne rozwiązanie...

John Rourke wiedział o tym. Zapytał jednak Darkwooda:

- Czy byłby pan spokojny, pozwalając swemu najlepszemu przyjacielowi płynąć łodzią podwodną przez nieprzyjacielskie terytorium, wiedząc, jak małe ma on doświadczenie?

- Jasne, że nie, doktorze. Ale teraz musi pan zejść pod pokład. Po tej historii z raketami mamy mało czasu do stracenia, prawda?

John tylko skinął głową. Sylwetka śmigłowca już zniknęła w słońcu. Paul odleciał z dwoma komandosami.

- Dobrze, zejźmy na dół.

Oczywiście, Darkwood miał rację. Nie było czasu do stracenia, lecz świadomość tego wcale nie rozpraszała wątpliwości doktora.

## ROZDZIAŁ XXI

Michael, podążając za Rolvaagiem, schylił głowę i przeszedł przez wąskie przejście między betonowymi blokami ściany. Pies zniknął już w ciemnościach. Rolvaag wyciągnął rękę, dotykając klatki piersiowej Michaela, a ten zatrzymał się, słysząc za sobą zgrzyt zasuwanych przez Islandczyka bloków w ścianie. Znaleźli się w absolutnej ciemności. Powietrze cuchnęło stęchlizną. W tej chwili obaj włączyli swoje latarki. Michael zmrużył oczy. Strumień światła przeciął pokój, trafiając na przeciwną ścianę i zabłysł w ślepiach Hrothgara. Szyba, słabo pokryta kurzem, odbijała światło. Rolvaag skierował się w jej stronę. Przetarł szybę. Michael podszedł bliżej, świecąc latarką. Za szkłem umieszczona była broń. Niektóre z pistoletów rozpoznał, gdyż takich używał już wcześniej. Większość z nich jednak pamiętał jedynie z takich filmów jak “Broń piechoty Jeana” lub “Najmniejsze Armie Świata”. Czy po to właśnie tutaj przyszli?

Młody Rourke oświetlił twarz swego towarzysza. Ten ze zdumieniem patrzył na gablotę, na znajdujące się w niej strzelby, pistolety maszynowe i karabiny snajperskie. Gablota miała co najmniej kilkanaście stóp długości. Po chwili Islandczyk zaśmiał się i potrząsnął głową.

Snop światła z latarki Rolvaaga przesunął się na kolejną ścianę. Znajdował się tam otwór tunelu. To był powód, dla którego tutaj przyszli.

Zostawiając gablotę jako zupełnie bezwartościową, Rolvaag skierował się do tunelu. Michael ruszył za nim. Hrothgar pobiegł przed nimi, ale szybko zawrócił.

## ROZDZIAŁ XXII

- Muszę to zrobić, tato.

To wszystko, co miała do powiedzenia. Pocałowała go i pobiegła. Powiedział jej, że Paul wkrótce dołączy do nich, skoro tylko ukryje helikopter. Wspomniał jej o matce, o tym, że jest bezpieczna z pułkownikiem Mannem w drodze do bazy "Eden" w Georgii. Napomknął również o Michaelu i Marii, która powinna być razem z nimi.

Annie poinformowała go natychmiast, że Otto Hemmerschmidt czuje się dobrze, i dodała:

- Natalia nie będzie taka, jak przedtem, albo straci zupełnie kontakt z rzeczywistością i zabije kogoś lub siebie. Nie ma innego wyjścia.

- Mogłabyś...

Chciał powiedzieć, że mogłaby jakoś zapobiec trwałym zmianom w mózgu Natalii, ale nie zdążył. Annie już wybiegła z pokoju. Doktor nadal czuł na policzku pocałunek córki. Przypomniał sobie obcasy jej butów, które wydały mu się nagle śmiesznie wysokie. Jego dziecko. Kobieta. Bardzo odważna kobieta.

John przygryzł cygaro. Spojrzał na Jasona Darkwooda.

- Czy wszystko gotowe do spotkania?

- Tak, doktorze. Aha! Przyprawdzą tam również doktor Barrow. Słyszałem od Sebastiana, że pańska córka i Marggie zostały dobrymi przyjaciółkami podczas wspólnej żeglugi na pokładzie "Reagana". Zapewne będzie się ona opiekowała pańską córką.

John Rourke tylko skinął głową, po czym zapalił trzymane w ustach cygaro i z lubością zaciągnął się dymem.

- Miło znów pana widzieć, doktorze.

- Panie prezydencie...

Jacob Fellows wskazał ręką ludzi stojących obok niego.

- Zna pan admirała Ranna i generała Gonzaleza?

- Spotkaliśmy się już.

Prezydent państwa, które było teraz jedynym spadkobiercą Stanów Zjednoczonych, wskazał miejsce przy okrągłym konferencyjnym stole, a następnie usiadł w swoim fotelu. Admirał Rahn i dowódca komandosów, generał Gonzalez, zajęli fotele po obu stronach Fellowsa. John był mile zaskoczony, widząc przy stole Jasona Darkwooda, T.J. Sebastiana i Sama Aldridge'a.

Drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się. Widoczna na zewnątrz straż prezentowała broń przed mężczyzną w pomiętym garniturze.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, panie prezydencie. Panowie...

- Doktorze Rourke, pozwoli pan sobie przedstawić najznakomitszego naukowca Mid-Wake, Clintona Milforda.

Rourke wstał. Zauważył, że naukowiec nie jest zbyt wysoki. Milford podniósł okulary w górę ruchem, który przypominał Johnowi stary gest Paula Rubensteina z czasów przed snem narkotycznym.

- To zaszczyt pana poznać, doktorze Milford.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Rourke, tylko po mojej, sir!

Milford zajął miejsce obok Rourke'a, który także usiadł. Jacob Fellows chrząknął i zaczął mówić:

- Musimy przedyskutować z panem, doktorze, wiele kwestii. Nasze spotkanie może mieć bardzo duże znaczenie. Ustalenia, jakie poczynimy, mogą zaważyć w wielu sprawach. - Fellows nie potrafił być lakoniczny, ale mimo to, jak na polityka, wydawał się całkiem sympatyczny. - Wydarzenia, które miały miejsce w ostatnich dniach to totalne niepowodzenie naszej operacji. Śmierć wielu osób z personelu, znany panu incydent nuklearny, wszystko zmierza do wojny na niewyobrażalną skalę. Konieczne wydaje się zawarcie sojuszu z siłami na powierzchni globu. Nie chodzi tu o układ oparty na wzajemnej sympatii, jaki zaistniał w momencie, kiedy spotkaliśmy się z panem po raz pierwszy, lecz o przymierze zawarte z przyczyn racjonalnych. Wydaje się to teraz bardziej konieczne niż kiedykolwiek. Również zawarcie podobnego przymierza między siłami sowieckimi wydaje się wysoce prawdopodobne. Czy zgadza się pan z tym, panie Rourke? - Prezydent spojrzał na Johna.

Ten strzeptał do popielniczki popiół z cygara.

- Siły na i pod powierzchnią po obu stronach nie mają innego wyboru jak tylko przymierze. Antonowicz z pewnością zostanie zwierzchnikiem armii, dowodzonych niegdyś przez Władimira Karamazowa, i potrzebuje militarne wsparcia. Nasi wrogowie mogą mu go udzielić. Jednakże nie sądzę, by Antonowicz był głupcem i wystrzelił wszystkie swoje rakiety z głowicami nuklearnymi bez uprzedniego przemyślenia całej sprawy. Wasi przeciwnicy mogą być nieświadomi kruchości atmosfery, pewne jest jednak, że lądowi Sowietci mają przewagę. I właśnie biorąc ten fakt pod uwagę, sojusz między państwami sowieckimi mógłby być dla nas korzystny. Antonowicz nie wydaje się człowiekiem lekkomyślnym. Karamazow taki był. I w tym możemy upatrywać pewną szansę. A póki co - kontynuował - wasi wrogowie zakładają instalacje podobne do tych, które przypadkowo odkryliśmy na wyspie i będzie tylko kwestią czasu, kiedy użyją celowo czy przez przypadek, tak jak to miało miejsce zaledwie parę godzin temu. - Czuł się bardzo zmęczony i odczuwał potrzebę snu. - Tak więc sojusz między wami a siłami Nowych Niemiec, mieszkańcami wyspy Lydveldid, Pierwszym Miastem i załogą "Edenu" jest nieunikniony. Nieunikniony, panie prezydencie. Ale jest też kilka problemów, które powinien pan przewidzieć. - Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

- Dowódca bazy "Eden", Christopher Dodd, nie będzie chciał współpracować. To jego sprawa. Nie ma czasu, aby doszukiwać się przyczyny. Niemniej jednak większość załogi "Eden" poprze taki sojusz. Tak więc komandor nie będzie miał innego wyjścia, jak przyjąć go również. Lecz nadal twierdzę, że Doddowi nie można ufać. Rządowi Nowych Niemiec - ciągnął - można zaufać bez zastrzeżeń. Ale są pewne komplikacje. Niektóre fakty, które wyszły ostatnio na jaw, świadczą wyraźnie, że rozwiązany nie tak dawno ruch nazistowski może być nadal aktywny i może zniszczyć młodą jeszcze demokrację, wprowadzoną tam przez Dietera Berna. Gdyby nowy rząd został obalony i powróciłby stary reżim, sytuacja stałaby się niewesoła. Abstrahując od oczywistych problemów, związanych z reżimem nazistowskim, Niemcy są w posiadaniu niezbyt zaawansowanej technologii nuklearnej. Jednakże mają również spory personel naukowy, wiele świątłych umysłów, których prace bardzo szybko posuwają się do przodu.

- A Chińczycy? - zapytał Fellows, podpierając twarz rozwartą dłonią i pochylając się lekko nad stołem.

- Nie mają przewagi ani na morzu, ani w powietrzu, a ich armia opiera się głównie na piechocie i



częściowo na konnicy.

- Zdumiewające! - wykrzyknął doktor Milford. Rourke spojrział na niego, nic nie mówiąc.

- A ich rząd? - naciskał Fellows.

- Rządowi Pierwszego Miasta można zaufać. Pomijając wszystkich potencjalnych sprzymierzeńców, oni sami posiadają wystarczającą przewagę, aby wejść w układ z podwodnymi Sowietami. Islandczycy? Jeśli Islandia przetrwa inwazję, która jest już nieunikniona, mieszkańcy wyspy nie mają ani wojska, ani przydatnej technologii. Jednakże są to dobrzy ludzie i bez względu na ich ilość można liczyć na ich pomoc. Poza tym na terenie Europy znajdują się jeszcze dzikie plemiona, ludzie prymitywni. Są to potomkowie społeczności francuskiej, która przetrwała wojnę. Jednak wyszli oni na powierzchnię zbyt wcześnie. Długo żyli w prymitywnych warunkach. Prawie wszyscy są analfabetami. To ludzie prymitywni, ale - są tacy jak my. I mają te same nadzieje, chociaż trochę inaczej je wyrażają. Militarnie się nie liczą, ale musimy włączyć ich do koalicji, gdyż nie ma dla nich innej szansy przetrwania. Drugie Miasto chińskie - Rourke powoli zbliżał się do końca swego wywodu - w zasadzie nie istnieje. Ci, co przetrwali, egzystują w dość licznych grupach. Z kim zechcą się sprzymierzyć, tego nikt nie wie. Nikogo z nas nie tolerują. I przypuszczalnie gdzieś istnieje jeszcze tak zwane Trzecie Miasto. Może to tylko legenda, ale większość legend opiera się na jakichś realiach.

- I wierzy pan, że siły pod dowództwem tego... - tu Fellows zajrzał do notatek, leżących na wypolerowanym drewnianym blacie stołu. - ... Antonowicza. On prawdopodobnie połączy swoje siły z armią Podziemnego Miasta?

- Wszystkie raporty wywiadu na to wskazują, panie prezydencie. To oznacza, jeśli jest zgodne z prawdą, że siły sowieckie na powierzchni posiadają dobrze zorganizowaną bazę technologiczną, pełne zaplecze produkcyjne i znaczne rezerwy siły roboczej. Połączone siły Nowych Niemiec i Pierwszego Miasta mogłyby bez trudności przewyciężyć liczebnie Sowietów w stosunku trzy do jednego, lub nawet bardziej.

- Czy mogę coś powiedzieć, sir? - wtrącił generał Gonzalez.

- Oczywiście, generale.

Gonzalez wstał, chwilę spoglądał na Rourke'a, a następnie powiedział:

- Widział pan naszą operację na lądzie. To było okropne. Ale była ona przeprowadzona najlepiej, jak tylko było można. Niestety nie wiedziałem, na ile komandosi są w stanie współpracować podczas dłuższego okresu działań lądowych.

Rourke zaciągnął się cygarem.

- Michael powiedział mi, że wasi ludzie spisali się doskonale. Michael to mój syn. Walczył u boku porucznika Jamesa, oficera ochrony na okręcie "Wayne".

- Michael jest dobrym komandosem. Okręty "Wayne" i "Reagan" to świetne jednostki. Lecz większość oddziałów pod moim dowództwem nie nabyła jeszcze, niestety, doświadczenia w walkach na powierzchni.

- Ale pan ma pod swoją komendą wielu zdolnych ludzi, generale Gonzalez - odrzekł Rourke, spoglądając na Aldridge'a. - Walczyłem już, mając pod sobą żołnierzy Sił Specjalnych, oddziałów SEAL i wielu innych formacji. Było to pięć wieków temu. Ćwiczyłem ich. Ludzie tacy jak kapitan Aldridge nie znają strachu.

- Dziękuję, doktorze - skinął głową Sam, patrząc nieruchomo przed siebie.

- Chodzi mi o to - odezwał się Gonzalez - że my potrzebujemy czasu, aby zebrać siły.

Przynajmniej te najbardziej niezbędne.

- Ale pan nie może zyskać na czasie z tymi ludźmi, których pan już ma - rzekł Rourke.

Gonzalez usiadł. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Proszę się tak nie spieszyć, doktorze - odezwał się Fellows. - Gdyby znalazł się pan na moim miejscu i był w takiej sytuacji, jaka jest w tej chwili, to jakie rozkazy by pan wydał?

Doktor zgasił cygaro w popielniczce. Po pokoju rozszedł się ostry zapach niedopałka.

- Dobrze. Skontaktujemy się z dowódcą wojsk Nowych Niemiec, pułkownikiem Mannem. Spróbujemy połączyć z nim nasze siły. Następnie połączmy najlepsze oddziały naszej piechoty morskiej, niemieckich komandosów i część chińskiego personelu wojskowego. Wasze najlepsze łodzie podwodne, jak "Reagan", a może i "Wayne", wysadzą te oddziały na wyspach, gdzie Sowieci zakładają swoje bazy raketowe. My zniszczymy te bazy. Podczas tej akcji możemy ponieść spore straty, ale tak się nie stanie, jeśli opracujemy właściwy plan działania. Prawdziwego doświadczenia żołnierz nabywa na polu walki. Część waszych najlepszych ludzi, którzy nie są tak dobrze wyszkoleni, proponuję przenieść do Argentyny, do Nowych Niemiec. Będą z Chińczykami i Niemcami tam ćwiczyć w celu stworzenia zaczątku prawdziwej armii lądowej, nazwijmy to Specjalną Grupą Bojową. To, do czego zmierzam, to stworzenie dwóch takich Specjalnych Grup Bojowych. Jedna uczyłaby się poprzez działanie. Ludzie tacy jak kapitan Aldridge, a może ten kapitan Otto Hammerschmidt, o którym mówił porucznik Michael, a który już wraca do zdrowia, staliby się członkami Pierwszej Specjalnej Grupy Bojowej. Mój syn oraz kapitan Hammerschmidt mogliby podzielić się z żołnierzami Mid-Wake swymi spostrzeżeniami i udzielić wskazówek. Ewentualnie stworzymy grupy komandosów, które będą na tyle silne, aby zaatakować centra dyspozycyjne wroga. Chodzi mi o ich podwodne miasto i miasto pod Uralem. Jacob Fellows uśmiechnął się.

- To jest dokładnie to, czego spodziewałem się po panu, doktorze Rourke. I nie ma nikogo bardziej odpowiedniego do poprowadzenia tych sił niż pan. Chcę mianować pana...

Rourke, uśmiechając się, podniósł rękę.

- Chwileczkę, panie prezydencie. Z całym szacunkiem, sir, nie jestem żołnierzem...

- Doktorze Rourke! Jest pan nadal obywatelem Stanów Zjednoczonych, prawda?

- Tak, sir, jestem. Zawsze nim będę.

- A ja jestem wciąż prezydentem tego, co pozostało ze Stanów Zjednoczonych, czyż nie?

- Zgadza się, jest pan, ale...

- Więc daję panu prezydencki rozkaz, doktorze. W ten sposób został pan mianowany generałem brygady, dowódcą Pierwszej i Drugiej Specjalnej Grupy Bojowej Sił Sprzymierzonych.

- Sir, nie może pan... a co z...

- Niemcami? Chińczykami? Z mojego punktu widzenia jest pan bohaterem wszystkich narodów. Stał się pan nim, uwalniając Nowe Niemcy od nazistowskiej dyktatury i ratując Pierwsze Miasto od atomowego unicestwienia, niemal w pojedynkę pokonał pan odwiecznych wrogów - komunistów Drugiego Miasta. Zapewne nie będą mieli nic przeciwko tej decyzji, generale.

Rourke siedział bez ruchu.

Admirał Rahn, generał Gonzalez, Jason Darkwood, Sam Aldridge, a wreszcie sam prezydent wstali i zaczęli klaskać. Rourke spojrzał na doktora Milforda. Milford wstał i również klaskał, jego oczy śmiały się.

## ROZDZIAŁ XXIII

- Podstawowa zasada jest następująca - zaczął doktor Rothstein - wprowadzę panią w stan hipnozy. Poprzez sugestie spróbuję pomóc pani zrobić to, co wydaje się rozwiązaniem optymalnym, czyli wniknąć w umysł pacjentki. Jednakże, gdy znajdzie się pani pod wpływem hipnozy, pani "wejście" i "wyjście" z umysłu chorej będzie zależało tylko ode mnie.

Annie spojrzała na Maggie Barrow. Lekarka uśmiechnęła się i skinęła głową na znak, że wszystko jest w porządku. Annie popatrzyła na psychiatrę.

- Niech w żadnym przypadku doktor Barrow nie opuszcza pokoju, kiedy będę zahipnotyzowana.

Rothstein przymrużył oczy, ale skinął głową na znak zgody.

- Oczywiście.

- Czy możemy zacząć? - spytał, rzucając spojrzenie w kierunku Natalii.

Rosjanka, spokojna, ubrana w płaszcz kąpielowy, z nogami owiniętymi kocem, leżała na kozetce na wznak. Drżenie powiek i nieregularne podnoszenie się i opadanie piersi były jedynymi wskazówkami, że nadal żyje.

- Muszę panią ostrzec, pani Rubenstein. To, co pani chce zrobić, może faktycznie pomóc nam wyleczyć pani przyjaciółkę, major Tiemierownę, ale może również spowodować nieodwracalne, negatywne skutki u pani. Wiem, że pani to rozumie, ale nie jestem przekonany, czy pani to przemyślała. Tak więc - niech pani słucha. I proszę pozwolić mi skończyć. Istnieją pewne rodzaje zaburzeń psychicznych, na które, mówiąc możliwie najprościej, można zapaść jak na zwykłe przeziębienie. Zdarzały się przypadki takie jak ten w nowojorskim szpitalu Bellevue, gdzie leczono dwoje pacjentów, oboje zdradzali takie same objawy. Obie te osoby mieszkały przez dłuższy czas razem i oddziaływały na siebie. W trakcie hospitalizacji, rozdzielono ich. Jedna osoba wyzdrowiała w ciągu kilku tygodni. Druga - nie. Pierwszy pacjent zaabsorbował symptomy drugiego. Niebezpieczeństwo polega na tym, że będzie pani psychicznie bliżej drugiej osoby niż ktokolwiek inny. Jeśli przechwyci pani jej symptomy, pani umysł może zostać całkowicie opanowany przez nią. Może pani stracić swoją własną osobowość. Staram się przedstawić pani ten problem w sposób w miarę przystępny. Oczywiście, nie chcę pani obrażać, ale ważne jest, żeby do końca zrozumiała pani niebezpieczeństwo wynikające z tego przedsięwzięcia. Zamiast pomóc swojej przyjaciółce, może pani sobie zaszkodzić.

- Rozumiem - odpowiedziała Annie. - Czy teraz można już zacząć?

Doktor Rothstein zwiesił głowę. Robił wrażenie bardzo zmęczonego.

- Tak.

## ROZDZIAŁ XXIV

Na końcu długiego, ciemnego tunelu majaczyły schody. Rolvaag wskazał na nie ręką, Michael skinął głową. Bjorn pstryknął palcami i Hrothgar usiadł przy najniższym stopniu. Obaj włączyli swoje latarki. Michael, podążając za Rolvaagiem, wyciągnął z podwójnej kabury dwa pistolety Beretta 92SB-F. U samego szczytu schodów zobaczyli ledwo widoczne światła.

Michael trzymał pistolety blisko siebie, jednakże zsunął palce ze spustów, by nie nacisnąć na nie przypadkowo. Jedynym sposobem zachowania równowagi i orientacji było trzymanie się blisko ściany. Idąc tak, krok za krokiem, odgadywał jedynie obecność posuwającego się przed nim Islandczyka. Słyszał jego oddech.

Schody były dość wysokie, co potwierdzało przypuszczenia Michaela, że tunel, z którego wyszli, prowadził w dół. Ukryta broń w pomieszczeniu za pokojem rekreacyjnym zdziwiła go, lecz nie aż tak bardzo jak Rolvaaga. Uważał, że walka z dosyć dobrze wyszkolonymi oddziałami wyposażonymi w szybkostrzelną broń palną, podczas gdy samemu jest się uzbrojonym tylko w pałkę, byłaby czynem niewątpliwie heroicznym, ale niezbyt mądrym. Nie chciał jednak niczego narzucać towarzyszowi. Pamiętał zresztą, że ludność wyspy Lydveldid preferowała raczej broń białą. Tak więc oprócz mieczy, noszonych przez tutejszych policjantów, mieszkańcy Hekli nie mieli raczej do czynienia z innego typu bronią. W ich kulturze walka mieczem wiązała się z czymś w rodzaju społecznej filozofii, a może nawet religii. Pomimo faktu, że Michael przedkładał broń palną nad miecze i noże, jednak miecze zawsze go fascynowały. Nie chodziło o kult białej broni, ale o miecz sam w sobie. Młody Rourke uważał ludzi walczących mieczem za prawych i rycerskich.

Wtem Rolvaag stanął tak nagle, że Michael wpadł na niego. W pomieszczeniu za drzwiami paliło się światło. Michael wstrzymał oddech, nasłuchując. Ktoś mówił po rosyjsku. Nagle poczuł, jak Islandczyk dotyka ręką jego pistoletów, a następnie kabury, dając jasno do zrozumienia, żeby je tam schował. Zabezpieczył pistolety i wsunął je do kabury. Chwycił Rolvaaga za rękę i dotknął nią rękojeści swojego noża. Bjorn dał znak, że zrozumiał. Wyciągnął więc nóż i czekał. Islandczyk podszedł bliżej drzwi i stanął tuż przed nimi. Obaj wstrzymali oddechy.

## ROZDZIAŁ XXV

Drzwi były uchylone. Rolvaag powoli wśliznął się za nie. W świetle wpadającym do środka przez coś, co przypominało otwór wentylacyjny wykuty u dołu ściany, Michael dostrzegł betonowe bloki, ułożone tak samo jak te, przez które niedawno musieli przechodzić.

Bjorn zapalił zapalniczkę. Jej płomień był doskonale widoczny na tle wpadającego tutaj żółtego światła. Rolvaag ostrożnie przesuwając zapalniczkę wzdłuż ściany, aż płomień wyraźnie się zakołysał. Zgasił zapalniczkę. Michael zobaczył, że Bjorn ostrożnie obmacuje kamienne bloki.

Rolvaag kiwnął na niego, a on w odpowiedzi uczynił taki sam gest. Wówczas Rolvaag silnie pchnął ciosy. Kamienie ze zgrzytem i łoskotem wpadły do środka.

Bjorn zagwizdał na Hrothgara i wbiegł przez powstałą dziurę. Michael ruszył za nim, mrużąc na chwilę oczy od światła. W tym momencie zderzył się z jakimś mężczyzną, znajdującym się w pomieszczeniu. Był to gwardzista KGB. Miał rozpięty mundur, palił papierosa. Lewą ręką Michael złapał błyskawicznie za kołnierz jego munduru, przycisnął go ku sobie i trzymanym w prawej dłoni nożem pchnął gwardzistę w brzuch. Kątem oka dostrzegł jak Rolvaag strzaskał szczękę innemu Rosjaninowi. Michael odepchnął od siebie zwłoki sowieckiego komandosa i nożem zatoczył w powietrzu łuk, przecinając gardło kolejnemu żołnierzowi, zanim ten zdążył krzyknąć. Rolvaag pałąk uderzył komandosa w grdykę, wilczur skoczył komandosowi do gardła.

W pomieszczeniu znajdowało się tylko trzech strażników. Dwaj skonali natychmiast. Trzeci leżał na podłodze nieprzytomny lub martwy. Hrothgar warował nad nim.

W pokoju, za kratami ze stalowych prętów, znajdowało się kilkudziesięciu mężczyzn w mundurach o różnych krojach w jednakowym zielonym kolorze. Niektórzy z nich zaczęli coś krzyczeć, ale Rolvaag podniósł palec do ust nakazując, ciszę.

Bjorn podszedł do psa i pogłaskał zwierzę po łbie. Gdy Michael przyjrzał się uważnie żołnierzowi leżącemu na ziemi, dostrzegł krew sączącą się z rany na potylicy. Najwidoczniej gwardzista, gdy pies rzucił się na niego, rozbił sobie czaszkę o jeden z betonowych bloków.

- Klucze - prawie szeptem powiedział Michael, znajdując je na metalowym kółku, przy zwłokach wartownika.

Spróbował włożyć do zamka klucz, który, jak mu się zdawało, powinien pasować. Przekreślił. Udało się.

Bjorn podszedł do otwartej celi. Zaczął mówić coś do zgromadzonych tam mężczyzn. Mówił coś w języku absolutnie dla Michaela niezrozumiałym. Przez moment uwolnieni już islandzcy policjanci słuchali go przytakując. Niektórzy nawet uśmiechali się.

## ROZDZIAŁ XXVI

Annie wydawało się, że jest coraz lżejsza i że znalazła się nagle poza swoim ciałem.

Było ciemno.

Nagle widok jej przesłoniła czerwień, poprzez którą jak przez szkarłatną mgłę mogła dostrzec ojca.

Była teraz Natalią.

Twarz ojca odbijała się w lustrze; właściwie on nie był jej ojcem, ale człowiekiem, którego osoba ją fascynowała i którego kochała. Mimo to wiedziała jednak, że to jest jej ojciec. Spojrzała w inne lustro i zobaczyła swoje odbicie. Zobaczyła także Natalię, ubraną w kremową, jedwabną szatę z białym, koronkowym trenem. Stała tak bez pończoch, bosa przed lustrem.

Gładziła delikatnie dłońmi swe nagie uda.

Czuła gorąco.

Siedziała na taborecie przed niedużym zwierciadłem. Na stoliku leżała pomarszczona poduszka obszyta dookoła koronką. Obok niej, na tym samym stoliku, leżała koronkowa serweta.

Była naga.

Pieściła swoje obnażone ciało.

- Nie!

- Dobrze, Annie. To ja, doktor Rothstein. Kiedy policzę do trzech, pstryknę palcami. Obudzi się pani wypoczęta i opowie mi, co widziała, ale tylko jako obserwator. To wszystko pani nie dotyczyło. Nie brała pani w tym udziału. Czy to jasne?

- Tak.

- Jeden... dwa... trzy... - Pstryknięcie palcami. Annie Rubenstein otworzyła oczy.

- Maggie! - zawołała.

Unosząc się na kozetce objęła doktor Barrow i przytuliła się do niej.

- Może to był zły pomysł - powiedziała szeptem lekarka.

- Proszę opowiedzieć, co pani widziała, pani Rubenstein - powiedział spokojnie Rothstein.

Annie oblizwała wargi. Usiadła i spojrzała na niego. Otwartymi dłońmi przesunęła w dół, wzdłuż ud, wyglądając koszulę. Doskonale pamiętała...

- Ona jest zakochana w moim ojcu. Byłam... ona była...

- Poczuła, jak czerwieniła się jej policzki.

W jaki sposób mogła opowiedzieć to, co widziała, to, co czuła?

Maggie wzięła dziewczynę za rękę.

Islandzcy policjanci wyglądali w swych mundurach tak, jakby byli na jakiejś paradzie. Odziani byli bowiem w zielone, długie tuniki, przepasali się szerokimi pasami. Ich miecze zostały niedbale złożone w dalekim narożniku pokoju i policjanci podchodzili teraz po kolei, podnosili broń i oglądali ją uważnie. Tylko Rolvaag chwilowo był bez miecza. Miecze te służyły im głównie w czasie różnych

ceremonii, były oznaka pełnionej funkcji i Michael Rourke wątpił, czy chociaż co dziesiąty z ich nowych sprzymierzeńców będzie umiał władać swą bronią. Było ich trzydziestu siedmiu, razem z Rolvaagiem i Michaelem. Wyszli na zewnątrz, przedtem sprawdzili jednak, czy w sąsiednim pomieszczeniu nie ma nikogo.

Rolvaag ostrożnie przeszedł w poprzek gabinetu w kierunku ściany. Znajdowały się tu jedynie zwykłe biurka, drewniane szafki, kosze na śmieci oraz telefony. Na przeciwległej ścianie, za szybą gablotki, wisiał pojedynczy miecz. Pod nim zawieszono szeroki pas i pochwę. Gablotka wisiała nad flagą Islandii. Flagą ta różniła się od tych, które Michael widział do tej pory. Umieszczono na niej jakiś nowy symbol. Młody Rourke go już widział. Był to herb rodowy. Widniał na chińskim serwisie do herbaty, którego używała pani Jokli.

Rolvaag rozbił pałką szybę gabloty. Michael obawiał się, że brzęk tłuczonego szkła może zaalarmować Sowietów, ale nie pozostawało nic innego, jak czekać na kolejne poczynania Islandczyka.

Bjorn postawił pod ścianą krzesło, stanął na nim i sięgnął po miecz. Pośród islandzkich policjantów przeszedł pomruk zadowolenia, który przeistoczył się niemalże w okrzyk aplauzu. Jeden z nich wziął drugie krzesło, podbiegł do ściany, wszedł na nie i wyjął z gablotki pochwę od miecza wraz z pasem. Rolvaag stanął przed jednym z biurek i położył na nim miecz. Od policjanta odebrał podane mu pas i pochwę.

Założył je na siebie i podniósł miecz. Nie było w tym żadnej ceremonii, choć przez moment tak to wyglądało. Schował broń do pochwy i przeszedł przez pokój z Hrothgarem przy nodze w stronę drzwi. Michael i policjanci kroczyli za nim.

Annie brała prysznic w małej łazience, w gabinecie doktora Rothsteina. Maggie chciała pójść za nią, lecz Annie dała jej do zrozumienia, że nie jest to konieczne. Patrzyła teraz na swoje odbicie w lustrze, podniecona, a zarazem zawstydzona myślami Natalii. Teraz była znowu sobą, panią Rourke-Rubenstein.

Obsesja Natalii mogła być kluczem, a może nawet czymś więcej. Annie nigdy jeszcze nie stała przed lustrem, patrząc na siebie i płacząc.

Dziewczyna zaczęła ocierać łzy...

Stali na werandzie. Pomimo widoku czarnych sylwetek sowieckich helikopterów byli urzeczeni pięknem Hekli skąpanej w purpurze wschodzącego słońca. Ciepły raj pośród arktycznej pustyni.

- Bjorn? - szepnął Michael.

Zamierzał powiedzieć, że powinni się ukryć, a nie stać tutaj, lecz nie chciał przeszkadzać Islandczykom. To był ich kraj.

Rolvaag odwrócił się i zaczął schodzić po schodach, trzymając w lewej ręce pałkę, a w prawej miecz. Za nim schodzili inni. Zeszli na dół i ruszyli biegiem. Najpierw powoli, równomiernie, jakby trenowali poranny jogging. Gdy przyspieszyli, Rolvaag zaintonował pieśń, która pochwycili policjanci. Ich głosy stawały się coraz potężniejsze, brzmiały jak podmuchy huraganu.

Można było teraz zauważyć żołnierzy sowieckich, podnoszących broń do strzału. Wciąż jednak nie strzelali. Niektórzy z nich przerwali pracę przy helikopterach, inni wychodzili z budynków lub wychylali się z okien.

- *O Gud vors lands...* - Michael rozumiał te słowa: *Bóg naszej ziemi...*

W dłoni Młody Rourke ścisnął nóż. Uniósł go do góry tak, jak to uczynili islandzcy policjanci. Biegli teraz ile sił, w kierunku schodów pałacu prezydenckiego.

Na schodach oddział gwardzistów zaczął formować szyk. Islandczycy wciąż śpiewali.

Gdy sowieccy żołnierze składali się do strzału, policjanci minęli już pokryty śniegiem trawnik. Lufy karabinów były skierowane w ich twarze.

Aby do schodów!

Wbiegli na stopnie w pierwszym rzędzie ośmiu mężczyzn, ramię przy ramieniu. Michael pośród nich.

Rosyjski oficer wydał rozkaz otwarcia ognia.

Michael wyciągnął pistolet, trzymając nadal w prawej dłoni swój nóż. Pierwsza salwa nie trafiła Rourke'a.

Byli w połowie schodów. Druga salwa.

Trzech policjantów po obu stronach Michaela upadło. On sam, przeskakując przez ciało jednego z nich, odbezpieczył Berettę i pociągnął za spust.

Większość Islandczyków leżała już na schodach. Reszta dotarła niemal do ich szczytu. Przyspieszyli kroku.

Nagle Michael poczuł silne uderzenie w lewe ramię. Uderzenie niemal zważyło go z nóg, ale odzyskał równowagę i dalej kontynuował bieg. Kiedy dobiegli do Sowietów, Beretta, którą trzymał w lewej dłoni, miała już pusty magazynek.

Miecze zderzyły się z karabinami. Posypały się drzazgi z drewnianych kolb. Michael wbił nóż prosto w gardło jednego, a w chwilę później w pierś drugiego przeciwnika. Rękojeścią pistoletu uderzył trzeciego w tył głowy. Kątem oka widział Bjorna Rolvaaga, przedzierającego się do przodu. Wywijał nad głową mieczem niby jakiś legendarny król Wikingów, siejący spustoszenie wśród nieprzyjaciół.

Michael wsunął do kabury bezużyteczny już pistolet. Chwycił sowiecki karabin, o mało go nie upuszczając, gdyż poranione palce nie mogły utrzymać broni. Zaczął strzelać. Karabin drgał w jego coraz bardziej słabnącej dłoni. Wrogowie padali na schodach. Niespodziewanie otrzymał silne uderzenie w brzuch kolbą karabinu. Upadając zdążył jeszcze wystrzelić, trafiając napastnika w głowę. Podniósł się na kolana, wstał. Znowu chwycił za nóż. Przebił kolejnego Rosjanina. Już tylko kilkunastu Islandczyków stało obok Rolvaaga. Michael dołączył do swych towarzyszy. Z trudem oddychał po bolesnym uderzeniu w żołądek. Wciąż trzymał w dłoni ociekający krwią nóż.

Wbiegli do holu. Na drodze stanęli im strażnicy.

Ruszyli w stronę bocznego wyjścia. Rolvaag z pomocą swego miecza wyłamał drzwi, prowadzące do gabinetu prezydenta.

Pani Jokli siedziała w fotelu, jej blond włosy były wysoko upięte. Za nią stał sowiecki oficer. Przyłożył jej do skroni lufę pistoletu.

Rolvaag gwizdnął. Spomiędzy policjantów wyskoczył Hrothgar. Skoro tylko oficer odwrócił się w stronę psa, Michael rzucił nóż na podłogę i błyskawicznie wyciągnął drugi pistolet. Pies skoczył na oficera, przewracając go na podłogę. Kiedy mężczyzna uniósł się lekko na jednym łokciu, a wilczur groźnie wyszczerzył kły, Michael pociągnął za spust. Huk pojedynczego wystrzału odbił się od ścian głośnym echem.

Hrothgar czaił się, gotów do ponownego ataku. Głowa sowieckiego oficera opadła do tyłu. Pistolet wysunął się z jego dłoni i upadł na dywan.





## ROZDZIAŁ XXVII

Płytę lotniska pokrywał śnieg. Eskadra Wolfganga Manna, złożona z J7V wylądowała, tworząc idealne koło. Silniki maszyn jeszcze przez chwilę pracowały na wysokich obrotach, a w chwili gdy ucichły, na płycie wylądował helikopter dowódcy.

Załoga śmigłowca odsunęła drzwi i pułkownik wyszedł z maszyny. W jego oczach można było dostrzec zmęczenie. Mówił, starannie dobierając słowa:

- Nasza baza jest zagrożona. Tylko pewna część naszego personelu ma dostateczne doświadczenie bojowe. Jeszcze jeden sowiecki atak, i to miejsce przestanie istnieć. Nakazuję całkowite wycofanie się do bazy "Edenu". Przenośne ogrodzenie i dodatkowe rakiety klasy "ziemia-powietrze" jadą w tej chwili z Nowych Niemiec. Dzięki temu przynajmniej chwilowo zatrzymamy atak wroga. Pomóc ci wysiąść, Sarah? Będiesz tu zupełnie bezpieczna. - Uśmiechnął się, ale uśmiech ten nie był przeznaczony dla niej. Wyczuwała to wyraźnie. - Jak mogę mówić coś takiego do ciebie? Gdybym dowodził choćby plutonem ludzi, którzy byliby tak dzielni jak ty, podbiłbym zapewne całą Ziemię. Lecz co dobrego by z tego wynikło? - mówił, patrząc gdzieś daleko, pomagając jej zejść po schodkach.

Sarah pozwoliła mu na to. Mimo że miała na sobie zapiętą pod szyję kurtkę z naciągniętym kapturem i polarne rękawice, wciąż było jej zimno i nie czuła się najlepiej.

Tłumiony ryk silników J7V, przerywany zawodzeniem wiatru, otoczył ich ze wszystkich stron.

Na nosie i policzkach poczuła chłodne płatki śniegu. Ruszyli w kierunku centrum dowodzenia. Przypomniał się jej przylot do bazy na Lydveldid. Miała wówczas na sobie islandzką spódnicę i otulona była szalem. Tutaj było zupełnie inaczej. Gorzej. Michael! Było niemożliwością powiedzieć mu, że nie weźmie udziału w jakiejś akcji. Był zbyt podobny do ojca. Maria Leuden powinna o tym wiedzieć.

Nagle zdała sobie sprawę, że w ogóle nie słucha tego, co mówi do niej pułkownik.

- Przepraszam, Wolfgang. Przez moment bujałam w obłokach. Co słyszeć u Elaine?

- Pracuje tutaj. Pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć się z nią, ale na razie jest dość zajęta. Wkrótce dowie się, że porucznik wciąż żyje. Znajdują się tutaj odpowiednie środki pozwalające postawić odpowiednią diagnozę i rozpocząć leczenie Kurinamiego. Panem porucznikiem opiekuje się nie kto inny, jak znany ci już doktor München.

- On jest tutaj?

- Tak - skinął głową Mann.

Mann poprawił czapkę. Była tak zniszczona, że przypominał w niej Douglasa Fairbanka w filmie "Więzień Zandy". Dlaczego jej to przyszło do głowy? Przecież Pułkownik w ogóle nie był podobny do Fairbanka.

- Coś mówiłeś, zanim zapytałam cię o doktor Halwerson?

- Mówiłem o tobie. Ale lepiej to przemilczymy. Zatrzymała się.

- O co ci właściwie chodzi? - powiedziała, patrząc oficerowi prosto w oczy.

- Chciałem powiedzieć, pani Rourke, że bardzo się cieszę z pani towarzystwa. Przepraszam za śmiałość, ale rozważałem możliwość zostania pani... przyjacielem. Człowiek taki jak ja, ma niewielu prawdziwych przyjaciół.

- Dziękuję. Co jeszcze chciałeś powiedzieć? Łzy stanęły Mannowi w oczach.

- Jak zapewne wiesz, neonaziści wciąż działają. Już od dawna brałem pod uwagę możliwość dywersji. W czasie ataku... - Z jego oczu popłynęły łzy. - Moja żona opatrywała rannego. Jeden z tych neonazistów podszedł do niej. Żołnierz, będący z nią, także został zabity. A ten... zbrodniarz... uciekł. Strzelił trzy razy w głowę i w szyję mojej żony i uciekł.

Sarah westchnęła tak gwałtownie, że zabrzmiało to niemalże jak krzyk.

- Mój Boże, Wolfgang...

- Ewa była wspaniałą kobietą, bardzo... - Zagryzł dolną wargę, a jego głos stał się twardy. - I dlatego chciałbym... pragnąłbym przejść się teraz, Sarah. Nie mogę... ludzie nie mogą mnie teraz zobaczyć...

Chwyciła Niemca za rękę. Zapragnęła nagle przytulić go do siebie.

- Chodź ze mną - szepnęła.

Podniósł głowę. Wiatr i śnieg smagały jego zapłakaną twarz. Wyprostował się, wzruszył ramionami, skinął głową i mocniej ścisnął jej rękę.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Wskazówka na liczniku pokazującym stan paliwa w baku ciężarówki przesunęła się znacznie poniżej połowy. Wasyl Prokopiew zatrzymał pojazd i szcękając zębami wyszedł z szoferki. Poprzez zaspę przedostał się na tył ciężarówki. Wchodząc na tylny zderzak, zdołał odchylić brezent na tyle, aby wyciągnąć kanister z syntetycznym paliwem.

Jechał przed siebie, nie myśląc o tym, co może go spotkać. Wiedział tylko, że musi kierować się na zachód. Wkrótce powinien dotrzeć do miejsca, gdzie stacjonowały niemieckie wojska. Co się z nim stanie, gdy spotka Niemców, tego nie wiedział, ale teczka zawierająca plany nowej broni musiała być dostarczona Rourke'owi. Major nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Kiedy napełniał zbiornik, usłyszał jakiś dźwięk. Z niepokojem rozejrzył się dookoła. Brzmiało to tak, jak jęk lub zawodzenie.

Rosjanin dokończył wlewanie paliwa, zakręcił pokrywę i zamknął kanister. Rozejrzył się dookoła. - Idiota! - powiedział sam do siebie.

Wnętrze kabiny kusilo spokojem i ciepłem. Silnik cały czas pracował. Oficer miał przy sobie tylko czeski pistolet CZ-75 kaliber 9 mm. Był to antyk, подарowany mu przez marszałka Antonowicza. Nigdy jeszcze nie strzelał z tej broni. Teraz major wyciągnął pistolet z kabury. Schował pod plandekę kanister, nadal jeszcze częściowo wypełniony paliwem. Broń trzymał pod płaszczem. Zeskoczył na śnieg. Zapiął paski plandeki.

Co robić? Wskoczyć do kabiny ciężarówki i odjechać, uciec, nie oglądając się za siebie? Czy pójść tam i sprawdzić co to było?

Brzmiało to jak płacz człowieka. Oprócz dzikich zwierząt, wałęsających się wokół zrujnowanego Drugiego Miasta, nie powinno znajdować się tutaj żadne inne żywe stworzenie. Tym bardziej człowiek.

Może to jakiś żołnierz, który odłączył się od swego oddziału? Prokopiew nie mógł pozostawić bez pomocy kogoś skazanego na pewną śmierć z zimna.

- Jestem uzbrojony! - krzyknął poprzez padający śnieg. - Jeśli potrzebujesz pomocy, otrzymasz ją. Nie obawiaj się. Ale jeśli mnie zaatakujesz, zginiesz!

Mówił po rosyjsku. Nie władał zbyt dobrze angielskim i nie zaryzykował powtórzenia tego w tym języku. Mógłby zostać źle zrozumiany. Zresztą żołnierz ten musiał być albo Rosjaninem, albo Niemcem. A major nie znał niemieckiego.

Nie było odezwu.

Prokopiew trząsł się z zimna, ale jeszcze bardziej drżał ze strachu przed nieznanym.

Poprzez zasy śnieżne poszedł w kierunku, z którego dobiegały tajemnicze odgłosy.

## ROZDZIAŁ XXIX

W pokoju znajdowała się stara aparatura sejsmograficzna. Składała się ona z części drewnianych i znacznie już zużytych elementów mosiężnych. Przed sejsmografem stała Pani Jokli. Michael Rourke przytrzymał swoje zabandażowane lewe ramię. Ból znów wracał.

Igła sejsmografu poruszała się, dość wyraźnie, rysując czarny zygzak na wysuwającej się z urządzenia, białej rolce papieru.

- Nastąpi erupcja, Michael. Erupcja wulkanu Hekla.

Przez okna można było zobaczyć, jak na zewnątrz oddziały Sowietów przegrupowują się. Michael, wciąż sztywnymi palcami, niezdarnie wymienił magazynek w pistolecie, z którego oddał zaledwie kilka strzałów. Pani Jokli zaczęła ponownie mówić, tym razem w języku islandzkim, do Bjorna Rolvaaga i znajdujących się w pokoju trzech policjantów. Okazało się, że z trzydziestu pięciu Islandczyków poległo ośmiu, a dwóch właśnie umierało w wyniku odniesionych ran. Pięciu innych było rannych, ale nie tak poważnie, żeby nie mogli poruszać się o własnych siłach.

Szczupła i źle uzbrojona załoga pałacu prezydenckiego składająca się z dwudziestu policjantów, Rolvaaga z psem, pani Jokli oraz jej służącej, nie mogła postawić skutecznego oporu regularnym oddziałom komandosów.

- Czy może pani powiedzieć, kiedy będzie miała miejsce erupcja? - zapytał młody Rourke.

Prawdopodobnie Maria Leuden nadal czekała na nich w tunelu ewakuacyjnym. Hekla wybuchła wiele wieków temu.

- Trudno mi to określić. Sejsmografia nie należy do moich specjalności. Ale obserwując tę aparaturę przez wiele lat mogę przynajmniej przypuszczać, że wybuch nastąpi wkrótce. Spójrz, jak wzrasta amplituda wychyleń igły.

- Wkrótce? Czy bierze pani pod uwagę czas geologiczny, czy nasz, ludzki?

Kobieta uśmiechnęła się. Wyglądała przy tym bardzo młodo, a jej uroda wprowadziła Michaela w nieklamany podziw.

- Nasz oczywiście. Jesteś bardzo podobny do swego wspaniałego ojca, Michael. Wszyscy ludzie, zarówno nasi jak i tamci, muszą zostać ostrzeżeni i szybko ewakuowani.

- To nie będzie łatwe.

- Dość daleko stąd znajduje się lej po bombie szerokości trzydziestu stóp i głęboki na piętnaście. Ten jest największy, ale w pobliżu jest mnóstwo mniejszych. Jestem pewna, że wybuch tych bomb przyspieszyłby erupcję.

Byli w pułapce. Rosjanie nie uwierzą w to, że zbliża się kataklizm. Na zewnątrz stały helikoptery. Michael mógł porwać jeden z nich, oczywiście, pod warunkiem, że zdoła przedrzeć się do lądowiska. Ale nikt, poza nim, nie znał się na pilotażu. Gdyby Bóg pozwolił i nadarzyłaby się taka możliwość, mógłby zabrać z sobą najwyżej panią Jokli, jej służącą, Bjorna, psa i może jednego lub dwóch policjantów, zostawiając resztę na pewną śmierć. Nie mógł tak postąpić.

Gdyby Marii udało się wyjść z tunelu i dotrzeć do pozostawionych przez Wolfganga Manna

jednostek komandosów, może byłaby jakaś szansa.

- Czy ma pani tutaj jakieś części, z których udałoby się nam skonstruować nadajnik radiowy? Nie chodzi o nawiązanie długotrwałej łączności, lecz o wysłanie na tyle silnego sygnału, aby ponad szczytem wulkanu powiadomić najbliższą niemiecką bazę o naszej sytuacji.

- To jest możliwe!

- W tamtej bazie pozostało kilka sprawnych, niemieckich śmigłowców. Razem ze stacjonującymi tutaj sowieckimi maszynami byłaby możliwa ewakuacja wszystkich ludzi, lecz obawiam się, że cały dobytek musiałby pozostać tutaj.

Pani Jokli uśmiechnęła się do niego.

- Michael! O sile Lydveldid stanowią ludzie, a nie meble, bogactwa, czy nawet biblioteka. Jeśli potrafiłbyś to zrobić, dokonałabyś rzeczy naprawdę wielkiej. Możemy spróbować zmontować taki nadajnik. Ale pozostało niewiele czasu.

Spojrzała najpierw na zapis sejsmiczny, a następnie wyjrzała przez okno, na zgromadzone tam sowieckie jednostki.

Pani prezydent miała rację. Zostało bardzo mało czasu. Ale jego ojciec nauczył go nigdy się nie poddawać. Jeśli im się uda, to i tak będzie musiała zostawić coś po sobie. Była teraz jakby w grobowcu, wraz ze swym jeszcze nienarodzonym dzieckiem.

## ROZDZIAŁ XXX

Remont "Archangielska" i łodzi podwodnej klasy "Island", oficjalnie przemianowanej już na USS "Roy Rogers", przebiegał prawidłowo. Wiele niedokładnych i przestarzałych instrumentów sowieckich zostało wymienionych na najdokładniejsze narzędzia pokładowe, będące w wyposażeniu floty Mid-Wake.

Jason Darkwood usiadł w fotelu kapitańskim. Za dowódcą stanął T.J. Sebastian.

- To tylko na razie, Sebastian. - Darkwood uśmiechnął się. - "Roy Rogers" potrzebuje dobrego pierwszego oficera. Ty nadajesz się najlepiej na to stanowisko.

- Wolę "Reagana", Jason. Ta pływająca bestia nie bardzo mi się podoba.

- Mi też nie, ale jest ona największym i najlepszym transportowcem podwodnym, jaki udało nam się zdobyć. Skoro tylko sowieckie torpedy zostaną usunięte z wyrzutni, może on wywieźć na swoim pokładzie to, czego bez niego nigdy nie bylibyśmy w stanie zabrać. Jest nam bardzo potrzebny.

Wszędzie kręcili się technicy, mężczyźni i kobiety.

- Przepraszam, kapitanie, ten fotel jest nam potrzebny - powiedział jeden z oficerów.

Darkwood wyszczerzył zęby w uśmiechu i wstał z fotela. Oficer natychmiast kazał dwóm marynarzom odkręcić go od podłogi.

- Nasze urządzenia elektryczne można wmontować w przewody sowieckich foteli - wyjaśnił Sebastian. - Wygląda więc na to, że będę miał stółek pierwszej klasy.

- A widzisz! Coś ci się tu jednak podoba. Przejdźmy do twojej kajuty, zanim zechcą wynieść stąd i mnie.

Sebastian skinął głową.

Przeszli przez mostek i weszli do schodni. Dotarli do kajuty, którą na swój sposób Darkwood zdążył już polubić.

Sebastian zatrzymał się, chcąc przepuścić zwierzchnika, lecz ten wepchnął go do środka.

Kajuta była niemal tak duża, jak pomieszczenie w bazie Mid-Wake i większa niż kwatery słuchaczy akademii.

Będzie ci tu jak w raj, Sebastian.

- Trudno - odparł oficer. - Kawy?

- Tak, proszę.

Sebastian podszedł do kredensu i włączył mikrofalowy ekspres do kawy.

- To może być dla ciebie bardzo ważne stanowisko.

- Byłem zadowolony, będąc twoim oficerem operacyjnym na pokładzie "Reagana".

- Cóż, spójrz na to w inny sposób - uśmiechnął się Darkwood, siadając na krawędzi biurka Sebastiana, które było tak duże, jak koja na pokładzie "Reagana". - Mogli cię zrobić generałem brygady, tak jak doktora Rourke'a. Wyglądał na przestraszonego. Podziwiam go, że zdołał się tak opanować.

- Myślę, że Rourke woli działać ze swoimi ludźmi. Dziwne. Na pokładzie "Reagana" czułem się

jakby bardziej wolny. I będę za tym tęsknił.

- Domyślam się, że to był komplement z twojej strony. Dziękuję. - Darkwood skinął głową.

Oficer podał mu kubek z kawą i wziął drugi dla siebie.

- "Roy Rogers" będzie gotowy za dwadzieścia cztery godziny. Czy masz może jakieś informacje dotyczące naszej pierwszej misji?

- Nie. Doktor Rourke, przypuszczam, że powinienem powiedzieć: generał Rourke, zwołał odprawę na dzisiejszą noc. Wziął wszystko na siebie i zamierza skontaktować się z niemieckim dowództwem. Możliwe, że niedługo zapadną jakieś istotne decyzje, na bazie których rozpoczniemy naszą misję. Jednak nie przypuszczam, żeby w najbliższym czasie miała miejsce jakaś większa akcja. Zbyt wielu ludzi będzie debatowało na jeden temat. Jeśli chodzi o ciebie, to weźmiesz ich na pokład, a "Reagan" będzie cię eskortował.

Wydawało się, że ciemna twarz Sebastiana pociemniała jeszcze bardziej. Darkwood kontynuował, popijając kawę:

- Spójrz na to w ten sposób, stary przyjacielu - siorbnął głośno - przynajmniej będziemy służyć blisko siebie. Taki jest podział ról. Ale gdybyś chciał wrócić na "Reagana", jestem pewny, że wystarczy jedno słowo i admirał Rahn się zgodzi.

- Bądź pewny, że tak zrobię. Zaproponuję Saula Harnetta na swoje miejsce.

- Chwilowo pozwolę Rodriguezowi pełnić dwie funkcje. Jest dobrym, młodym oficerem, a teraz będzie miał okazję to udowodnić. Będzie obsługiwał stanowisko komputerowe i maszynownię, a Saul pozostanie tam, by mu pomóc w razie jakiejś wpadki. Tak, będzie mi ciebie brakowało. - Siorbnął ponownie.

- Międzynarodowe siły wojskowe. Przypominają mi się niektóre książki, czytane jeszcze w akademii. Wielkie koalicje zawiązywane przeciwko wspólnemu wrogowi w czasie wojen światowych...

Darkwood zaśmiał się.

- Tak, ale teraz naszymi sojusznikami są Niemcy i prawdopodobnie ten japoński lotnik, porucznik Kurinami, o którym tak dobrze wyrażał się doktor Rourke. Jak te czasy się zmieniają, co?

Sebastian pociągnął łyk kawy i odpowiedział:

- Czasy - tak, ale okoliczności - nie.



## ROZDZIAŁ XXXI

W czarnych oczach Elaine Halwerson zabłyśły łzy.

- Dziękuję, dziękuję wam obu za uratowanie Akiro - wyjąkała przejęta. Odwróciła się i podeszła do łóżka, na którym leżał Kurinami.

- Musi go bardzo kochać - powiedział szeptem Wolfgang Mann.

- Sądzę, iż Elaine myślała, że jej życie jest skończone. Nie mam na myśli tego, czym się zajmowała, ale jej życie wewnętrzne. I wtedy pojawił się on.

- Byłem wychowywany w przekonaniu, że każdy, kto nie jest Niemcem, jest gorszy rasowo. Jednakże, później oczywiście, zdałem sobie sprawę z całej absurdalności tej doktryny. Uwierzyłem w nią, ponieważ nauczono mnie oceniać wszystko pod względem ideologicznym. Pogardzałem ludźmi innych ras. A teraz zazdroszczę tej czarnej kobiecie.

Sarah spojrzała na Wolfganga.

- Człowiek, którego ona kocha, wciąż żyje. Ale i tak nigdy nie jesteśmy pewni dnia ani godziny. Lecz przynajmniej...

Nie skończył tego zdania. Pochyliwszy się nad rannym, którego właśnie niesiono na noszach, powiedział:

- Ty i twoi przyjaciele walczyliście dzielnie. Twoje poświęcenie na pewno nie będzie zapomniane. Ale jest jeszcze jedna bitwa, którą musisz stoczyć, młody człowieku. Wracaj do zdrowia.

- Tak jest!

- Potrzebujemy odważnych żołnierzy, więc szybko wyzdrowiej!

Porucznika odniesiono na noszach i Wolfgang Mann dalej kontynuował inspekcję szpitala. Za nim szła Sarah Rourke. Bardzo mu współczuła. Ona również tak szybko straciła prawie całą swoją rodzinę! Może Annie również nie żyje? Odpędziła od siebie tę myśl. Jak zniosłaby śmierć córki?!

Znowu spojrzała na Wolfganga Manna. Zapewne nie zniosłaby tego lepiej niż on śmierć żony.

## ROZDZIAŁ XXXII

Znalazła się w innym czasie, w innej epoce. Nie była już Annie, niemniej nadal była Natalią. Jednakże wciąż mogła myśleć tak jak Annie. W głowie Natalii znajdowały się jakby dwa umysły.

Po niebie płynęły dostojnie białe obłoki. Nisko nad horyzontem świeciła pomarańczowym blaskiem słoneczna kula. Nie wiedziała, czy słońce wschodzi, czy zachodzi. Na szyi miała aksamitną, kasztanową opaskę, którą spinała z przodu delikatna broszka ze srebra. Na ramiona swobodnie opadał jej kaptur. Jej długie, sięgające pasa włosy rozwiewały podmuchy morskiej bryzy.

Pogłaskała grzywę stojącego przed nią, czarnego konia. Na nogach miała wysokie skórzane buty.

Koń nazywał się Shire. Przy siodle bogato inkrustowanym srebrem wisiał miecz. Łagodnie przemawiała do zwierzęcia. Na czole konia widniała biała plamka w kształcie gwiazdki. Uprząż lśniła w promieniach słońca. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby zwierzę stało w złotym ogniu.

Dłońmi, na których błyszcząły pierścienie, dotknęła rękojeści miecza. Podciągnęła nieco szaty i wsunawszy lewą stopę w strzemię wspięła się na konia. Chwytając lejce, usadowiła się wygodnie, opierając prawą nogę na specjalnym, łuku wystającym z damskiego siodła.

Shire poruszał się dostojnie; jazda na nim, pomimo jego wielkości, przypominała żeglugę w powietrzu. Wydawało się jej, że wierzchowiec leci nie wysiłając się, nie wykonując żadnego ruchu.

Powiał zimniejszy wiatr; musiała naciągnąć na głowę kaptur.

Morze szumiało po jej prawej stronie. Łąd i woda wydawały się jednym, gdy tak mknęła, rozpryskując przybrzeżne fale. Drobną kropelki uderzały ją w twarz, wywołując uczucie świeżości. Poczula nagle tak silny przyływ radości życia, że chciało się jej śpiewać. Na jej drodze stanęły czarne skały.

Ściągnęła cugle.

Zza skał wyjechał na koniu jakiś mężczyzna w czarnej zbroi. Wysokie buty sięgały mu ponad kolana. Jego koń był siwy, mniejszy od jej wierzchowca. Nagle przyspieszył, dobył miecz. Gdy jeździec wzniosł klingę do góry, słońce odbiło się w niej, niemal oślepiając dziewczynę. Pod kapturem dostrzegła czarny hełm z opuszczoną przyłbicą.

- Kim jesteś, rycerzu?

Gdy usłyszała odpowiedź, zamarła w bezruchu. Krzyknęła. To był głos Władymira. Powiedział głucho:

- Za to, że mnie oszukałaś, poniesiesz teraz karę, zginiesz!

Nie było wyboru. Walka albo ucieczka. Jej Shire wyglądał na silniejszego bardziej wytrzymałego od jego rumaka, ale szybkość? Nie była tego pewna.

Pochyliła się i odpiąwszy od siodła miecz, przypasała go do swego boku. Teraz w każdej chwili mogła go dobyć. Dotknęła rękojeści i zauważyła, że zrobiona była, podobnie jak kłama pasa, ze srebra i pokrywała ją misterne wzory. Klinga jej miecza była znacznie węższa niż ostrze broni, którą dzierzył czarny rycerz.

- Wyzywam cię, rycerzu!

Człowiek na koniu zaśmiał się. Jego siwy wierzchowiec ruszył z wolna do przodu, rozbryzgując fale muskające jego kopyta. Ostrogi przy butach rycerza błyszczały, zmoczone wodą.

- Poczekaj chwilę - odezwała się do niego. - Siedząc w moim siodle nie mam szans. Zejdźmy z koni.

- Schodź, jeśli chcesz. Ja tego nie uczynię.

Nie zeszła. Gdyby to zrobiła, jej porażka w starciu z jeźdźcem byłaby przesądzona.

- Nie jesteś zbyt uprzejmy, panie.

- Nie jestem, Natalio.

Spiął ostrogami wierzchowca i skoczył do przodu. Podniosła w górę swój miecz. Stała w strzemionach i pochyliła się do przodu, mówiąc do wierzchowca:

- Naprzód! I nie zawieź mnie!

Shire ruszył, rozbryzgując kopytami wodę. Pędzili, zbliżając się do siebie.

Czarny rycerz pędził wprost na nią z uniesionym mieczem. Zsunięty kaptur odkrył szyszak z czarnego metalu, przypominający ludzką czaszkę z wystającymi kośćmi policzkowymi.

Już tylko najwyższej dziesięć jardów dzieliło ich od siebie.

Niespodziewanie Natalia zrobiła zwrot i czarny rycerz minął ją. W tym samym momencie cięła mieczem i czarny hełm upadł w morskie fale.

Koń rycerza zwolnił i zatrzymał się. Zwierzę i jeździec odwrócili się w jej stronę.

Mężczyzna był bez głowy. W prawej ręce nadal trzymał miecz. Lewą sięgnął do tyłu i narzucił na szyję kaptur.

- A teraz twoja głowa, Natalio!

Krzyknęła. Shire wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Jej ręce były jak z ołowiu, nie mogła unieść miecza, aby odparować cios.

Mężczyzna wznosił swój miecz.

- Zdradzałaś mnie, Natalio!

Ostrze jego klingi mieniło się w słońcu. Skierował miecz w jej kierunku... Annie zrozumiała.

- Obudźcie mnie! Obudźcie mnie! Obudźcie mnie! Ja umieram!

- Annie! Gdy policzę do trzech...

- Przestań, do cholery... Obudźże ją.

- Na "trzy" pstryknę palcami. Wtedy się obudzisz. Jeden... dwa... trzy...

Annie otworzyła oczy. Oddychała z trudem. Spojrzała na Natalię, leżącą na sąsiedniej kozetce. Jej pierś gwałtownie uniosła się, oczy pod powiekami drgały.

- Niech ją pan wyciągnie z tego snu, proszę! Proszę, doktorze Rothstein! - powiedziała Maggie Barrow.

Annie patrzyła niewidzącymi oczami. Rothstein trzymał w dłoniach strzykawkę.

- Pani Rubenstein, czy czuje się pani dobrze?

- Tak...

Zrobił Natalii zastrzyk. Maggie Barrow pomagała doktorowi przytrzymać pacjentkę.

- Co się stało?

- Nie jestem w staniej jej pomóc, ale wiem, kto może tego dokonać. Coś, co zdarzyło się kiedyś, a nigdy nie powinno mieć miejsca!

- Co? - zapytała Maggie Barrow. Annie spojrzała na nią.

- Ona bierze udział w walce, której nie może wygrać. Trzy razy. Ciągle ta sama fantazja czy sen,

lub cokolwiek to jest i za każdym razem... Teraz o mało nie zginęliśmy.

- To dzieje się tylko w jej wyobraźni, pani Rubenstein - cierpliwie zaczął wyjaśniać psychiatra.

- Ale ona tam, naprawdę żyje, więc to jest jej rzeczywistość! Ona musi zwyciężyć w swym śnie albo nigdy jej nie odzyskamy! Nie rozumie pan?!

Annie nie potrafiła im tego lepiej wytłumaczyć, teraz miała już pewność.

- Znajdźcie mego ojca.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Nadajnik radiowy był gotów. Wstawili go do pokoju znajdującego się na najwyższej kondygnacji pałacu prezydenckiego. Tutaj umieścili też rannych.

W swoich rozważaniach Michael starał się wziąć pod uwagę wszystkie możliwości działania. Po pierwsze, na pewno brawurowy atak islandzkich policjantów, którzy rzeczywiście splunęli śmierci w twarz, musiał pokrzyżować plany dowódcy sił okupacyjnych. Z kolei oddziały KGB, jak zwykle, wołały uniknąć akcji na własną rękę. Ponadto żaden gwardzista nie miał ochoty iść w pierwszym szeregu na pałac prezydencki. Należało domniemywać, że niewątpliwie wydano rozkaz ochrony pani Jokli, jako zakładnika przydatnego przy wymianie za innych liderów opozycji islandzkiej lub na ich sprzymierzeńców. Dlatego Sowieci nie mieli zamiaru używać broni palnej. Tak więc, dopóki żyła pani Jokli, dopóty istniały możliwości wyjścia z impasu. Sowieci potrzebowali jej żywej.

W powietrzu wyczuwało się gaz. Rosjanie nie byli specjalistami od broni chemicznej. Jednak jedyny gaz bojowy, jakiego używali był tym samym, którego używał Karamazow podczas nieudanej próby zamachu w Podziemnym Mieście. Gaz ten działał głównie na mężczyzn, zmieniając ich w morderczych maniaków, atakujących siebie nawzajem, a zwłaszcza kobiety. Pani Jokli mogła więc znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie. Użycie tego gazu oznaczało dla niej pewną śmierć.

Zbliżał się moment rozstrzygnięcia.

- Co z nadajnikiem? - zapytał Michael, zaglądając przez ramię jednemu znajdującemu się wśród nich naukowcowi - inżynierowi, pani Jokli, pracującej teraz z małą lutownicą w rękę.

- Już prawie gotowy. Mam nadzieję, że jego częstotliwość będzie właściwa.

- Ja też - uśmiechnął się do niej. Poruszał co chwilę lewą dłońią dla sprawdzenia, czy będzie w stanie utrzymać w niej jakąkolwiek broń.

Pokój, w którym przebywali, był usytuowany w górnej części pałacu. Znajdowały się w nim tylko dwa okna. Stoły i drzwi, wyrwane z zawiasów, ustawiono przy nich, by nikt nie mógł zajrzeć do środka. Pani Jokli pracowała przy bardzo słabym świetle. Dopływ prądu do pałacu prezydenckiego został odcięty już parę dni wcześniej. W suterynie stał stary rower i Michaelowi udało się zamienić go na skromny generator. Lecz czy to wystarczy? Dowie się tego dopiero wówczas, kiedy przybędzie pomoc. Ewentualny rajd niemieckich komandosów był jednak bardzo ryzykowny.

Nie można tracić nadziei.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Rourke, wyrwany ze snu, ściągnął mocniej pasek włożonego przed chwilą szlafroka i spojrzał córce w oczy.

- Co chcesz, żebym zrobił?

Niedawno zakończył naradę, po której wysłał komunikat do niemieckiego Naczelnego Dowództwa poprzez wszystkie będące w zasięgu łodzie podwodne z Mid-Wake. Teraz oczekiwał odpowiedzi. Z informacji uzyskanych od Sarah dowiedział się, że Annie, Natalia i Otto żyli, a dwoje z nich czuło się całkiem dobrze.

Annie powtórzyła swą prośbę.

- Chcę, abys poddał się hipnozie i przeniknął do umysłu Natalii.

- Nie mogę tego zrobić. Nie posiadam takich zdolności.

- Myślę, że mogłabym ci pomóc. Spróbuj, proszę cię! Utkwił w niej wzrok. Po krótkiej chwili odwrócił się w stronę okna.

- Pomóc ci? Jak?

- Sądzę, że potrafię przeniknąć do obu waszych umysłów jednocześnie. W ten sposób wszystko rozgrywałoby się w mojej głowie. Innymi słowy, mój umysł stanowiłby miejsce waszego spotkania. Ona walczy z duchem Karamazowa i wierzy, że tylko ty możesz go pokonać. Jeśli to zrobisz, tato, będzie szansa na uratowanie Natalii.

Ponownie spojrzał na nią.

- W jaki sposób sen może...

- Teraz dla niej to jest rzeczywistość, w której żyje. Próbowалаm już kilkakrotnie i wciąż powtarza się ten sam sen.

John usiadł na krawędzi łóżka. Rozbudził się już zupełnie.

- Jaki sen?

- Ona siedzi... Ona to znaczy... Ona myśli o tobie i czasami, w jej śnie, ona...

- Nie mów więcej.

- Tato, jesteś jedynym... Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Nie chcę... Hm... No, dobrze. Co mam zrobić?

- Przede wszystkim musisz się odprężyć. Uśmiechnął się. Kiedy ostatnio mógł sobie na to pozwolić?

- Przypuszczalnie jeszcze umiem to zrobić. Ale jak ja dostanę się do jej snu? Wciąż tego nie rozumiem.

- Gdy będziesz już w stanie hipnozy, ona zacznie śnić. Wówczas ja tylko...

- Nie będziesz w stanie dokonać tego, będąc również pod wpływem hipnozy, prawda?

- Nie całkiem. Hipnoza pomoże mi, ale ja będę nadal przytomna.

- A co się stanie, jeśli zagubisz się w jej śnie?

- Widzę, że rozmawiałeś już z doktorem Rothsteinem, prawda?

Rourke stał teraz przed oknem, patrząc na park.

- I z doktor Barrow. Jeśli będziesz w hipnozie, Rothstein może wyciągnąć cię z tego snu. Ale możesz ulec sile jej majaczeń i stać się bezwolną uczestniczką jej fantazji.

- Ty również.

- Ten sen! Co będę musiał w nim zrobić?

- Ona jedzie konno wzdłuż morskiego brzegu. Jest średniowiecze, jakieś sześćset lat temu... - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Co ja mówię? Tysiąc sto lat temu! Jest pięknie ubrana i jedzie na wspaniałym wierzchowcu, który nazywa się Shire. Ma przy sobie miecz. Zbliżyła się do nadmorskich skał, gdy nagle pojawia się przed nią czarny rycerz.

John uważnie obserwował córkę.

Annie przerwała, podchwytyjąc spojrzenie ojca. Jeszcze nigdy nie widziała takiego spokoju na jego twarzy. Chociaż...

Przypomniała sobie taki moment. Raz, kiedy była jeszcze małą dziewczynką i przypatrywała mu się ukradkiem. To było w domu. Był weekend i w telewizji nadawano jakiś mecz.

Z jakiegoś powodu chciała ten mecz oglądać, chociaż nie pamiętała już dlaczego. Weszła do salonu. On spał na sofie, telewizor był włączony. Ojciec zamknął oczy, oddychał równo i spokojnie. Wyglądał dość zabawnie. Pobieгла do kuchni, powiedziała o tym mamie i przyprowadziła ją do pokoju. Przykryły go kocem, wyłączyły telewizor i resztę dnia spędziły po cichu w kuchni. Później powiedział, że obudził go zapach pieczonych ciasteczek. Nie pamiętała, czy tego dnia Michael był w domu, czy nie. Po prostu wyleciało jej to z pamięci.

Doktor Rothstein przerwał jej rozmyślenia.

- Zaczynamy znowu. Major Tiemierowna ponownie zaśnie, chociaż może mieć z tym pewne problemy. Zneutralizowałem środki uspokajające, które mogłyby spowodować ujemne skutki uboczne.

- Proszę mnie zahipnotyzować, doktorze. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Skinął głową.

- I jeszcze jedno, doktorze Rothstein.

- Tak, słucham?

- Człowiek, który czeka tam, na zewnątrz, z doktor Barrow, jest moim mężem a także najlepszym przyjacielem major Tiemierowny.

Doktor usiadł naprzeciwko niej.

- Wiem o tym. Teraz musi się pani odprężyć. Oparła dłonie na udach.

Wyobraziła sobie ojca, ubranego w stare wytarte dzinsy i niebieską koszulę. Był bez zegarka i jakiegokolwiek broni.

Skoncentrowała swoje myśli tylko na nim i na Natalii. Uczucie odprężenia minęło. W tyle głowy poczuła narastający ból.

Znalazła się nagle w zupełnie innej epoce. Natalia była ubrana w długą, jedwabną szatę. Jechała na grzbiecie swego czarnego konia. Annie znajdowała się jakby poza nią, obserwując ją to z mniejszej, to z większej odległości. Raz - jakby była małym ptaszkiem, siedzącym na ramieniu dziewczyny, a po chwili znajdowała się w odległości setek jardów, jakby obserwując ją przez lornetkę.

Słyszała jednostajny szum morza i tętent potężnych kopyt Shire'a. Nic się nie zmieniło.

Wiatr. Nie czuła jego podmuchów jak przedtem, tylko lodowatą wilgoć i skurcz w żołądku,

spowodowany strachem. Kim była?

Natalia zbliżała się do skał. Pojawił się czarny rycerz na siwym rumaku.

- Kim jesteś, rycerzu?

- Za to, że mnie oszukałaś, poniesiesz karę, zginiesz! Natalia zadrżała. Zsunęła do tyłu kaptur. Jej włosy powiewały na wietrze jak skrzydła pięknego ptaka.

- Wyzywam cię! - krzyknęła.

Czarny rycerz zaśmiał się, tak samo jak poprzednim razem.

- Poczekaj chwilę. Siedząc w ten damski sposób, nie mam szans! Zejdźmy z koni.

- Schodź, jeśli chcesz. Ja tego nie uczynię.

Jego siwy wierzchowiec ruszył do przodu. Natalia wzniosła miecz.

- Nie jesteś zbyt uprzejmy, panie.

- Nie jestem, Natalio. Spięła konia ostrogami.

- Naprzód, Shire! Nie zawieź mnie!

Pędzili wprost na siebie. Kopyta ich potężnych wierzchowców rozbryzgiwały przybrzeżne fale.

W ostatnim momencie koń Natalii na jej komendę skręcił w bok, a jej klinga błysnęła w świetle słońca, które jakby zawisło na horyzoncie, ponad powierzchnią morza.

Czarny hełm zatoczył w powietrzu łuk i upadł z pluskiem w wodę.

Koń rycerza zatrzymał się i zawrócił. Bezgłowy jeździec zaśmiał się głosem Karamazowa.

- A teraz twoja głowa, Natalio!

Ruszył w jej kierunku. Kiedy krzyknął słowo "nierządnic!", wydawało się, że ziemia wraz z otaczającymi ich skałami zatrzęsała się. Annie poczuła strach; nigdy jeszcze nie była tak przerażona.

Natalia ze spokojem oczekiwała swego przeciwnika. Ból w tyle głowy Annie wzrósł jeszcze bardziej.

I wtedy zza skał wyjechał drugi jeździec na białym arabskim koniu. Rozbryzgująca się pod uderzeniami kopyt woda tworzyła wokół niego jakby poświatę, która nagle prześwietlona słońcem, zaczęła błyszczeć wszystkimi kolorami, kontrastując z czystą bielą zwierzęcia. W wypolerowanej zbroi rycerza światło odbijało się niczym w lustrze. Jechał, stojąc w strzemionach, w dłoni dzierżył olbrzymi miecz. Gdy odezwał się, jego głos odbijał się echem od skał.

Czarny rycerz ściągnął wodze.

- Podążałem za tobą aż tutaj, na sam kraniec Ziemi, Karamazow. Teraz jesteś mój.

Koń Natalii zaczął nerwowo dreptać w miejscu. Poczła nagle, że siły ją opuszczają.

Czarny rycerz zaśmiał się tylko w odpowiedzi. Zsiadł z konia i podniósł swój hełm, z którego pociekła krew. Nałożył go sobie na kark.

Natalia zawołała:

- Odejdź, panie! To moja walka, ty nie masz z nią nic wspólnego!

- Mylisz się, pani!

Zbliżał się powoli, trzymając miecz w dłoni. Przyłbicę miał podniesioną.

Annie ujrzała twarz swego ojca, o wiele młodszą, bez zmarszczek.

- To moja potyczka - powiedział Rourke do Natalii. - Ja go zwyciężę. To będzie ostatnia walka.

Nagle Annie uświadomiła sobie, że jeśli on zginie, to zginie naprawdę. Nie rozumiała dlaczego. Po prostu wiedziała to. Choć przecież wszystko to działo się w wyobraźni Rosjanki. Zawahała się. Ból w tyle głowy stawał się nie do zniesienia. Przez chwilę światłość otaczająca jej ojca, była na tyle intensywna, że Annie niczego nie widziała.



Śmiech czarnego rycerza był coraz donośniejszy. Nagle ucichł. Annie odzyskała wzrok. Perspektywa ciągle się zmieniała. Teraz patrzyła oczyma ojca. Natalia była niewiarygodnie piękna, płakała.

- Nie ryzykuj swego życia dla mnie!

- Moje życie zawsze należało do ciebie, pani - niemal szeptem powiedział Rourke. Opuścił przyłbicę i jego biały rumak, idąc stępa, odepchnął konia Natalii z pola walki.

Wierzchowiec czarnego rycerza zrobił kilka kroków do tyłu. Jego miecz znów zalśnił upiornym, krwawym blaskiem.

Rumak Johna stał jak wrośnięty w ziemię. Emanowała zeń siła i spokój.

Słyszała szelest skórzanej opończy srebrnego rycerza. Czowała ciężar jego połyskującej kolczugi. Wyczuwała moc jego prawej dłoni, w skórzanej rękawicy trzymającej miecz. Jego oczy zwęziły się za niewielkimi otworami przyłbicy. Wziął głęboki oddech.

Teraz z kolei Annie patrzyła oczyma Natalii. Obserwowała go. W drżących dłoniach ledwo mogła utrzymać miecz. Poczwała, że przez ciało jej wierzchowca przebiega dreszcz; koń lekko uniośł się na tylnych nogach. Natalia szepnęła coś, lecz jej głos był niezrozumiały.

- Przeklinam twoje imię! - Okrzyk czarnego rycerza uniośł się ponad wybrzeżem. Spiał ostrogami swego wierzchowca, aż z jego boków trysnęła krew i pomknął do przodu.

Rumak Johna Rourke'a gnał mu na spotkanie. Jego miecz zataczał koła, przecinając ze świstem powietrze. Jeździec, jego broń i wierzchowiec zdawali się stanowić nierozłączną całość. Jego głos brzmiał jak grom.

- Zmier się ze mną i zgiń!

Rumak Johna nagle potknął się i przysiadł na zadzie. Wierzchowiec czarnego rycerza stanął dęba. Ich miecze skrzyżowały się, aż iskry trysnęły ponad powierzchnią wody, na tle krwawego słońca.

Rourke spiał konia i z impetem runął na przeciwnika. Ciał mieczem w poprzek przyłbicy i rozplątał hełm przeciwnika. Ale pod nim nie było niczego.

Śmiech czarnego rycerza, upiorny i groźny, przeniknął Annie na wskroś. Natalia, upuszczając miecz, zasłoniła uszy i krzyknęła przeraźliwie.

Słońce błysnęło w ostrzu broni czarnego rycerza czerwoną, krwistą barwą. Oba miecze skrzyżowały się ponownie. Siwek wykonał nagły zwrot. Czarny rycerz pochylił się w siodle i ściskając miecz, pomknął przed siebie. Opończa łopotiała za nim jak chorągiew.

John spiąwszy konia ostrogami rzucił się w pościg. Ziemia drżała.

Rumak uciekającego gwałtownie zawrócił w miejscu i cwałem ruszył z powrotem. Rycerz trzymał miecz przed sobą, kierując sztych prosto w gardło Johna.

Rourke zrzucił z głowy hełm i pochylił się mocniej w siodle.

Oreż czarnego rycerza wciąż mieniła się krwawą, upiorną czerwienią. Jego przeraźliwy śmiech górował nad wszystkim. Jego postać spowijała ciemność.

- Zginiesz, Karamazow! - krzyknął Rourke.

Ich konie minęły się. Ostrza mieczy uderzyły o siebie z przeraźliwym brzękiem, który wprawił skały w drżenie. Rourke i Karamazow zawrócili konie.

Rycerze starli się w straszliwym, śmiertelnym boju. Stał zadzwoniła o stal. Rżenie koni przypominało ludzkie jęki. Dźwięk uderzających o siebie mieczy odbijał się echem, wywołując u Annie kolejne ataki bólu. Rumak Natalii szarpnął się mocno, ale zdołała utrzymać go w miejscu.

Walczący rozdzielili się na moment. Miecz o krwawym ostrzu błysnął w świetle słońca. Czarny

bezglowy rycerz znów zaatakował. John zatoczył mieczem koło ponad swój głowę. Jeszcze raz starli się z sobą.

Nagle czarny rycerz zachwiał się w strzemionach i spadł na piasek. Szybko jednak wstał, odrzucając opończę na bok.

John zawrócił w miejscu, pewną ręką prowadząc swego wierzchowca. Natychmiast zeskokczył na ziemię, chwyciwszy oburącz swój potężny miecz. Odrzucił z czoła włosy nieprzyprószone jeszcze siwizną.

Wiatr wzmagał się, fale mocniej uderzały o skały. Na niebie pojawiły się gwiazdy.

Rourke zbliżył się do czarnego rycerza i uniósł oręż wysoko do góry. Obaj poruszali się jakby w jakimś ekstatycznym tańcu.

Krwawe ostrze zatoczyło łuk w kierunku Johna. Trafiło na jego błyszczącą klingę. Każde uderzenie metalu o metal spowodowało u Annie kolejny atak bólu. Natalia rozplakała się. Jej koń niespokojnie uderzał kopytami o ziemię.

Wielki, biały rumak Johna stał spokojnie, w oczekiwaniu na swego pana.

Stal uderzała o stal.

Czarny rycerz ciął mieczem nisko, usiłując trafić przeciwnika w nogi, ale Rourke lekko odskoczył do tyłu. Blokując pchnięcie, odbił broń wroga. Teraz on ciął, lecz jego przeciwnik zdołał odeprzeć atak. Ich miecze uderzały z wielką mocą, dzwoniąc głośno. Niespodziewanie czarny rycerz kopnął Johna w brzuch; Rourke potknął się i upadł na plecy. Wykorzystując chwilową przewagę upiór zaatakował, ale John był już na nogach. Odparował cios wroga i ruszył do przodu, kilkoma potężnymi ciosami powalając nieprzyjaciela na ziemię.

Stal przeciwko stali. Obaj potężni, obaj dysponujący nieludzką siłą. Ich zmagania zdawały się nie mieć końca.

Upiór wstał. Uniósł miecz do góry i z całej mocy ciął nim w dół, lecz John znów odparował cios, cofając się o krok. Czarne widmo zachwiał się na nogach. W tym momencie Rourke doskokczył do przeciwnika, uniósł wysoko swój miecz i ciął nim prosto, przez bezglowy kark i tułów.

Jakby spod ziemi dał się słyszeć okropny krzyk. Z korpusu czarnego rycerza, rozplatanego na dwie części, wyleciały kłęby czarnego dymu, który czerwieniejąc otoczył jego szczątki.

Przez niebo zaczęły przebiegać przeraźliwe jasne błyskawice. Natalia spojrzała na morze. I nagle wszystko się uspokoiło. Ostrze miecza Johna błyszczało czerwonym blaskiem. Annie wciąż była sobą; obserwowała ich twarz jakby z pewnego dystansu.

John zagwizdał na wierzchowca, a zwierzę posłusznie przybiegło do swego pana.

Natalia szła po piasku w kierunku Rourke'a. Łagodne podmuchy wiatru rozwiewały jej włosy. Gdy zbliżała się do Johna, wbił przed nią swój miecz w piasek, klękając na jedno kolano. Delikatnie dotknęła jego włosów.

Annie nie chciała przyglądać się im dłużej.

Mężczyzna podniósł się. Natalia podeszła do niego bliżej. Objął ją ramieniem i przytulił, patrząc głęboko w jej oczy. Uśmiechnęła się do niego. Ich twarze powoli zbliżały się do siebie.

Annie wiedziała, że nie jest już potrzebna. Nie chciała na nich patrzeć.

Pocałowali się. Stali tak przez chwilę nieruchomo, mocno objęci.

Jeden z koni zarżał.

Słońce nad horyzontem zaczęło się lekko przesuwac. Nie zachodziło, ale szło w górę, żółto-białe, znacząc powierzchnię morza szerokim pasem, jakby wytyczając drogę.

Annie otworzyła oczy i podniosła się.

- Już po wszystkim - szepnęła.

Od tyłu głowy, ku przodowi, napływały fale silnego bólu. Obraz przed oczami zalała czerwień i nastąpiła ciemność.

Doktor był cały mokry od potu. Klęknął przy kozetce, na której przed chwilą leżał.

Paul trzymał w dłoniach głowę Annie. Za nią, spokojnie oddychając, z zamkniętymi oczami leżała Natalia.

Doktor Rothstein odezwał się pierwszy:

- Nie wiem, co się stało, ale takiego wykresu jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Teraz jest już wszystko w normie.

Rourke spojrzał na niego pytająco.

- Z panią Rubenstein - powiedział szybko psychiatra - wszystko powinno być w porządku. Jest ogromnie wyczerpana. Co się stało?

John odrzekł szeptem:

- Po prostu zrobiłem to, co już dawno powinienem zrobić.

## ROZDZIAŁ XXXV

Znalazł je w zaspie śnieżnej między skałami, okryte przed zimnem w strzępy niemieckiego uniformu i sowieckiego koca wojskowego. Było to niemowlę. Jego skóra była miękka i delikatna, nie tak twarda, jak skóra mężczyzny i kobiety, którzy zapewne za życia próbowali ogrzać je ciepłem swych ciał.

Major nie znał się na wychowaniu dzieci, ale sądził, że miało ono już roczek, a może nawet trochę więcej. Kiedy przebierał je w cieplejsze rzeczy, zorientował się, że to dziewczynka.

Dziecko przyglądało się mu wielkimi, brązowymi oczami, wypełnionymi strachem.

- Jak masz na imię, moja mała? - zapytał Prokopiew, uświadamiając sobie jednocześnie, że przecież nie mogła udzielić mu odpowiedzi.

Wziął ją na ręce. Była bardzo osłabiona. Jej krzyk brzmiał słabo, przypominał raczej jęk aniżeli wrzask zdrowego dziecka. Ledwie była w stanie poruszać swoimi wątłymi kończynami. Podczas szkolenia wojskowego nauczył się rozpoznawać objawy odmrożenia. Z wielką pieczołliwością obejrzał jej wątłe ciało. Była zziębnięta. Dopiero po dłuższym czasie, ogrzana ciepłem jego ramion przestała dygotać z zimna. Na szczęście niemowlę nie miało żadnych odmrożeń.

Czym ją nakarmić? Miała dopiero co wyrżnięte pierwsze ząbki. Dziewczynka ani na chwilę nie spuszczała ze swojego opiekuna wzroku, gdy ten krzątając się po kabinie ciężarówki, próbował znaleźć jakieś pożywienie odpowiednie dla dziecka.

Paczka makaronu i mały kawałek kurczaka. Włożył to razem do małego rondelka, dolał wody i wsunął do kuchenki mikrofalowej, która stanowiła część wyposażenia pojazdu.

Dziewczynka nie tknęła pokarmu podsuwanego jej na łyżce.

- Jedz! To dobre i ciepłe.

Ale niewiele tym wskórał. Zaczął sam jeść przygotowaną strawę. Była naprawdę dobra, tylko zbyt szybko stygła.

Dziecko swoją małą rączką dotknęło jego ust. Palcami wyjął z rondelka kęs jedzenia, domyśliwszy się nagle, że dziecko, pochodzące zapewne z jednego z dzikich, zamieszkujących te tereny, plemion, jeszcze nigdy nie widziało łyżki. Dziewczynka zaczęła jeść majorowi z ręki.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Wasylj Prokopiew wzruszył się do głębi.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Michael słuchał pani Jokli, która powtarzała wciąż tą samą wiadomość przez radio:

- Niemiecka Baza Hekla! Nie mogę was słyszeć. Tu mówi prezydent Jokli. Wraz z małym oddziałem policjantów islandzkich oraz Michaelem Rourke'em znajdujemy się w pałacu prezydenckim Hekli. Siły sowieckie nas otoczyły. Nasz sejsmograf wskazuje na zbliżającą się dużą erupcję wulkanu. Potrzebujemy pomocy. Zginiemy wszyscy, jeżeli nie nadejdzie pomoc!

Przerwała na chwilę, aby dać czas na przeanalizowanie jej słów, zakładając oczywiście, że w ogóle ktoś ten komunikat odebrał, po czym znów powtarzała komunikat:

- Niemiecka Baza Hekla, nie mogę was słyszeć. Tu mówi prezydent Jokli...

Islandczycy siedzieli w ciszy, tylko od czasu do czasu któryś z nich wypowiadał kilka słów. Nadzwyczajni, nieustraszeni ludzie. Przebili się przez oddziały Sowietów uzbrojeni tylko w miecze. A teraz w spokoju oczekiwali na rozwój wypadków. Michael obserwował ich twarze. Emanowała z nich wewnętrzna siła i odwaga. Uśmiechnął się, napotykając wzrok Bjorna Rolvaaga. Z mieczem w ręku Bjorn stawał się prawdziwym demonem zniszczenia. Młody Rourke zrozumiał teraz, dlaczego nigdy nie nosił z sobą miecza. Trzeba było sowieckiego najazdu na Hekłę, by broń stała się mu potrzebna. W tej chwili policjant powoli gładził Hrothgara po łbie.

Jedynie pani Jokli była zajęta czymś innym niż oczekiwanie. Jej służąca usiadła na krześle w rogu pokoju. Co chwilę lekko podrywała głowę do góry, walcząc z ogarniającą ją sennością.

Nagle z zewnątrz dobiegł spotęgowany przez tubę głos, mówiący po angielsku:

- Został pan rozpoznany, doktorze Rourke! Nie ma pan szans na zwycięstwo. Poddając się, ocali pan życie pani Jokli i islandzkim policjantom!

Michael przyzwyczał się już do tego, że czasami mylono go z ojcem. Nauczył się nie zwracać na to uwagi. Głos mówił dalej:

- Za pięć minut rozstrzelamy pierwszych dziesięciu islandzkich obywateli. Zaczniemy od kobiet i dzieci. Wszyscy mieszkańcy zginą, jeśli pan się nie podda.

Pani Jokli przerwała nadawanie komunikatu. Wyprostowała się wyłączając nadajnik, spojrzała na Michaela i spytała:

- To koniec, prawda? Michael wsunął nóż do pochwy.

- Chyba tak. Czy można im to powiedzieć?

Gestem wezwał Rolvaaga i pozostałych policjantów. Domyślał się, że Bjorn i tak już rozumiał, o co chodziło.

- Sowieci zabiją cię, ponieważ uważają, że jesteś Johnem Rourke'em.

- Lepiej gdyby to zrobili, niż mieliby mnie zatrzymać i wykorzystywać to przeciwko memu ojcu - powiedział. - Jeśli Karamazow wciąż żyje, to odtransportują mnie do niego. Jakby nie było, jeszcze żyjemy. Pani wiadomość mogła zostać odebrana przez Niemców. Teraz zejdziemy wszyscy na dół. Pani będzie pośrodku grupy. Może los uśmiechnie się do nas. Trzeba czekać i patrzeć, co będzie działo się dalej.

- Kim zawsze chciałeś być, Michael?

- Marzyłem, żeby zostać lekarzem, tak jak mój ojciec. Chociaż... Nie wiem. Nigdy nie miałem dosyć czasu, aby zastanawiać się nad tym. Kiedy nadeszła Noc Wojny, byłem jeszcze małym chłopcem. Zawsze było tyle innych rzeczy do zrobienia. Nie wiem!

- A kobieta? Doktor Leuden?

- Nigdy całkiem do końca nie wiedziałem, czego chcę. Ona kocha mnie, ja kocham ją. Ale nadal wspominam moją żonę, Madison. I chociaż nie układało się między nami najlepiej, to...

Rozmyślał o obietnicy, którą złożył, stojąc nad jej grobem, na który opadły płatki śniegu. Wiedział, że dotrzyma jej tak długo, jak długo będzie żył.

Wstał, zrobił kilka kroków i stanął naprzeciwko pani Jokli. Objął ją ramionami. Ona oparła głowę na jego piersi.

- Masz dwie minuty! - przypominał głos z megafonu. Odwrócił się od niej, podszedł do otwartego okna i zawołał:

- Nie strzelać! Schodzimy na dół!

Kabury z odbezpieczonymi pistoletami Beretta zasunął nieco na dół, na brzuch, by móc łatwiej po nie sięgnąć. Po wyjściu na zewnątrz może będzie mógł odskoczyć w bok. Zanim by go dostali, mógłby zabić kilku, może kilkunastu. Prawdopodobnie nie będzie już miał czasu na powtórne załadowanie broni. Miał jeszcze przy sobie nóż.

Policjanci islandzcy zaczęli się ustawiać w szyku. Poprawiali na sobie mundury.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Sarah płakała. Wolfgang położył jej rękę na ramieniu.

- Jestem głupia!

- Uspokój się, Sarah!

- Ty straciłeś swoją żonę. Ja właśnie dowiedziałam się, że moja córka nie żyje. Więc dlaczego płacze? - łkając, przytuliła się do Manna.

Silniki samolotów pracowały cały czas. Podszedł telegrafista.

- Burza przybiera na sile! Jest wiadomość od dowódcy pozostałych oddziałów z Hekli! Panna Leuden dotarła do bazy godzinę temu. Wyszli z tuneli wulkanicznych. Wygląda na to, że młody pan Rourke...

Sarah usiadła, patrząc w twarz młodego mężczyzny.

- Mów dalej!

- Młodszy pan Rourke i pan Rolvaag polecili na wyspę Hekla sami. Dostaliśmy od nich informację. Młody pan Rourke i pani Jokli wraz z oddziałem policjantów islandzkich są otoczeni przez znaczne siły Sowietów. O ile dobrze zrozumiałem, znajdują się w pałacu prezydenckim.

- Musimy więc atakować - powiedział, wstając, Wolfgang Mann.

- Panie pułkowniku! Jest jeszcze coś. Pani Jokli przekazała, że zgodnie z odczytem zamontowanego tam aparatu sejsmograficznego może nastąpić erupcja wulkanu. Konieczna będzie ewakuacja!

Wolfgang założył ręce do tyłu.

- Przekaż, że pomoc przybędzie. Co jeszcze?

- Niestety, transmisja jest jednokierunkowa, pułkowniku.

Wolfgang Mann spojrzał na zegarek.

- Przygotować wszystkie śmigłowce do startu! - rozkazał. Pozostałe jeszcze w Hekli jednostki mają natychmiast lecieć w stronę wulkanu! Gdybyśmy mieli jeszcze sowieckie maszyny, moglibyśmy ewakuować sporą ilość ludzi z wyspy. Aby je przejąć, musimy oczywiście rozbić ich oddziały. Atakować natychmiast!

Spojrzał na Sarah.

- Myślę, że jest jeszcze duża szansa. Mam taką nadzieję.

Młody telegrafista nadawał już przez radio wiadomość dla niemieckich oddziałów w Islandii.

Sarah zacisnęła pięści tak mocno, że aż pobieleły kostki jej palców.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Michael wyszedł na schody rezydencji. Jego brązowa kurtka lotnicza, taka sama, jaką nosił ojciec, miała zasunięty zamek błyskawiczny. Kryły się pod nią pistolety.

Sowiecki dowódca, pewny siebie, stał przed frontem oddziału, patrząc z pogardą na Michaela. Krzyknął do niego:

- Więc tak wygląda koniec tego zbrodniarza wojennego, Johna Rourke'a! Po pięciusetletniej walce on po prostu sam się poddaje. Oddaj broń!

Michael zaczął schodzić. Było lepiej, niż przypuszczał. Próbował wyobrazić sobie w tej sytuacji swojego ojca. Przypomnił mu się moment z dzieciństwa, gdy pewnego razu ojciec opowiadał mu o rewolwerowcach z Dzikiego Zachodu:

- W życiu przeczytasz wiele kontrowersyjnych rzeczy o dawnym Zachodzie i ówczesnych ludziach. Zwłaszcza o tych, którzy byli dobrymi strzelcami. Wielu z nich nosiło przy sobie po dwa rewolwery. I faktem jest, że wielu posługiwało się nimi aż nazbyt dobrze. Nosili przy sobie dwa kolty z tego samego powodu, dla którego piraci w dawnych czasach mieli za pasem po trzy, cztery pistolety. Wówczas można było strzelić z pistoletu tylko raz i trzeba było go powtórnie nabijać, a czas uciekał. Ale wtedy na Zachodzie byli również ci nieliczni, prawdziwi rewolwerowcy, dla których strzelanie było zawodem. Jeśli masz obie dłonie sprawne i dwa pistolety, to istnieje wiele trików, które możesz zastosować. Oto jeden z nich.

Jego ojciec wziął wówczas dwa Detoniki i po upewnieniu się, że nie są nabite, pokazał sztuczkę, którą Michael miał zamiar teraz zastosować.

Zatrzymał się na środku schodów. Poniżej znajdowało się około trzydziestu sowieckich żołnierzy. Na przdzie stał dowódca, a tuż za nim dwóch oficerów.

Pani Jokli wraz z policjantami nadal znajdowała się wewnątrz budynku.

Michael wyszedł sam z zamiarem wykończenia tyłu Sowietów, aby Rolvaag wraz z policjantami miał szansę przebić się i wyprowadzić bezpiecznie panią Jokli. Na terenie gigantycznego parku okalającego pałac było wiele różnych kryjówek. Mieli zamiar przeprowadzić panią Jokli jak najbliżej wulkanu, a stamtąd, kanałami i tunelami, dotrzeć w bezpieczne miejsce.

- Twoje pistolety!

Młody Rourke spojrział na sowieckiego kapitana i uśmiechnął się.

- Czy jesteś pewny, że nie chcesz tego powtórnie przemyśleć?

- Dawaj swoje pistolety, Rourke!

Powoli, nie spiesząc się, Michael zaczął rozpinąć kurtkę, odkrywając kabury z pistoletami. Zdawało mu się, że coś usłyszał z oddali, jakby warkot silników, ale nie był tego pewien.

- Chcesz, żebym tak po prostu je tobie oddał?

- Zrobisz to teraz, Rourke, albo zastrzelę cię tam, gdzie stoisz!

- Tylko o to ci chodzi, kapitanie?

- Tak!



- Jesteś głupcem, kapitanie.

Uśmiechając się powoli wyjął oba pistolety i, trzymając je za lufy, powiedział:

- Chodź tutaj i sam je sobie weź.

Sowiecki oficer postąpił parę stopni do góry i wyciągnął dłonie po pistolety.

Michael mógłby przysiąc, że usłyszał teraz wyraźnie warkot helikoptera i jeszcze jakiś osobliwy odgłos. W oczach oficera dostrzegł cień niepewności i wahania, ale Rosjanin nadal stał z wyciągniętymi dłońmi.

Nagle ziemia zadrżała. Dał się słyszeć głuchy, narastający huk. Stojący u dołu schodów Sowietci zaczęli rozglądać się z niepokojem.

W momencie, w którym sowiecki kapitan dotykał już rękoma pistoletów, Michael sprawnym, szybkim ruchem przekręcił je na wskazujących palcach tak, jak nauczył go tego ojciec. Kolby pistoletów znalazły się nagle w jego dłoniach; mierzył teraz wprost w oficera. Kapitan otworzył usta i gdy miał zamiar krzyknąć, Michael pociągnął za oba cyngle. Cofnąwszy się o stopień do góry strzelił w pierś jednego z oficerów i pchnął padające ciało w stronę drugiego, po czym wypalił prosto w głowę tegoż oficera. Cały czas stał na schodach. Teraz już wyraźnie słyszał szum silników nadlatujących helikopterów.

Ziemia ponownie zatrzęsa się tak, że Michael na moment stracił równowagę. Wypalił do dwóch nadbiegających żołnierzy. Schował pistolety i przeskoczył poręcz schodów. Gdy spadał na ziemię, ta znów zadrżała, a młody Rourke padł na kolana. Zauważył to sowiecki podoficer podnoszący karabin do strzału. Michael błyskawicznie wyciągnął pistolety i strzelił w jego kierunku. Podniósł się, celując do dwóch znajdujących się najbliżej żołnierzy. Znów huk obu pistoletów i następni komandosi padli na ziemię.

Ziemią targnął potężny wstrząs. Pod pałacem pojawiła się szybko rozszerzająca się szczelina. Michael, niemalże w ostatniej sekundzie, odskoczył w bok; miejsce, na którym stał przed chwilą, zapadło się. Upadł na brzuch. Tocząc się, wystrzelił prosto w twarz jednego z Sowietów. Na niebie pojawiły się niemieckie śmigłowce.

Michael wstał i krzyknął:

- Pani Jokli!

Wbiegł na schody. Gdy się odwrócił, aby raz jeszcze spojrzeć na nadlatujące helikoptery, kolejny sowiecki żołnierz zaszedł mu drogę. Michael posłał mu trzy kule. Dobiegł do głównego wejścia, w którym już stała pani Jokli, otoczona przez islandzkich policjantów na czele z Rolvaagiem. Młody Rourke schował pistolety.

Ponowny wstrząs. Schody leżały już niemal w gruzach. Teren pośrodku parku zapadł się, tworząc gigantyczny lej, w który zsunął się jeden ze stojących tam sowieckich śmigłowców.

Niemieckie maszyny nadlatywały teraz ze wszystkich stron, obsypując Rosjan seriami pocisków. Nagle powietrzem targnął grzmot wybuchu trafionego przez Niemców helikoptera, który właśnie startował. Każdy zestrzelony lub uszkodzony śmigłowiec zmniejszył szansę ewakuacji wszystkich mieszkańców Hekli.

Michael skinął w stronę Rolvaaga.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł do pani Jokli, biorąc ją na ręce. Islandczyk pospieszył z pomocą. Wspólnymi siłami znieśli panią prezydent po tym, co zaledwie kilka minut temu było schodami wiodącymi do pałacu, a teraz stało się jednym wielkim rumowiskiem.

Ziemia wciąż drżała. Nagle z dalekiego końca parku dobiegł odgłos wybuchu. Michael spojrzał

w tym kierunku. Z powstałej tam szczeliny tryskał wysoko ku niebu gejzer rozżarzonej do czerwoności lawy.

Dał znak Rolvaagowi, a następnie pobiegł w stronę parku. Wyciągnął pistolety i w biegu wymienił w nich magazynki ze standardowych na mieszczące naboje o wielokrotnie większej sile rażenia.

Niemieckie helikoptery, krążąc w powietrzu, obniżały pułap lotu.

Michael zasygnalizował Rolvaagowi, aby zaczekał. Zauważył sowiecką maszynę, która właśnie rozpoczynała start. Z pistoletami w dłoniach puścił się szaleńczym pędem. Znowu wstrząs. Potknął się, podparł ręką, ale biegł dalej. Spojrzał w stronę gejzeru. Na środku parku tworzyła się kolejna szczelina, jakby ktoś rozpinał potężny zamek błyskawiczny. Dostrzegł wzbierającą lawę.

Nadal biegł w stronę sowieckiego śmigłowca, w którym znajdowało się kilku żołnierzy. Z odległości dwudziestu jardów wystrzelił do stojącego na płozach komandosa, który upadł martwy na ziemię. Drugi żołnierz, stojący w drzwiach, otworzył ogień z pokładowego karabinu maszynowego. Michael skoczył do przodu. Znowu pociągnął za spust. Trafił gwardzistę w pierś. Żołnierz wpadł do środka śmigłowca, który właśnie zaczął odrywać się od ziemi. Razem z Michaelem wielu Rosjan biegło w stronę helikoptera. Zdawali sobie sprawę, że ucieczka jest jedynym sposobem ratunku. Michael strzelił jednemu z nich prosto w twarz, drugiemu w potylicę. Odskoczył nieco w bok, przerzucając pistolet z lewej, rannej i omdlewającej ręki do prawej. Strzelił znowu, trafiając kolejno żołnierza stojącego w drzwiach, przy karabinie maszynowym i wskoczył do wnętrza śmigłowca.

Helikopter już unosił się. Wewnątrz znajdował się tylko pilot, któremu Michael strzelił w tył głowy. Zasiadł za pulpitem sterowniczym, schowawszy uprzednio pistolety do kabury. Przechylił maszynę lekko na prawą burtę i skierował w górę. Pod nim lawa wylewała się już ze szczeliny. Dostrzegł odlatujący niemiecki helikopter ze stojącym na jego płozach Rolvaagiem. Kolejna sojusznicza maszyna zabierała właśnie na pokład resztę islandzkich policjantów.

Przeciwników trzeba było likwidować. Nie było innego wyjścia. Usunięcie każdego żołnierza sowieckiego zwiększało szansę w walce o przejęcie śmigłowców i dodatkowe, wolne miejsca na pokładach. Michael odbezpieczył broń pokładową.

# ROZDZIAŁ XXXIX

Przejeżdżali przez wąwóz, gdy niespodziewanie z góry zaczęły spadać odłamki skalne. Dziewczynka wrzasnęła tak głośno, że Wasyli Prokopiew na moment stracił panowanie nad kierownicą.

- Bądź cicho, dziecko!

Musiał nadać jej jakieś imię, ale teraz nie była pora, aby o tym myśleć.

Początkowo spadały małe odłamki, lecz zaraz za nimi zaczęły zwałować się w tumanach śniegu coraz większe kamienie. Głaz dwa razy większy od głowy ludzkiej spadł na maskę wozu, powodując jej pęknięcie, lecz na szczęście nie uszkodził silnika.

Nie była to zwykła lawina skalna. Prokopiew wyczuwał to. Podczas treningów alpinistycznych wielokrotnie widywał lawiny, a raz nawet przeżył groźniejszą niż ta.

Dziewczynka płakała. Major nie umiał jej uspokoić, ponieważ ona i tak nie rozumiała ludzkiej mowy, nie licząc chrząknięć i prymitywnych gestów, jakimi zapewne posługiwali się jej rodzice. Jednakże mówił do niej przez cały czas. Próbował ominąć coraz liczniej spadające kamienie.

- Nie bój się. Zaopiekuję się tobą, maja mała! Na pewno!

Słysząc było narastający łoskot. Nagle pod wpływem silnego uderzenia z prawej strony ciężarówka przechyliła się na lewy bok, ślizgając się po oblodzonej nawierzchni. Po karoserii pojazdu zabębnił grad drobnych kamiaków.

Niespodziewanie, tuż przed nimi, stoczył się ogromny blok. Prokopiew gwałtownie skręcił kierownicą w lewo. Wóz wpadł w poślizg. Wasyli, straciwszy kontrolę nad pojazdem, zdążył tylko chwycić dziewczynkę w ramiona.

# ROZDZIAŁ XL

Swietłana Aleksowa wpatrywała się w niego zachęcająco. Antonowicz wiedział, że to spojrzenie nie wyrażało szczerych uczuć. Kobieta wierzchem dłoni odgarnęła z czoła swoje delikatne, jedwabiste blond włosy. Po raz pierwszy marszałek widział ją z rozpuszczonymi włosami, wyjąwszy chwile, kiedy byli w łóżku.

Sześć największych helikopterów ich floty przewiozło części platformy, którą postawili w północnej części Pacyfiku.

- Powtórz mi jeszcze raz, Swietłano, w jaki sposób działa to urządzenie.

Technikę działania znał na pamięć, lecz wiedział, jak bardzo lubiła mu o tym opowiadać. Lampy pulpitu rzucały na jej twarz zieloną poświatę. Spojrzał w kierunku helikopterów. Stały na olbrzymich pływakach, gotowe w każdej chwili do startu.

Platforma, wielkości jednej czwartej boiska do piłki nożnej, nie była zabezpieczona przed jakimkolwiek atakiem.

- To skomplikowana aparatura, towarzyszu marszałku. - Oficjalny ton, którym mówiła z uwagi na stojących obok techników, wywołał uśmiech na jej twarzy. - Wiązka z konwencjonalnego lasera może oczywiście przesłać sygnał komunikacyjny. Ta wiązka ma średnicę rzędu jednego mikrona, towarzyszu marszałku i nie może niczego uszkodzić. Nie jest to laser o szczególnie dużej mocy. Temperatura wiązki powoduje natychmiastowe wyparowanie cząsteczek wody, które ją bezpośrednio otaczają. W ten sposób wiązka rozprasza się w wodzie. Pozwala to na przesłanie po niej sygnału, nawet na bardzo duże odległości. I tak, niestety, prawdopodobnie po wielu próbach zlokalizujemy przybliżone miejsce pobytu naszych współtowarzyszy. Po uzyskaniu kontaktu od razu nawiążemy z nimi łączność. Jesteście tacy odważni i mądrzy, towarzyszu marszałku, że zajęliście się tym przedsięwzięciem osobiście.

Uśmiechnął się do niej. Za kilka godzin opuszczą platformę wraz z eskortą. Po próbie, przeprowadzonej w tym miejscu, platforma zostanie przeholowana przez helikoptery transportowe do kolejnego akwenu i zaczną wszystko od początku.

Może już teraz im się uda? Może następnym razem? Ale zanim to nastąpi, zapewne wybuch wojny nuklearnej będzie nieunikniony. A wówczas rodzaj ludzki zginie.

Antonowicz lubił towarzystwo Aleksowej, ponieważ było ono dla niego ostatnią szansą na przeżycie chwil szczęścia i spokoju, jakkolwiek ulotne i nierzeczywiste by one były.

Nie miał już przy sobie tego bohatera, marszałka Władymira Karamazowa. Nie był szaleńcem. Właśnie dlatego wysłał Wasilija Prokopiewa z misją specjalną.

Wpatrywał się w twarz Swietłany. Z każdą chwilą wydawała mu się coraz piękniejsza.

# ROZDZIAŁ XLI

Na policzku poczuł zadziwiająco delikatne dotknięcie małej dłoni. Otworzył oczy. Wokół panowała niemal zupełna ciemność. Odszukał przycisk światła awaryjnego i włączył go. Na twarzy dziecka malowało się zdziwienie. Długie, czarne włosy dziewczynki były splątane. Siedziała obok majora, okutana w jego sweter, o wiele na nią za duży. Prokopiew dotknął opuszkami palców jej włosów i twarzy.

- Jeszcze nie zginęliśmy, mała.

Pojazd był już przykryty sporą warstwą śniegu. W kabinie panował ziąb. Prokopiew przekręcił klucz w stacyjce, aby nie wyczerpały się baterie. Kiedy sięgnął po karabin, dziewczynka syknęła i szeroko otworzyła oczy. Wasilij uśmiechnął się, dotknął jej dłoni i chociaż wiedział, że go nie rozumie, szepnął:

- Nie zrobię ci krzywdy. Nikt ci nie zrobi krzywdy, moja mała.

Pod siedzeniem znajdowała się łopata. Wasyl wyjął ją, wiedząc, że może jej potrzebować. Spróbował otworzyć drzwi. Z trudem zdołał je uchylić, następnie z całej siły napierając na nie otworzył je na tyle, by móc się przez nie prześliznąć.

Dziewczynka zaczęła płakać. Oficer domyślił się, że przestraszyła się, iż on ją opuszcza. Odwrócił się w jej stronę, aby powiedzieć jej, że tak nie jest, lecz ona zaczęła wrzeszczeć. W jej oczach dostrzegł coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie widział.

Nagle Prokopiew, tknięty przeczuciem, odwrócił się. Ktoś uderzył go ciężką kościaną pałką.

Wasyl błyskawicznie wycelował lufę karabinu w pierś napastnika. Był to mężczyzna równy mu wzrostem, lecz o wiele bardziej muskularny. Mimo mrozu jego tors był odkryty; kocujące tu plemiona miały wystarczająco dużo czasu, by przystosować się do panującego klimatu. Prokopiew strzelił. Napastnik upadł na ziemię.

Dziewczynka znów krzyknęła. Prokopiew odwrócił się w jej stronę. Drzwi po przeciwnej stronie kabiny były otwarte, a para muskularnych ramion sięgała po dziecko, które wrzeszczało teraz wniebogłosy. Pociągnął za spust, a czaszka tubylca rozleciała się niczym arbuz.

Wyczuwając za sobą jakiś ruch, zaczął się odwracać. Nagle poczuł ból, oblała go fala gorąca. Pogrzeźił się w ciemności. Upadł twarzą w śnieg.

# ROZDZIAŁ XLII

Annie otworzyła oczy. Paul, skulony, drzemał na krześle.

Nagle zdała sobie sprawę, że leży na szpitalnym łóżku. Pamiętała, że o czymś śniła, ale niezbyt jasno i klarownie. We śnie widziała helikoptery i górę, która wydawała jej się znajoma, lecz nie była tą, w której znajdował się Schron. Żadnych ludzi. Wszystko było dziwnie pogmatwane, jakby oglądało się film wideo, zbyt szybko przesuając go do przodu. Tylko niektóre fragmenty były rozpoznawalne.

Pamiętała moment, w którym zaczął działać środek uspokajający. Zamknęła oczy, dziękując Bogu, że nic złego się nie stało. Właściwie we śnie nie zdarzyło się nic konkretnego i nie była nawet pewna, czy był to jej własny sen. Może to były tylko wrażenia, pozostałe po wykorzystaniu jej umysłu jako ekranu, na którym rozgrywały się fantazje Natalii? Im więcej o tym myślała, tym bardziej sen zacierał się w jej pamięci.

Nie chciała budzić Paula. Spał tak spokojnie. Niewątpliwie potrzebował teraz snu po tym wszystkim, co przeszedł wraz z jej ojcem.

Usta miała wyschnięte. Często zazdrościła tym, którzy po przebudzeniu nie pamiętali swoich snów.

Ale w snach zdarzało się jej widzieć rzeczy, które później zdarzały się na jawie. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Pomyślała o Natalii. Podświadomie czuła, że Rosjanka jest na dobrej drodze do wyzdrowienia, że powraca do normalności.

Spojrzała znów na śpiącego Paula. Gdyby tylko chciała, mogłaby wniknąć w jego myśli i może nawet obudzić go w ten sposób. Ale nie zrobiła tego. Bała się swoich, powiększających się wciąż, możliwości psychicznych. Sama myśl o zdarzeniu z doktorem Rothsteinem w jego gabinecie, przerażała Annie do głębi. Zdarzało się jej, że musiała powstrzymać się, aby nie wnikać w myśli Paula. Chociaż czasami, gdy to robiła, odbierała cudowne marzenia o niej samej. Kiedy się kochali, czuła jego myśli tak pewnie i blisko jak jego ciało.

Snów nie mogła w żaden sposób kontrolować. Pojawiały się nie wiadomo dlaczego. Na przykład śniła o osobie, która była jej bliska, a której groziło jakieś niebezpieczeństwo. Jeśli kiedyś znikną niebezpieczeństwa, znikną również sny. Jeśli kiedyś nastąpi pokój...

Postanowiła, że jeśli kiedyś tak się stanie, nigdy już nie będzie próbowała przenikać do ludzkich umysłów. Czuła jednak, że najprawdopodobniej nie mogłaby się powstrzymać. Im częściej to czyniła, tym łatwiej jej to przychodziło.

Iloraz inteligencji jej ojca i matki był wyjątkowo wysoki. Annie wraz z bratem Michaeliem poddani jeszcze jako dzieci specjalnym testom, również uplasowali się w krajowej czołówce. Dowiedziała się o tym przypadkowo, kiedy jeszcze mieszkali w Schronie.

Może powinna to wykorzystać?

Przymknęła oczy.

Michael Rourke patrzył, jak ostatni z helikopterów niknie na horyzoncie. W ciągu godziny wzbily się w powietrze wszystkie J7V. Ostatnia grupa Islandczyków odlatywała na inne wyspy, gdzie nie było niebezpieczeństwa erupcji wulkanicznej. Ludzie pułkownika Manna przywieźli nowocześniejszy sprzęt sejsmograficzny, aby przeprowadzić dokładniejsze badania i wypracować prognozy, dotyczące aktywności wulkanu.

Hekla, stolica Lydveldid, przestała istnieć.

Wulkan grzmiał nadal. Żółto-pomarańczowa magma, spływając z wierzchołka, tworzyła ogniste strumienie. Wydobywające się z wnętrza krateru kłęby pyłu i dymu zakryły prawie całe niebo.

Patrząc na szalejący żywioł, Młody Rourke otulił się mocniej pożyczoną niemiecką kurtką. Potok lawy płynął w poprzek cmentarza, na którym pochowano jego żonę i dziecko.

Za plecami Michaela stanął Bjorn Rolvaag. Stał przez dłuższy czas bez słowa, aż wreszcie poklepał swego towarzysza po ramieniu i wypowiedział jedno słowo:

- Przyjaciel.

# ROZDZIAŁ XLIII

Oczy Christophera Dodda zabłysły w świetle latarki.

- Nie widzę powodu, dla którego pani Rourke powinna być tu razem z nami, pułkowniku.

- Jeśli sobie tego życzy, może robić, co zechce - powiedział zdecydowanie Wolfgang Mann i odprawił Dodda, który rzekł jeszcze na odchodnym:

- Cóż, z pewnością ma pan rację, pułkowniku, jednakże chcę zauważyć, że na zewnątrz jest bardzo zimno, a komuniści mogą uderzyć w każdej chwili. No, a przede wszystkim ona jest w ciąży.

Sarah nie patrzyła na komendanta. Gardziła tym człowiekiem.

Przeprowadzili inspekcję fortyfikacji, wznoszonych wokół bazy "Edenu". Składały się one z pancernych płyt z tworzywa sztucznego, połączonych wzajemnie tak, że tworzyły rodzaj palisady o wysokości czternastu stóp. Na wysokości siedmiu stóp znajdowały się otwory strzelnicze, poniżej których umieszczono stanowiska karabinów maszynowych, wycelowanych w stronę, z której miał nadejść nieprzyjaciel.

Sarah pomyślała, że sytuacja, w jakiej się znaleźli przypomina te z powieści Jamesa Fenimore Coopera. John Rourke byłby tym sprytnym, bohaterskim traperem, żołnierze armii niemieckiej - jego towarzyszami. Dood wraz z załogą "Edenu" mogliby odgrywać role pierwszych kolonistów. Z kolei gwardziści KGB byliby nacierającymi Indianami. Tyle tylko, że w tym przypadku "Indianie" byli równie dobrze uzbrojeni, jak ich przeciwnicy. Mieli helikoptery i nie musieli robić wyłomu w murze, a granaty i moździerze zastępowały im płonące strzały.

- Te dodatkowe posiłki... Wspomniał pan, że nie wszyscy są Niemcami, pułkowniku?

Spojrzała na Dodda w chwili, w której Wolfgang odpowiadał mu na to pytanie. Poczowała chłód. Rękoma zaczęła nerwowo szukać kieszeni, lecz w końcu udało się jej opanować zdenerwowanie.

- Jest to pierwsza ekspedycja połączonych sił, której przeprowadzenie zaproponował zaledwie parę godzin temu doktor Rourke. Dla pewności: składa się ona z jednostek niemieckich, ale jej trzon stanowią żołnierze z Chin oraz piechota bazy Mid-Wake.



Oczywiście dowódcą sił ekspedycyjnych jest generał Rourke. - Pułkownik spojrział na zegarek. - Powinni wyruszyć za kilka godzin.

Musiał podnieść głos, gdy nad ich głowami rozległ się warkot niemieckiego śmigłowca transportowego.

- Nie pozostaje nam nic innego jak wierzyć, że Sowieci nie uderzą przed przybyciem posiłków. Jeśli jednak zaatakują, będziemy musieli utrzymać bazę sami.

Helikopter powoli zniżał lot, aby w końcu lekko osiąść na lądowisku. W tym momencie Sarah poczuła na ramieniu delikatnie zaciskającą się dłoń Wolfganga.

- John powinien zjawić się niedługo - powiedział. Nagle jej serce wypełniała radość, ale także poczuła niepokój. Przyjdzie i odejdzie. Tak jak zawsze...

# ROZDZIAŁ XLIV

Doktor usłyszał pukanie do drzwi swego gabinetu.

- Wejść! - powiedział odruchowo i podniósł głowę znad papierów.

W drzwiach stanął Jason Darkwood w pełnym umundurowaniu, z czapka pod pachą.

- Dobrze, że pana widzę, kapitanie Darkwood!

- Generale?

- Słucham - uśmiechnął się John.

- Chcę wyruszyć z panem.

Rourke oparł się o podświetlony blat stołu, wpatrując się w rozłożone na nim mapy.

- Jak już powiedziałem, otrzyma pan poważne i odpowiedzialne zadanie. Ale nie ma czasu, aby łodzią podwodną dopłynąć do wybrzeża Georgii.

- Nie miałem na myśli łodzi podwodnej. Chcę pójść z panem, jako członek pańskiego korpusu.

Domyślam się, że jest pan najbardziej kompetentną osobą, jeśli chodzi o wydanie tego typu pozwolenia.

- Niech pan posłucha, kapitanie - odezwał się Rourke, zapalając długie ciemne cygaro. - Jest pan zbyt doświadczonego i cennego dowódcą, by iść do boju jako zwykły żołnierz oddziału lądowego.

- To samo dotyczy pana, prawda? O, pardon. Może powinienem stanąć na baczność i zasalutować, generale?

Rourke znowu się zaśmiał. Darkwood odłożył czapkę i nachylił się nad stołem.

- Prezydent Fellows chciał, abym został generałem i to jest jego sprawa - mówił Rourke. - Jednakże dlaczego pan chce jechać ze mną? Wiem, że jest pan dobry również na lądzie. Obaj o tym wiemy. Ale to ma być zmasowany atak powietrzny. Łodzie podwodne w tej operacji są zupełnie nieprzydatne. Zresztą nie było czasu, aby to uwzględnić w planach. Poza tym jeszcze nigdy nie atakowaliśmy takimi siłami.

- Ja to wszystko rozumiem, doktorze - uśmiechnął się Darkwood. - Jednakże chodzi mi o coś innego. Jeśli w nadchodzących dniach miałbym walczyć jako szczer lądowy, w szeregach zjednoczonych sił, powinienem wiedzieć, jakie są szanse ich współdziałania i powodzenia.

- Marne - odpowiedział doktor.

- Tak, marne. Zgadzam się z panem. Tak więc czekamy na brzegu, aby w końcu uderzyć na wroga, gdy tylko Niemcy zlokalizują jego centra dyspozycyjne. Wywiązuje się decydująca bitwa, w której bierzemy udział i pokonujemy Sowieców, bo nie mamy innego wyboru. Wydaje mi się, że powinienem tam być.

- Tak naprawdę, to nie ma pan ku temu realnego powodu. - John wyszczerzył zęby, wkładając w usta cygaro. - Prawda?

- I tak i nie. Zależy, jak na to spojrzeć.

- Co na to admirał Rahn?

Darkwood spuścił wzrok, przyglądając się swoim dłoniom.

- No cóż. Zgodził się, by tymczasowo zwolnić mnie z obowiązków dowódcy "Reagana" na rzecz służby w Specjalnej Grupie Operacyjnej. Tak więc pomyślałem, że powinienem najpierw przyjść do pana.

- Więc wszystko zależy ode mnie, tak?

- Dokładnie tak. John Rourke wstał.

- Jestem ci winien przysługę. I jeśli moją zgodę uznasz za przysługę, będzie mi niezmiernie miło, Jason.

- Dziękuję John... Czy raczej: generale John? Rourke poklepał Darkwooda po ramieniu i obaj zaśmiali się. To zawsze dziwiło doktora. W momentach zbliżającego się zagrożenia najbardziej błaha rzecz powodowała u niego śmiech, jak gdyby dzięki niemu mógł odpędzić zło.

Darkwood wyszedł, a Rourke powrócił do swych map. Miał poprowadzić armię ludzi, którzy jeszcze nigdy nie walczyli obok siebie, którzy nie znali żadnego innego języka oprócz ojczystego. Większość z nich widziała helikopter tylko na starych filmach. I oni wszyscy mają walczyć w niskiej temperaturze, stawiając czoła świetnie wyposażonej i wyszkolonej armii Związku Sowieckiego.

I był jeszcze komendant Christopher Dodd, który w istotny sposób mógł wpłynąć na wynik decydującego starcia.

# ROZDZIAŁ XLV

Kiedy major otworzył oczy, zobaczył ogień. Niezależnie od tego, czy miał oczy otwarte, czy zamknięte, czuł żar płomieni i silne pulsowanie w skroniach. Przemarzył do szpiku kości.

Uświadomił sobie nagle, że jest nagi. Leżał w śniegu.

Dziecko.

Spróbował się poruszyć, lecz nagle fala bólu zamroczyła go na moment.

Co z dzieckiem?

Spod przymkniętych powiek zerknął na czyjeś nogi w onucach ze starego koca i w getrach, zrobionych z rękawów starego munduru, które na ułamek sekundy mignęły mu w zasięgu jego wzroku. Ktoś inny miał na nogach jego buty, ale założone odwrotnie. Czuł się jak w koszmarnym śnie.

Dziecko!

Nagle zorientował się, co go właśnie obudziło. To był płacz dziecka. Dobiegał zza płomieni.

Słyszał, że niektóre plemiona uprawiają kanibalizm.

Starał się przeniknąć wzrokiem ogień. Nagle znieruchomiał. Zobaczył ogryzioną ludzką piszczel. Teraz przypomniał sobie wszystko.

Dlaczego dziecko płakało?

Wyteżył wzrok, aby zobaczyć jak najwięcej.

Trzymali je z drugiej strony płomieni. Kilku mężczyzn, odzianych w skóry, pochylało się nad dziewczynką. Co z nią wyprawiają te bestie?

Nagle dostrzegł błysk stali. Rozpoznał sowiecki bagnet.

Kiedy przyjrzał się uważniej jednemu z pochylających się tubylców, zrozumiał dlaczego dziewczynka płakała. Jej wrzask wstrząsnął nim. Mężczyzna podniósł do ust kęs białego mięsa.

Prokopiew wstał, zdziwiony, że mu się to udało.

Słaniał się na nogach, przeszedł przez ognisko, nie czując bólu. Podniósł leżącą kość. Podeszedł do mężczyzny jedzącego mięso. Zamachnął się i z całej siły uderzył go kością, miażdżąc mu twarz.

Dziewczynka przestała płakać i wyciągnęła do niego rączki.

Rosjanin jak szalony uderzał na prawo i lewo, roztrzaskując szczęki dzikusów. Jeden z nich skaleczył Wasyla nożem. Poczuł piekący ból. Trzymaną kością trafił przeciwnika w rękę, ten upuścił nóż. Następnie z całych sił uderzył dzikusa w twarz. Jeszcze raz, jeszcze i jeszcze...

Nagle ktoś obezwładnił go od tyłu. Majora pchnięto w stronę ogniska. W ostatnim momencie udało mu się wyrwać, ale i tak jego lewa noga znalazła się w płomieniach. Upadł na śnieg, krzycząc głośno. W odległości pięciu metrów zauważył na ziemi swój pistolet typu CZ-75, ten sam, który otrzymał od marszałka Antonowicza.

Podniósł się. Niespodziewanie otrzymał cios kością w prawe ramię, które momentalnie zostało

sparaliżowane. Upadając, lewą ręką sięgnął po pistolet. Otrzymał kolejny cios, podniósł broń i wypalił prosto w twarz napastnika. Trzech tubylców nacierało na niego. Dwóch z nich miało noże, trzeci trzymał pochodnię. Wystrzelił w stronę tego z pochodnią, trafił go w głowę, ale pozostali już byli przy nim. Strzelał cały czas. Poczul ból w okolicy brzucha, ale nie zważał na to. Dwaj pozostali padli martwi na śnieg. Prokopiew również osunął się na ziemię.

Wiatr zawodził coraz mocniej. Płonące gałęzie trzaskały. Spróbował wstać. Nagłe fala bólu rozeszła się po jego ciele, lecz przemógł to i wstał na kolana.

- Moja mała!

Nie mógł podnieść się na nogi. Ściskając w dłoni pistolet czołgał się, szukając dziewczynki. Broczył krwią z brzucha, barwiąc śnieg na czerwono.

Wtem ją dostrzegł. Jej drobnym ciałem wstrząsały spazmy, co oznaczało, że dziecko jeszcze żyje.

# ROZDZIAŁ XLVI

Rourke w towarzystwie Paula Rubensteina przechadzał się wzdłuż głównego pokładu łodzi podwodnej, podziwiając nowy nabytek amerykańskiej floty. Był nim USS “Roy Rogers”, który unosił się na wodzie jak olbrzymia góra wśród otaczających go okrętów Mid-Wake.

W ślad za nim szło kilku mężczyzn i kobiet. Każde z nich miało przy sobie jakąś broń i plecak z niezbędnym sprzętem. Byli ubrani w czarne, luźne mundury. Nie było czasu na przeszkolenie wszystkich rekrutów.

Wszyscy głośno rozmawiali i śmiali się. Jedna z kobiet, porucznik marynarki Lillie St. Jammes, oficer ochrony na “Johnie Wayne”, nuciła cicho jakąś smutną melodię.

Marynarze. Piechota morska. Wszyscy oni byli teraz członkami Pierwszej Specjalnej Grupy Operacyjnej.

Przeszli na pokład raketowy, skąd niemiecki helikopter miał ich przewieźć na najbliższą wyspę, na której żołnierze Mid-Wale wraz z niemieckimi inżynierami spędzili już wiele godzin, przygotowując lotnisko dla J7V. Miały one dotrzeć ponad biegunem północnym do Ameryki Północnej, a stamtąd do innych obszarów. Po drodze miały dołączyć do nich siły chińskie pod dowództwem Lu Czena. Również niektórzy Niemcy byli przydzieleni do tej jednostki.

Rourke odwrócił głowę, próbując wzrokiem odszukać Otto Hammerschmidta. Zauważył go. Na twarzy Niemca malowało się jeszcze zmęczenie; widać było, że wyszedł ze szpitala zbyt wcześnie, ale wyłączenie go z udziału w akcji mogło przysporzyć mu jeszcze większego cierpienia.

Ekran o średnicy dwóch jardów wisiał na ścianie niczym wielki obraz. Annie Rubenstein oglądała na nim transmisję pożegnania Pierwszej Grupy Operacyjnej. Grano “Gwiazdny sztandar”. Chwilę wcześniej nadawano melodię “Boże, błogosław Amerykę” Irwinga Berlina.

Spojrzała na Natalię. Doktor Rothstein twierdził, że Rosjanka szybko powróci do zdrowia. Na razie wciąż spała.

Annie uśmiechnęła się. Znowu spojrzała na wielki ekran. Zobaczyła swojego ojca, wysokiego mężczyznę o uśmiechniętej twarzy. Dostrzegła niedawno pierwsze pasmo siwizny w jego bujnej, ciemnobrązowej czuprynie. Z kabury wystawał jego ulubiony Detonik. W ręce, przez którą miał przewieszony płaszcz, trzymał torbę, w drugiej dzierżył karabin.

Obok Johna kroczył Paul. Jej Paul. Tylko jej. Niższy od ojca, z przerzedzonymi włosami, niezbyt szeroki w ramionach, ale idący pewnym krokiem do przodu. Kochała tego człowieka.

- Niech żaden z nich nie zginie, proszę!

# ROZDZIAŁ XLVII

Najpierw zabandażował rany dziewczynki, a następnie zajął się sobą. Z powodu upływu krwi prawie tracił przytomność.

Pęcherze od oparzeń na jego lewej nodze doprowadzały majora niemal do szału. Usiadł przy ognisku kołysząc dziecko w ramionach. Zewsząd otaczała ich śmierć. Chmury zasnuły niebo nie było widać gwiazd. Tubylcy, którzy napadli na niego pewnie zabrali wszystko z jego torby, pozostawionej w szoferce. Tak czy inaczej został bez kompasu.

Przede wszystkim zamierzał dotrzeć do samochodu, choć wątpił, czy mógł on być teraz czymś więcej, niż tylko schronem. Pamiętał że zapłon był wyłączony, ale światła awaryjne świeciły nadal, wyczerpując akumulator. Dziewczynka miała silną gorączkę, on sam również czuł się fatalnie.

Jednakże był jeszcze jeden powód, dla którego musiał dotrzeć do ciężarówki. W jej wnętrzu znajdował się pojemnik, zawierający dane o nowej broni, które powierzył mu marszałek Antonowicz w celu dostarczenia ich Rourke'owi.

Ubranie Wasyla było podarte, przemoczone, a do tego zabrudzone krwią. Ściągnął swoje buty z nóg zabitego kanibala. Kiedy wstał, poczuł piekący ból w brzuchu, lecz rana nie wydawała się głęboka. Wyglądało to tylko na mocniejsze zadrażnienie. Poparzona noga bolała go o wiele bardziej.

Zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze - rodzice dziecka nie byli kanibalami, po drugie - jeśli teraz nie dojdzie do swojego pojazdu, gdziekolwiek on się znajdował, może już nigdy nie opuścić tego miejsca żywy.

Przewyciężając senność i osłabienie, drętwiejącymi rękoma tulił do siebie dziecko. Zaczął posuwać się do przodu. W znalezionej kaburze miał załadowany na nowo pistolet.

Krok. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Śnieg był bardzo głęboki. Twarz dziewczynki pałała gorączką.

Jeszcze mocniej przycisnął dziecko do piersi.

Michael wstał. Oczy wszystkich niemieckich oficerów, a także Rolvaaga, były zwrócone na niego.

- Mój ojciec prowadzi nasze wojska przeciwko Sowietom atakującym "Eden". Dowiedzieliśmy się o tym między innymi z informacji radiowych, przechwyconych przez waszych ludzi, ale w ten sam sposób mogli o tym dowiedzieć się także Sowieci. Zdaję sobie sprawę, że w sumie nie mamy podstaw, aby tak myśleć, lecz zachodzi obawa, iż uzbrojone śmigłowce z waszymi ludźmi na pokładach, które miały wylądować w północnej Kanadzie w celu uzupełnienia paliwa, mogą nie stanowić już takiego zaskoczenia dla naszego wroga.

Kapitan Hartman, jeden ze sztabu oficerów pułkownika Wolfganga Manna na jego rozkaz

przyleciał specjalnie z Europy, ażeby osobiście nadzorować ewakuację i rozmieszczenie mieszkańców Hekli. Miał wrócić ponownie na kontynent, zabierając ze sobą większość swoich sił, a zarazem pozostawiając najsilniejsze jednostki lotnicze, w celu obrony pozostałych Islandczyków. I jeśli taka decyzja zostałaby powzięta, tylko pan kapitan mógłby zająć się tym w odpowiedni sposób.

Michael usiadł. Hartman podszedł do północnej ściany namiotu. Wisiała na niej mapa świata, podobna do tej znanej z projektu van der Gritena.

- Za pozwoleniem, panie Rourke. Pułkownik Mann również popiera wstępną fazę pańskiego planu. Podobnie jak pan, mój dowódca bezapelacyjnie wyraził swoją dezaprobatę dla nieposłuszeństwa rozkazom. Jednakże akcja eskadry, o której pan mówił, może odnieść przewidywany skutek. Chciałbym zaznaczyć, że ostatnie posiłki, przysłane z Nowych Niemiec w trzech rzutach, były dość szczupłe.

Hartman wskazał palcem na mapie obszar w Ameryce Południowej, który Michael zawsze nazywał Argentyną i kontynuował:

- Logika podpowiada, że jedna część tych sił mogłaby zostać przerzucona przez Zatokę Meksykańską w ten rejon - wskazał Teksas - a druga wzdłuż wybrzeży Atlantyku i dalej na północ wzdłuż rzeki Savannah. Trzecią część można by przerzucić w podobny sposób z rozległych obszarów Jukatanu do "Edenu", minimalizując tym samym możliwość napotkania po drodze na siły sowieckie. Logicznie zatem byłoby dla Specjalnej Grupy Operacyjnej, prowadzonej przez doktora Rourke'a, przedostać się tam pod biegunem, bez potrzeby dodatkowego tankowania. Dalej - na południe, ponad Wielkimi Jeziorami, prosto do "Edenu", przyspieszając tym samym spotkanie z siłami wroga, bowiem bazy Sowietów znajdują się na krańcach Północnej Georgii lub obydwu Karolin. Jeżeli jednak tę małą grupę, która dotarła tutaj z Islandii poprzez dolny kraniec Grenlandii, jak to sugeruje Michael Rourke, przerzuci się tędy - pokazał ponownie na mapie - ponad Zatoką Hudsona, wówczas śmigłowce, po napełnieniu zbiorników, mogłyby przelecieć centralnym kursem wzdłuż rzeki Mississippi, aż do bazy na południu byłego stanu Illinois. Następnie przemieści się poprzez góry, ponad ruinami Atlanty, wprost do "Edenu, omijając w ten sposób oddziały zwiadowcze Sowietów i uderzając na nich z zaskoczenia.

- Czy jesteśmy w stanie tego dokonać? - zapytał Michael.

- Byłaby to dość niebezpieczna misja. Nie mogę rozkazać moim pilotom podjęcia tego ryzyka, ale mogę liczyć na ochotników.

Wszyscy oficerowie-piloci, siedzący przy stole, wstali jak jeden mąż. Michael popatrzył po ich twarzach. Wielu z nich było młodszych od niego.

- Panowie - odezwał się kapitan Hartman - wygląda na to, że mamy wystarczającą ilość ochotników. Będziemy ciągnąć losy. Kto wyciągnie los, ten polecą z panem Rourke'em. - I wtedy Hartman uśmiechnął się - będzie kroczył po cienkiej linii pomiędzy oficcerskim poczuciem obowiązku a niesubordynacją.

Hartman przeszedł wzdłuż stołu i stanął na przeciw Michaela, który również wstał.

- Więc?

Młody Rourke kiwnął głową.

- Muszę teraz możliwie najszybciej wyruszyć na Ural. Jakoś podświadomie czuję, że w najbliższej przyszłości zostaniemy czymś zaskoczeni przez mieszkańców Podziemnego Miasta. Dlatego muszę być tam na czas ze swymi ludźmi, gotowymi na wszystko. - Spojrzał na zegarek. - Została niecała godzina, Michael. Ty również powinieneś zmieścić się w czasie. Powodzenia!



Uścisnęli sobie dłonie.

# ROZDZIAŁ XLVIII

Rourke stał na plaży, odwrócony plecami do jednostajnie szumiących fal. Niebo było tak czyste i błękitne, że niemożliwe było, by jakiś samolot mógł przemknąć się po nim niepostrzeżenie. John stał tak, odziany w czarny mundur, stanowczy, niewzruszony. Wiatr rozwiewał mu włosy.

Pomimo szumu morza jego głos rozbrzmiewał wystarczająco wyraźnie, by wszyscy zebrani tu ludzie mogli go usłyszeć. Rubenstein stał wraz z innymi w szeregu, mając świadomość, że odwraca się właśnie kolejna karta historii. Był to niewątpliwie jeden z tych momentów, w którym ważyły się losy ludzkości.

- Niektórzy z was walczyli już przedtem, ramię w ramię. Ty, Han Lu Czen...

Han, zdjawszy czapkę, uklonił się uroczyście. Tłumacze zaczęli cicho szeptać, tłumacząc słowa doktora na chiński i niemiecki.

- ... i pan, kapitanie Hammerschmidt... Otto wyprężony jak struna stuknął obcasami.

- ... i kapitan Sam Aldridge... Murzyn, nieporuszony, słuchał z uwagą.

- ... i pan, panie kapitanie Darkwood, dowódco USS "Ronald Reagan".

Jason uśmiechnął się szeroko i, podnosząc rękę w nonszalanckim salucie, poprawił przy okazji włosy opadające mu niefortunnie na czoło.

- ... a wam, panie i panowie, pozwolę sobie przypomnieć, że człowiek, który służył we flocie wojennej Stanów Zjednoczonych nie staje na lądzie jako zwykły szczur lądowy, ale nadal jest oficerem, godnym szacunku stosownym do swej rangi i funkcji!

Z miejsca, w którym stali marynarze, dał się słyszeć przytłumiony śmiech. Aldridge odwrócił się, spoglądając groźnie na swych ludzi. Siły Mid-Wake były uszykowane w dwa plutony, na czele których stali porucznik Tom Stanhope z "Reagana" i porucznik Lillie St. James z okrętu "Wayne". Naprzeciwko nich stał Aldridge wraz z Jasonem Darkwoodem. Za nimi znajdowały się trzy oddziały chińskich komandosów pod komendą Hana. Obok nich pluton komandosów niemieckich, dowodzony przez Ottona Hammerschmidta.

- I oczywiście człowiek, który jest dla mnie niczym brat i który został również moim zięciem...

Paul Rubenstein poczuł, że się czerwieni.

- ... Paul Rubenstein. Prezydent mianował mnie generałem brygady. Widać taka jest jego wola, ale przecież to wy jesteście żołnierzami, nie ja. Lecz jeśli w czasie mojej nieobecności będziecie chcieli rozmawiać z kimś odpowiedzialnym, zwracajcie się właśnie do Paula. Jego zadanie jest moim zadaniem. Walczyliśmy wspólnie od pięciu wieków. On i ja. Za chwilę wejdziemy na pokład niemieckich śmigłowców. Dla wielu z was jest to pierwsza akcja bojowa i pierwszy lot. I może właśnie dlatego jesteśmy tutaj. Pięć wieków temu rodzaj ludzki osiągnął szczyt możliwości technologicznych. A teraz każdy z was będzie mógł pojąć, czym jest dla człowieka pierwszy lot w

przestworzach.

Tym razem rozległ się śmiech lotników. Rourke także się uśmiechnął.

- Zostaliśmy sprowadzeni do roli walczących ze sobą plemion. Dlaczego? Bóg jeden wie. Kiedyś, prawdopodobnie przez przypadek, dwie potęgi przestały sobie ufać do tego stopnia, że podjęły próbę unicestwienia siebie nawzajem. I dlatego dzisiaj stoimy tutaj. Nie przywrócimy już życia milionom ludzi, które zginęły, ani tym milionom, które nie zdążyły się narodzić. Możemy jedynie powstrzymać to szaleństwo. Chodzi mi o to, że jesteśmy wojownikami, którzy muszą walczyć o pokój, dany nam przez Boga czy Naturę, w cokolwiek byście wierzyli. Musimy tak postępować, ponieważ inaczej świat przestanie istnieć. I nikt z was ani żadne z waszych dzieci nie będzie biegało po plaży, nie będzie podziwiała piękna przelatujących ptaków, nie będzie jeździło konno ani bawiło się ze swoim psem. Nigdy, dopóki nie wygramy! Czy powinniśmy nienawidzić naszych wrogów? - ciągnął Rourke. - Nie. Przecież oni niczym się od was nie różnią. Zabijamy ich, ponieważ jest wojna, a my bierzemy w niej udział bez względu na to czy chcemy, czy też nie. I zakończymy ją zwycięsko. Teraz nadszedł już czas odlotu. Będziemy walczyć, a niektórzy z nas już nie powrócą. Każdy z was - kontynuował, patrząc na żarzącą się końcówkę cygara, trzymanego w palcach - zgłosił się do tej akcji na ochotnika, z wyjątkiem mnie i Paula. Jeśli wygramy, o czym jestem przekonany, bowiem jesteście bitnymi żołnierzami, każdy z was będzie pamiętał to do końca swego życia. I zapamięta nie imiona swoich współtowarzyszy broni czy moje, ale to czego wspólnie dokonamy - John zaciągnął się cygarem, wypuszczając kłęby dymu, które zaraz rozwiewał wiatr. - No, cóż. Już czas, aby wasi dowódcy poprowadzili was do helikopterów. Czeka was bitwa, którą musimy wygrać. Ruszamy!

Jason Darkwood, najwyższy stopniem po Johnie, krzyknął:

- Bacność! Na prawo patrz!

Mężczyźni i kobiety Pierwszej Grupy Operacyjnej zasalutowali, patrząc w stronę Rourke'a. Paul patrzył zafascynowany.

# ROZDZIAŁ XLIX

Major nie wiedział, gdzie teraz jest i nie chciał się nad tym zastanawiać. Szedł powłócząc lewą nogą, która paliła go okropnie, zwłaszcza wówczas, gdy o niej myślał.

Maszerował spoglądając to na ścieżkę, to na twarz dziecka. Był nieprzytomny z bólu i zmęczenia. Prawie nie odróżniał już własnych majaków od rzeczywistości. Co będzie, jeśli dziecko umrze? I nagle Prokopiew zdał sobie sprawę, że dziecko jest dla niego ważniejsze aniżeli pojemnik zawierający plany nowej broni.

Nie mógł poruszać palcami u nóg. Wiedział, że jeśli upadnie, to zaśnie na zawsze.

Szedł pogrążony we wspomnieniach.

Matka. Jej twarzy nie pamiętał wyraźnie. Wchodziła do domu, w którym on również kiedyś mieszkał.

Pierwsza dziewczyna, której ciało pieścił.

Miał odmrożone dłonie i stopy. Nie mógł nawet oddać moczu. Brnął dalej przez śnieg.

Już wcześniej zastanawiał się, co powinien zrobić z dzieckiem. Znaleźć dla niego dom. Mówiono, że Niemcy humanitarnie traktowali dzikie plemiona, że starali się przybliżyć im drogę cywilizacji. Zapewne znajdzie się wśród nich jakaś rodzina, która zechce przyjąć taką śliczną dziewczynkę.

Brnął przez śnieg. Wszystkie inne myśli zostały za nim. Najważniejsze - to iść, ponieważ wówczas nie mógł zamknąć oczu i... nie umrzeć.

Głupia myśl. Przecież mógł zamknąć oczy i upaść, nawet o tym nie wiedząc. A może to już się stało? Może to, co wydało mu się, że robił, było tylko snem? Koszmarnym snem?

Niespodziewanie przypomniał sobie moment, w którym pierwszy raz zabił człowieka. Myśl ta poruszyła go do głębi; obawiał się łez. Mogłyby zamarznąć na jego twarzy.

Łzy. Przymrużył oczy nie chcąc dopuścić, aby pociekły mu po policzkach.

Jakiś dźwięk. Lawina? Zbyt głośny.

To oni! Następni kanibale, złaknieni ludzkiego mięsa.

Wasyl przyśpieszył. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Śnieg nie przeszkadzał już w drodze. Zaczął biec. Był zdumiony sam sobą. Nadal mógł biec!

Upadł.

- Moja mała! - powiedział splekanymi ustami. Światło! Głos. Bardzo donośny głos.

To zapewne jeden z tych żydowsko-chrześcijańskich aniołów przyszedł już po dziecko.

Na pewno nie po niego. Dla niego, Prokopiewa, nie byłoby już miejsca tym ich rajy.

Światło zniknęło.

Trzymając dziecko w ramionach upewnił się, czy niemowlę jeszcze oddycha. Jej ciało było

gorące. Ramiona miał tak zeszywniałe, że nie mógł ich wyprostować i wyjąć z nich dziewczynki. Nie miał siły, aby dłużej zmagać się z sennością.

I wtedy coś się poruszyło. Usłyszał słowa, których nie mógł zrozumieć.

Nagle zaczął pojmować, o co chodzi tym ludziom. To był rosyjski, tyle, że straszliwie kaleczony.

- Otwórz usta! - Poczul, że ktoś poi go czymś gorącym. Próbował to przełknąć. Prawie wymiotował.

Spróbował wstać.

- Leż! Opadł do tyłu.

- Nie ruszaj się.

Chciał zapytać gdzie jest i gdzie jest dziewczynka. Poczul, że może poruszać rękoma. Znowu starał się podnieść, ale ponownie usłyszał w okrutnie kaleczonym rosyjskim języku, którym posługiwały się te dziwne istoty, że ma leżeć i o nic się nie martwić.

Usłyszał jej płacz. Otworzył oczy.

To byli Niemcy. Czy Niemcy rzeczywiście robili te straszne rzeczy, o których mu mówiono? Czy zabiliby małe dziecko?

Znajdował się w ładowni wielkiego śmigłowca.

Pojawił się kolejny Niemiec. Zdjął hełm i ukazując swoje roześmiane oczy pochylił się nad Wasylim. W ramionach trzymał dziewczynkę. Płakała.

Płakać. To była konieczność, żeby przeżyć.

Prokopiew mógł nareszcie zasnąć.

# ROZDZIAŁ L

Snajperzy, których Wolfgang Mann naliczył dwunastu, raz po raz nękali jednostki niemieckie. Ostrzał z moździerzy nasilał się z każdą minutą. Jeden z promów “Edenu” został lekko uszkodzony.

Sarah z podwiniętymi rękawami asystowała lekarzom w przygotowaniach do przyjęcia pierwszych ofiar. Było już dwóch zabitych i pięciu rannych, których przyniósł na noszach personel szpitala polowego.

Wiedziała, że John przybędzie.

Pozostawało jej mieć nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej.

Michael usiadł na ławce. Obok niego siedzieli Rolvaag i niemiecki porucznik. Hrothgar położył się u stóp swego pana. Michael przesunął się nieco, aby umożliwić zmianę opatrunku na lewym ramieniu.

Kabinę wypełniał hałas silnika śmigłowca, skrzypienie wycieraczek przesuwających się po powierzchni szyby, pokrywającej się wciąż na nowo bąbelkami wody i wycie dobiegające z radia, przerywane sygnałami kodu bitewnego. Wszystkie te odgłosy powodowały, że już po kilku minutach głowa pękała z bólu. Próba zaśnięcia w tych warunkach była z góry skazana na niepowodzenie. Dotyczyło to wszystkich, z wyjątkiem Rolvaaga i jego psa.

Rolvaag oddał miecz pani Jokli, tak więc znowu uzbrojony był tylko w swoją pałkę. Michael domyślił się, że Islandczyk uważa, iż niebezpieczeństwo nie jest na tyle poważne, by karabin czy choćby miecz mogły być mu potrzebne.

W trakcie opatrywania rany próbował czytać instrukcję pilotażu J7V, której część przetłumaczyła mu kiedyś Maria.

Maria.

Trzymał ją w ramionach żegnając się z nią, gdy szedł na wojnę. Pozostawił ją pod opieką Hartmana, z dala od bitewnego zgiełku. “Kocham cię!” - powiedziała mu na odchodnym. Pocałował ją wtedy i powiedział to samo. Dziwił się, co go jeszcze powstrzymywało od ożenienia się z nią. Dlaczego zastanawiał się tak długo? Czy to on rzeczywiście doprowadził do śmierci Madison i ich dziecka?

Każda kobieta, kobieta wychodząca za mąż za mężczyznę o nazwisku Rourke, powinna go bardzo kochać, ponieważ być jego żoną, oznaczało przez większość czasu być samotną. Czasami się zastanawiał, czy rzeczywiście jest tak podobny do swojego ojca.

Zamknął instrukcję i próbował zasnąć, chociaż z góry wiedział, że i tak mu się to nie uda.

Kochał Marię tak bardzo...

John zajmował miejsce obok pilota, ale zrezygnował z niego. Poszedł ku tyłowi wzdłuż kadłuba

maszyny i spoczął na siedzeniu obok Darkwooda.

- Kapitanie?

- A, doktor Rourke! Jak znosisz te przeloty na długich dystansach? Bo tamten lot helikopterem, no cóż, to było coś innego. Ale ta podróż chyba będzie się dla ciebie ciągnęła w nieskończoność?

Doktor roześmiał się.

- Wiele lat temu latanie było dla mnie chlebem powszednim. Jak jazda samochodem. Wiesz, o czym mówię? Taki osobisty pojazd.

- Tak. Kiedy byłem mały, możliwość posiadania własnego samochodu fascynowała mnie - odrzekł Darkwood. - Zawsze marzyłem o Ferrari. Staralem się oglądać wszystkie filmy, w których były podobne wozy. Ale ja chciałem tylko Ferrari.

Pamiętam, że podobnym wozem jeździł kiedyś policjant na Hawajach, a także pewien prywatny detektyw na Florydzie, dopóki nie wpadł z nim do morza.

Rourke nie uśmiechnął się. Doskonale pamiętał tamto zdarzenie; był tam wówczas.

- Gliniarz pochodził, z Miami i miał białego Ferrari, a ten prywatny detektyw na Hawajach jeździł czerwonym.

- Faktycznie, masz rację. A co ty wówczas miałeś, doktorze?

- Ciężarówkę albo pikapa.

- Ciężarówkę? Zaraz, momencik. Tak! Pamiętam z wideo te wielkie skrzynie, które załadowywano albo doczepiano do pojazdów na przedmieściach. A ludzie którzy żyli na peryferiach, w osiedlach wiejskich, używali pikapów. Tak, widziałem to kiedyś na wideo. To była taka ciężarówka, której koła były wyższe od człowieka i...

John Rourke słuchał tego ze wzruszeniem. Dla niego nie była to niewiele znacząca opowiadka, lecz kawał prawdziwego, bezpowrotnie minionego życia.

Ostrzał artyleryjski wzmagął się. Pociski, spadające z nieba jak grad, rozerwały skrzydło wielkiego namiotu, gdzie mieścił się szpital polowy, oraz uszkodziły poważnie część agregatu, kontrolującego klimatyzację wewnątrz niego. Używając dużych plastikowych worków, Sarah Rourke wraz z Elaine Halwerson i jeszcze trzema innymi kobietami próbowała załatać otwór, przez który wpadały do środka chłodne podmuchy wiatru.

Nagle Elaine zaczęła głośno mówić, niemal krzycząc:

- Mówiłam, że jest na tyle silny, aby nosić broń. I co? Jest teraz gdzieś tam, w polu! Może już nie żyje?

- Nie martw się. Akiro poradzi sobie.

- Myślę, że wszyscy zginiemy. Po prostu to czuję...

Sarah przytuliła Murzynkę. Wiatr wpadł do środka poprzez dziurę w poszyciu. Czuła, że jeśli pomoc nie nadejdzie w porę, Elaine nie wytrzyma tego nerwowo.

Damien Rausch zobaczył jego twarz i odwrócił się. To był Kurinami. Żywy. Wiał silny wiatr, padał śnieg. Nazista zmienił magazynek w swoim karabinie. Miał prawdziwe szczęście, że udało mu się dotrzeć do bazy "Edenu". Wraz ze swoim chorobliwie grubym towarzyszem, odnalazł dobrze zamaskowane wejście do Schronu, przeszukując przy pomocy helikoptera teren, metr po metrze. Udało im się to, czego nie potrafiłyby dokonać sowieckie śmigłowce dalekiego zasięgu. Trudno było powiedzieć czy to pech, czy szczęście. "Eden" mógł okazać się pułapką bez wyjścia.

Po mroźnej nocy, spędzonej pomiędzy skałami w pobliżu Schronu, natknął się na oddziały

nacierających Sowietów. W sumie, mając odpowiednie materiały wybuchowe, mógł dostać się do środka. Ale co wtedy? Wrócił więc do jednego z niemieckich helikopterów, przydzielonych "Edenowi" przez niemieckie dowództwo. Powrócił do Dodda i opowiedział mu wszystko w skrócie. Jednakże teraz decyzja Manna o obsadzeniu "Edenu" niemieckimi komandosami zaskoczyła Dodda. Dookoła stacjonowali ludzie Manna.

Wiedział, że powinien uciec z bazy, ale dokąd? Ponadto siły sowieckie już zdążyły otoczyć "Eden".

Mógł teraz zastrzelić Kurinamiego, który poruszał się bardzo ostrożnie, zwijając się z bólu. Postrzał w bok musiał być bolesny. Trzeba było poczekać, aż bitwa rozpęta się na dobre. Patrząc na północ przez lunetę przymocowaną na karabinie, mógł teraz zobaczyć nacierające oddziały sowieckie. Rausch pomyślał, że byłoby wręcz ironią losu, gdyby zginął w tej bitwie. Ostateczne zwycięstwo narodowego socjalizmu mogło się tylko odwlec na jakiś czas, lecz nie ulegało dlań wątpliwości, że nastąpi.

Narzucił na głowę ocieplany kaptur i usadowił się wygodniej w zagłębieniu, na zboczu wzgórza. Zapewne Kurinami nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Kiedy go odkryje będzie już za późno...

Sarah rozpięła kurtkę. Cięża była już widoczna. Zacisnęła pas z kaburą, w której tkwił pistolet i, wzięwszy do ręki karabin, wyszła na zewnątrz, aby poszukać pułkownika Manna.

Postanowiła, że coś wreszcie musi zrobić. Wiedziała, że bardziej od pielęgniarzy potrzebni byli ludzie umiejący posługiwać się bronią. Oprócz kilku osób, które kiedyś służyły w wojsku i pamiętały coś z obsługi jakiegokolwiek broni, nikt tak jak ona nie umiał sobie radzić na polu walki.

Napotkała starszego podoficera.

- Czy mówi pan po angielsku?

- Tak, pani Rourke.

- Pan mnie poznaje? Dobrze. Gdzie jest pułkownik Mann? Pan pułkownik Mann?

Podoficer wskazał ręką w kierunku, z którego dobiegał huk silników dywizjonu helikopterów J7V, wzbijających się właśnie z zaimprovizowanego pola startowego. Na moment zamknęła oczy, lecz zaraz je otworzyła i zapytała niemieckiego żołnierza, szarpiąc go za rękaw:

- Gdzie najbardziej przyda się wam człowiek z karabinem?

Podoficer spojrział na nią zaskoczony i popatrzył na jej brzuch.

- Tak, jestem w ciąży, ale co to ma, do cholery, za znaczenie?

Niemiec niepewnym ruchem wskazał w stronę muru.

- Tam, pani Rourke. Pięćdziesiąt metrów stąd.

- Świetnie! - Ruszyła we wskazanym kierunku. Kiedy uszła już spory kawałek, uśmiechnęła się znowu.

Powinna być obok Akiro, pilnując go dla Elaine. Przyśpieszyła kroku.

Rubenstein usiadł przy odbiorniku radiowym. Znajdowali się na pokładzie J7V. Za Paulem stał pochylony agent wywiadu chińskiego, Han Lu Czen. W powietrzu rozchodził się dym z cygara Johna, siedzącego za urządzeniami sterowniczymi. Niemiecki oficer od razu tłumaczył deszyfrowany naprędce przekaz radiowy:

- Sowieckie śmigłowce właśnie ostrzelały zaporę wokół bazy. Dywizjon helikopterów J7V pod



osobistym dowódcą pułkownika Manna poniósł dziesięcioprocentowe straty. Wyłom w murze, otaczającym "Eden", nie może zostać naprawiony. Aktualnie cała baza jest jeszcze w rękach obrońców. Sowieckie oddziały lądowe prą coraz silniej do przodu, wspierane silnym ogniem, moździerzy i karabinów maszynowych. Wśród obrońców są coraz większe ofiary. Pułkownik Mann informuje, że kontroluje przebieg działań.

- Nie utrzymają się długo - odezwał się Paul.

Poczuł się trochę głupio, zdając sobie sprawę, że powiedział rzecz dla wszystkich oczywistą. John milczał. Gdzieś tam była Sarah. Może już nie żyła? Paul spojrział na zegarek. Do "Edenu" doleczą dopiero za godzinę.

- Cholera! - mruknął przez zęby i wstał. Odezwał się do niego Han Lu Czen:

- Przypominam sobie, że kiedyś czytałem o grupie odważnych Amerykanów, którzy w miejscu zwanym Teksas bronili się przez wiele dni. Obrońcy muszą wytrzymać jeszcze tylko jedną godzinę, Paul.

Rubenstein popatrzył przez iluminator, mówiąc:

- To było pod Alamo. Wojska generała Santa Anna nie miały wtedy ani helikopterów, ani rakiet, ani nawet broni automatycznej. A w ogóle - czy pamiętasz, Han, koniec tej historii?

Chińczyk smutno kiwnął głową.

- Wszyscy Teksasczycy zginęli.

Paul zaczął coś mówić, lecz przerwał, bo właśnie niemiecki tłumacz odezwał się ponownie:

- Wiadomości są nadal dekodowane. Mówią coś o... tak! O oddziałach z Nowych Niemiec!

Błyskawicznie Paul pochylił się nad odbiornikiem i tabelami kodowymi, jakby chciał z nich odczytać dalszy ciąg informacji. John Rourke z kamiennym spokojem stanął za jego plecami, mocno zaciągając się cygarem. Niemiecki oficer przełknął ślinę.

- Oddziały pomocnicze nie mogą wystartować z półwyspu Jukatan. Jest to spowodowane przemieszczającym się nad Zatokę Meksykańską huraganem. Powtarzam, oddziały pomocnicze nie mogą wystartować. Obrońcy bazy będą walczyć do końca.

Oficer niemiecki uniósł głowę znad odbiornika.

- Tę informację nadał osobiście pułkownik.

John podniósł słuchawki, zdjęte przed chwilą przez tłumacza.

- Nastaw nadajnik na odpowiednią częstotliwość. Chcę nadać komunikat do wszystkich jednostek Specjalnej Grupy Operacyjnej - powiedział do telegrafisty.

- Tak jest, panie generale.

John uniósł nieco brwi, ale nic nie odpowiedział.

- Już gotowe, generale.

- Tu mówi John Rourke. Zwracam się do wszystkich jednostek Pierwszej Specjalnej Grupy Operacyjnej. Proszę, by moje słowa były natychmiast tłumaczone. Właśnie odebraliśmy komunikat, nadany osobiście przez pułkownika Manna, dowodzącego obroną "Edenu". Siły pomocnicze Nowych Niemiec utknęły na półwyspie Jukatan z powodu huraganu. Oznacza to, że jedynie my idziemy teraz Edenowi na odsiecz. Obrońcy teraz walczą i giną. Brakuje nam jednej godziny. Kiedy dolecimy do "Edenu" od razu, z marszu, przypuszczamy atak. Musimy liczyć się z poważnymi stratami, ale jesteśmy jedyną nadzieją dla tych ludzi. Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Rzucił słuchawki na pulpit i odwracając się uderzył pięścią w przegrodę kadłuba.

# ROZDZIAŁ LI

Sarah rozgarnęła śnieg na boki i spojrzała przez wnękę w murze. W uszach dzwoniło jej od ciągłych eksplozji.

Sowieckie śmigłowce gotowały się do kolejnego ataku. Wysunięte do przodu lądowe oddziały wroga znajdowały się w tej chwili około pięciuset jardów od niej. Następne uderzenie mogło sprawić, że Sowieci wedrą się do bazy, poprzez zaporę i mur, w którym od strony północnej zrobili już drugi duży wyłom.

Coraz mniej helikopterów pułkownika Manna krążyło w powietrzu, nękając wroga. Silny ostrzał artyleryjski zniszczył wiele maszyn na ziemi, kiedy lądowały w celu uzupełnienia amunicji.

Wiadomości docierały do bazy szybciej niż wiatr. Wsparcie z Nowych Niemiec nie mogło przebić się przez ścianę huraganu. Sarah mówiła sobie, że była to tylko chwilowa przeszkoda. Mogli przecież przelecieć ponad sztormem lub go ominąć, co spowodowałoby jedynie nieznaczne opóźnienie. Chociaż...

W głośnikach dał się słyszeć głos Wolfganga Manna. Mówił po niemiecku, więc nie mogła go rozumieć, ale przyglądając się twarzom lżej rannych pilotów, którzy zajęli pozycje strzeleckie obok niej, zorientowała się w znaczeniu wypowiedzi. I wtedy w głośnikach odezwał się głos, mówiący po angielsku:

- Silny huragan w Zatoce Meksykańskiej na nieokreślony czas uniemożliwił wystartowanie z półwyspu Jukatan, oczekiwanych przez nas oddziałów pomocniczych. Jediną pomocą, której możemy się spodziewać, jest Specjalna Grupa Operacyjna z Mid-Wake. Powinni dotrzeć tutaj dziesięć minut temu, jednakże przez ostatnie pół godziny nie otrzymaliśmy od nich żadnych informacji. Nie możemy się poddać. Musimy walczyć do końca i albo przyjdzie nam wygrać, albo zginąć tutaj. Jeszcze nigdy nie spotkałem ludzi, których odwagę i męstwo ceniłbym bardziej niż wasze. To było wszystko, co powiedział.

- John! - szepnęła Sarah.

Czarne sylwetki sowieckich śmigłowców ukazały się nad horyzontem. Do kolejnego szturmu ruszyły wojska lądowe.

Sprawdziła swój karabin. Obok niej stanął przystojny mężczyzna o twarzy, którą trudno było zapomnieć. Wydawało się jej, że widzi go po raz pierwszy. Mężczyzna odezwał się do niej niemalże perfekcyjną angielszczyzną:

- Wygląda na to, że pani mąż jest teraz bardzo zajęty, prawda?

Nic nie odrzekła.

Oddziały Sowietów znajdowały się o trzysta jardów od muru. Ich śmigłowce leciały nad nimi zygzakiem, chroniąc je przed sporadycznymi atakami helikopterów "Edenu". Wystawiła przez otwór

strzelniczy lufę swego karabinu.

Jednostki lądowe nieprzyjaciela były już tylko w odległości dwustu jardów. Akiro Kurinami, dowodzący obroną tego odcinka, pojawił się w odległości dziesięciu jardów od niej i wydał komendę:

- Ognia!

# ROZDZIAŁ LII

Rourke szedł na czele oddziału, uszykowanego na kształt klina, podążającego w ślad za nim poprzez głęboki śnieg. Znajdowali się na stoku wzgórza, na południe od "Edenu". John wiedział, że za tymi wzniesieniami powinno być lądowisko dla promów kosmicznych.

W słuchawce tkwiącej w jego lewym uchu, usłyszał słabe buczenie i głos Paula, dochodzące z pokładu śmigłowca:

- John! Wszystko gotowe! Powtarzam: wszystko gotowe! Nie przerywając marszu, doktor odezwał się do mikrofonu:

- Tak jak ustaliliśmy. Dywizjon pierwszy, trzeci i czwarty - do ataku! Powtarzam: do ataku! Oddziały lądowe "Bravo" i "Charlie" ruszać naprzód! Powtarzam: naprzód!

Wyjął z ucha słuchawkę, wpiął ją do kołnierza kurtki i machając lewą ręką, wskazał kierunek natarcia idącym za nim ludziom. Im bardziej zbliżali się do szczytu wzgórza, tym donośniejsze stawały się odgłosy eksplozji, kanonada dział i moździerzy, warkot karabinów maszynowych. Po drodze do grupy Johna dołączył pojedynczy oddział złożony z marynarzy, personelu pływającego i chińskich żołnierzy pod dowództwem Han Lu Czena. Nie było jeszcze widać ani jednostek spadochronowych, ani śmigłowców bombardujących typu J7V. Niemniej jednak, im znajdowali się bliżej wroga, tym większą miał nadzieję na pokrzyżowanie jego planów.

Gdy znaleźli się na szczycie, wśród żołnierzy dały się słyszeć głosy podziwu i zaskoczenia. Przed nimi rozciągało się lądowisko, na którym stały, przysypane grubą warstwą śniegu, promy kosmiczne "Projektu Eden". Jason Darkwood odezwał się prawie szeptem:

- Nigdy nie przypuszczałem, że są tak piękne.

Na płycie lądowiska znajdowało się także około siedmiu płonących wraków niemieckich J7V. Przyglądając się dokładniej można było dostrzec w jednym z promów uszkodzone poszycie kadłuba, spowodowane zapewne wybuchem pocisku artyleryjskiego. Dalej widać było drogę, po obu stronach której stały częściowo zniszczone budynki bazy. Dookoła nich ciągnął się mur, w którym widać już było kilka wyłomów.

W powietrzu toczyła się zażarta bitwa. Niemieckie J7V i sowieckie śmigłowce, wykonywały akrobacje, zaś serie pocisków wśród śnieżnej zamieci wyglądały jak świetliste smugi lub sznury paciorków.

John spojrzał na Darkwooda, następnie na Aldridge'ego, Stanhope'a i St. James.

- Kapitanie Aldridge! Tak jak było ustalone - powiedział spokojnym głosem.

- Tak jest, sir! Stanhope, weź swoich ludzi biegnij w poprzek drogi i pod osłoną promów przedostań się do tych budynków. Ja idę za tobą.

- Tak jest, sir!

- St. James!

- Sir?

- Osłaniaj ludzi Stanhope'a. Kiedy znajdziemy się na miejscu, my z kolei będziemy osłaniać ciebie. Później razem uderzymy na prawą flankę Sowietów.

- Tak jest, sir - padła odpowiedź.

- No, nie ma na co czekać! Ruszajcie już!

Stanhope i St. James zasalutowali, odwrócili się i pobiegli do swoich ludzi. Doktor spojrzął na Han Lu Czena i Jasona Darkwooda.

- Tak jak mówiłem. Idziemy!

Schyliwszy się, ruszył biegiem w poprzek zbocza. Na moment odwrócił się. Za nim ruszyli Darkwood oraz Han Lu Czen z małym oddziałem chińskich komandosów. Kiedy dobiegli do drogi, oddziały Aldridge'a i Stanhope'a właśnie przez nią przebiegały. John krzyknął, żeby zatrzymali się przy zburzonym starym moście. Sięgnął po lornetkę i spojrzął przez nią w górę. Jego dywizjon, rozdzielony na trzy części, zbliżył się z trzech stron. Od południa nadleciały helikoptery ze spadochroniarzami, którzy wypełnili niebo ponad wzgórzami, drogą i mostem. Śmigłowce bojowe nadlatujące ze wschodu i z zachodu starły się już z sowieckimi maszynami.

Rourke przemyślał wszystko. Chociaż dojście do drogi i pierwszych zabudowań kosztowało ich sporo cennego czasu, to dotychczas zdołali uniknąć spotkania z Sowietami. Było teraz jasne, że wróg był całkowicie zaskoczony i zaczął się powoli wycofywać.

Spadochroniarze właśnie lądowali w rejonie murów "Edenu". Wielu z nich zestrzelono. Gdy opadli na ziemię, sowieckie oddziały strzelały do nich z broni maszynowej. Spojrzął na Darkwooda.

- Czy jesteś gotów?

- Pewnie nadal uważasz, że moje miejsce jest na łodzi podwodnej - uśmiechnął się Darkwood. - Jestem gotów.

Rourke odbezpieczył swój M-16, zawołał po chińsku:

- Kuai!

Za nim Darkwood, następnie Han Lu Czen i chińscy komandosi. Nad głową usłyszał narastający świst. Krzyknął:

- Liu-shen!

Wszyscy opadli na ziemię. Wokół wybuchały pociski z moździerzy, obsypując ich brudnym śniegiem i odłamkami skał. Ale Rourke był już na nogach i odwróciwszy się do żołnierzy chińskich wrzasnął:

- Szybciej!

Warkot karabinów maszynowych z prawej flanki wroga wzmógł się. Rourke spojrzął w lewo. To dwa plutony Aldridge'a starły się już z Sowietami. Mur okalający bazę, znajdował się w odległości około trzystu metrów. Kilku niemieckich spadochroniarzy wdrapało się na niego.

John biegł co sił. Nagle od strony północnej, lecąc tuż nad ziemią, nadciągała eskadra sowieckich helikopterów.

- Liu-shen! Liu-shen! - krzyknął Rourke, wskazując palcem w stronę atakujących maszyn.

Wszyscy gwałtownie przyśpieszyli. W pobliżu znajdował się olbrzymi lej po bombie, obok niego leżały dymiące szczątki J7V i sowieckiego śmigłowca. Rourke wskoczył do leja, wołając do Chińczyków:

- Zai zhe-li ting!

Mur znajdował się już tylko o dwieście jardów od nich. Przelatujące nad nimi helikoptery zasypały ich potokami pocisków. Wrak J7V i sowieckich maszyn zostały rozerwane na kawałki.

- Musieli je trzymać w rezerwie! - krzyknął Darkwood, próbując złapać oddech.

Doktor popatrzył na oddalające się helikoptery, które właśnie robiły zwrot, by znowu zaatakować.

- Musimy koniecznie dopaść do muru! Szybko!

John poderwał się i unosząc ponad głowę karabin zawołał:

- Kuai! Kuai!

Biegając słyszał za sobą narastający huk nadlatujących maszyn. Jeden z niemieckich helikopterów nadleciał z boku i otworzył ogień do sowieckich śmigłowców. Rosyjski śmigłowiec stanął w ogniu. J7V gwałtownie skręcił w bok, aby uniknąć zderzenia z płonącymi resztkami nieprzyjacielskiej maszyny. John przystanął, pokazując, żeby strzelać do helikoptera lecącego na czele grupy, lecz ogień z pokładu śmigłowca zmusił zarówno jego, jak i Chińczyków do ucieczki. Wszyscy biegli co tchu w stronę muru, ponaglani przez swego dowódcę. Pociski padały gęsto jak grad. Helikoptery przeleciały nad oddziałami Johna. Zaczęły ostrzeliwać wyłom w murze.

I wtedy przez dziurę w murze Rourke ujrzał Sarah. Krzyczała coś do niego. Nie słyszał jej, ale wiedział o co jej chodziło. Przyśpieszył. Dwóch Chińczyków padło, trafionych ogniem karabinów maszynowych. Trzeciego, ciężko rannego, nieśli jego towarzysze.

Wreszcie mur! Rourke jeszcze raz strzelił w stronę odlatujących helikopterów wroga. Han Lu Czen i Darkwood popędzili żołnierzy, którzy przez wyłom w murze jeszcze strzelali do śmigłowców. Doktor podążył za nimi.

Sarah podbiegła do męża.

- Najgorzej jest na stronie północnej, ale ja wiedziałam, że przyjdiesz właśnie tędy!

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała go w usta. John przytulił ją do siebie.

- Han! Znajdź kogoś, kto by się zajął rannymi. Na północną stronę! Za mną! Kuai!

Baza wyglądała jak piekło: spalone budynki, resztki namiotu rozerwanego wybuchem, dopalające się wraki różnych pojazdów. Biegli omijając leje po bombach. Naprzeciwko nich szedł Otto Hammerschmidt.

- Doktorze! Północna część muru jest zagrożona.

- Wiem!

Dobiegli na miejsce. Zobaczyli Kurinamiego, który na ścieżce, prowadzącej w kierunku wyrwy w murze zbierał rozproszonych ludzi. Rourke wydał polecenie chińskiemu oficerom, wskazując na wyłom.

Nadbiegła Sarah. W rękach trzymała karabin. Za nią przybiegł kapitan Hammerschmidt.

John wraz z Darkwoodem biegli już w stronę wyrwy.

Marynarze, którymi dowodził Aldridge, zostali zatrzymani ogniem nieprzyjaciela w odległości około ćwierć mili od muru. Na swej drodze napotkali aż trzy sowieckie oddziały. Od północy nadlatywało coraz więcej śmigłowców wroga.

Rourke przemówił do mikrofonu:

- Paul! Jestem przy północnej stronie muru! Nadlatuje coraz więcej sowieckich helikopterów! Musisz je powstrzymać!

- Już się robi, John. Uważaj! Za chwilę powinieneś zobaczyć sześć maszyn J7V, które wysłałem do ciebie.

W tym samym momencie nad głową Johna przeleciało z hukiem sześć śmigłowców z jego dywizjonu. Mimo woli Rourke wtulił głowę w ramiona.

Sowieckie helikoptery zbliżały się w szyku bojowym. Ich silniki pracowały na pełnych obrotach. Połowa maszyn skierowała się w stronę śmigłowców wysłanych przez Paula. Z pozostałych, które zwolniły prędkość, zaczęto spuszczać liny, po których schodzili na ziemię sowieccy komandos.

- Paul! Biorę ze sobą kilku ludzi i spróbuję zlikwidować komandosów z tych cholernych śmigłowców. Uważajcie na nas!

- W porządku, John!

Rourke popatrzył po twarzach ludzi, którzy zebrali się wokół niego. Wśród nich był Hammerschmidt wraz z kilkoma niemieckimi komandosami oraz parę osób z personelu bazy. Sarah wzięła męża za rękę.

- Musimy zatrzymać tych facetów zeskakujących po linach. Kto idzie ze mną?

Wszyscy podnieśli ręce do góry i zaczęli przekrzykiwać się nawzajem. John mocniej objął żonę i pocałował ją.

- To tak na wszelki wypadek. Kocham cię!

Ruszył poprzez wyrwę w murze; za nim szedł Darkwood. Doktor odwrócił się na moment i zawołał:

- Akiro! Musisz utrzymać mur za wszelką cenę!

Sowieckie wojska lądowe były coraz bliżej. John otworzył ogień ze swojego M-16. Wypuścił trzy serie. Kilku napastników upadło. Nagle coś szarpnęło go za rękę. pomyślał, że to może pocisk, lecz nie czuł bólu. Szedł dalej do przodu, na czele swoich żołnierzy. Zmienił magazynek w pistolecie maszynowym. Wypalił prosto w pierś jakiegoś sowieckiego oficera i, przeskoczywszy przez jego ciało, biegł dalej. Naokoło było pełno żołnierzy wroga.

W karabinie Darkwooda skończyła się amunicja. Kolbą uderzył jednego z Sowietów w twarz. Gdy ten upadł na kolana, Darkwood wyrwał mu z ręki karabin i strzelił mu w głowę. Han Lu Czen, trzymając w jednej ręce chiński pistolet Glock, a w drugiej amerykański M-16, strzelał na prawo i lewo. Trafił na gwardzistów. Zastrzelił dwóch; odrzuciwszy na bok M-16, wyciągnął nóż i rzucił się na trzeciego.

Rourke przebijał się do przodu. Prawie połowa skoczków zdołała już wylądować. Zdał sobie sprawę, że Rosjanie mają przewagę liczebną. Rewolwer był pusty. Z M-16 postrzelił jednego z komandosów, innemu rozbił twarz lufą rewolweru. Nagle dostrzegł coś ponad horyzontem.

Śmigłowce.

Kolejna eskadra nieprzyjaciela.

- Paul! - krzyknął Rourke do mikrofonu. - Czy mnie słyszysz?

- Doskonale! Nie obawiaj się, John. To nasi. To Michael i niemieccy komandos.

Rourke oblizwał zeschnięte wargi.

Darkwood, trzymając sowiecki karabin jak kij do baseballa, uderzał kolbą na boki, roztrzaskując głowy wrogów.

John wystrzelił ostatnią serię z M-16. Nie było czasu na zmianę magazynka. Przesunął karabin na plecy i z kabury wyciągnął dwa Detoniki. Błyskawicznie je odbezpieczył i wystrzelił, trafiając dwóch Sowietów. Zamachnął się, aby uderzyć w twarz kolejnego napastnika, lecz chybił. Gdy sowiecki komandos zrobił unik, doktor wypalił mu prosto w oko. Podbiegł do żołnierzy okrążających Darkwooda, strzelając i kładąc ich pokotem. Jason miał w ręku tylko długi nóż Bowie. John rzucił

mu jeden ze swych Detoników.

- Siedem strzałów. Głowa do góry!

Wyciągnął z pochwy przy pasku nóż LS-X. Tak uzbrojeni, obaj ruszyli do przodu.

John strzelił w głowę sowieckiego żołnierza, który zabiegł im drogę. Kiedy podbiegł do nich następny komandos, Darkwood odsunął się nieco, aby ten zaatakował najpierw Johna. Gdy Rosjanin ruszył w stronę Jasona, ten trafił go nożem w plecy. Żołnierz upadł na ziemię, a Darkwood poderzwał mu gardło. Następny komandos gotował się do zadania ciosu. Jason strzelił mu w pierś.

Pierwsze niemieckie helikoptery starty się już z sowieckimi maszynami. Niebo znów zajaśniało od smug rakietowych pocisków. Z niektórych śmigłowców przyprawdzonych przez Michaela zaczęto opuszczać liny.

Rourke krzyknął po chińsku i po angielsku:

- Za mną!

Schował pistolet do kabury, a z ręki martwego Rosjanina wyrwał karabin.

Niemieccy komandosci schodzili już na dół po linach.

W biegu John zastrzelił kolejnych trzech żołnierzy. Znów wyciągnął z kabury Detonika. Znów dwa strzały i znów o dwóch Sowietów mniej. Nagle jakaś kula trafiła Rourke'a w prawe ramię i w plecy. Upadł na kolana. Dwóch sowieckich komandosów natychmiast podbiegło do niego. Wystrzelił w nich cały magazynek pistoletu. Podniósł z ziemi upuszczoną przez jednego z nich broń i załadował nowy magazynek do swego M-16 i z dwoma karabinami w rękach ruszył dalej do przodu. Brakowało mu tchu. Rany dokuczały mu ale jego zmysł lekarski mówił mu, że nie są one poważne.

Nagle zobaczył syna, gdy ten wyskakiwał z lądującego śmigłowca na ziemię. Zauważył, że jeden z Sowietów uniósł karabin celując w jego stronę, więc wypalił z pistoletu, trafiając nieprzyjaciela w głowę. W słuchawce usłyszał głos Paula:

- Wycofują się! Wycofują się, John!

- Tak trzymać, Paul! - odkrzyknął mu, po czym zawołał do syna: - Michael! Czy widzisz tam gdzie Darkwooda?

- Widzę!

- Dołączamy do niego!

Teraz wyraźnie już było widać, że Sowietci cofają się, wypierani przez niemieckich komandosów. Słyszał w słuchawce głos Rubensteina, który cieszył się jak dziecko:

- Wygraliśmy! Wygraliśmy!

Wraz z Michaeliem dobiegł do Darkwooda i Han Lu Czena. Odgłosy walki stopniowo zamierały. Od czasu do czasu rozlegały się jeszcze pojedyncze wystrzały karabinowe.

Jason zwrócił Johnowi jego pistolet.

- Krwawisz, doktorze - zauważył. John uśmiechnął się.

- No cóż, tak samo, jak i ty. O, i ty także! - powiedział do Hana. - Czas chyba już wracać.

Powoli zaczęli dołączać do nich pozostali przy życiu obrońcy północnej części muru, Chińczycy i niemieccy komandosci. Gdy wracali do "Edenu", z północy dobiegały jeszcze odgłosy kończącej się bitwy.



# ROZDZIAŁ LIII

Reszta sowieckich oddziałów, wypierana przez żołnierzy Johna Rourke'a walczyła nadal, co zdaniem Sarah, było zwykłym samobójstwem. Mała ich grupa licząca około trzydziestu ludzi, wołała walczyć do końca niż się poddać. Sarah nie chciała na to patrzeć.

Akiro Kurinami stał niedaleko niej, za wyłomem w murze.

- Strzelać ponad ich głowami! Taka rzeź jest bezsensowna!

Zabrzmiała salwa. Jedna, po chwili druga. Akiro powtórzył komendę. Popatrzyła na niego. Japończyk miał w oczach łzy.

- Nic z tego! Strzelajcie do nich! Nie poddadzą się.

Po murze w pobliżu wyrwy zabębniły pociski. Jeszcze jeden z obrońców padł ranny. Odłamki muru rozprysły się na boki. Kanonada na chwilę wzmogła się, a następnie gwałtownie ucichła.

Sarah odwróciła głowę. Zobaczyła nagle tego przystojnego mężczyznę, który poprzednio odezwał się do niej doskonałą angielszczyzną. Uświadomiła sobie, że nie widziała go wcześniej. Nieznajomy w ręce trzymał karabin z lunetą. Spojrzała w kierunku, w którym mierzył.

- Akiro!

Chwyciła szybko małego Scorpiona 45. Uklękła, wycelowała starannie i zaczęła strzelać, opróżniając cały magazynek. Mężczyzna padł martwy na ziemię.

Sarah nie mogła podnieść się z klęczek. Ręce jej drżały.